



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

A 884,764

DB  
24  
.524  
1856



*3B*

*G. 291-*

*Z. 284.*

PROPERTY OF  
*The University of Michigan Libraries*  
1817  
ARTES SCIENTIA VERITAS





7

Vertical line on the right side of the page.

P O D R Ó Ż  
P O S Ł O W I A Ń S K I C H K R A J A C H

Aleksandra księcia Sapiehy,

(w latach 1802<sup>gim</sup> i 1803<sup>cim</sup>).

*Sapieha, Aleksander*

---

WYDANIE

KAZIMIERZA JÓZEFA TUROWSKIEGO.



**SANOK.**

**NAKŁAD I DRUK KAROLA POLLAKA.**

**1856.**

DB  
27  
•524  
1856

## SŁOWO WYDAWCY.

Niniejsze dzieło księcia Aleksandra Sapieby, zmarłego w 1812. roku, wyszło 1811 roku (w 8ce 270 stron.)—o czem tyle i niewiecej można się dowiedzieć z drugiego tomu *Historji Literatury Polskiej* Feliksa Bentkowskiego. Wyszło zaś pod tytułem: „*Podróże w krajach Sławińskich odbywane w latach 1802gim i 1803cim przez X. S. członka kilku akademij i towarzystw uczonych.*“

Na stronie tytułowej znajdują się następujące godła: *Quand onse mêle d'ecrire les voyages, il faut toujours avoir à ses côtés deux garants de la véracité de son récit, i est à dire, la mémoire des impressions reçues, et une simplicité presque naïve dans sa narration. Avec des témoins aussi irrécusables, vous conjurerez la Critique, et braveres l'incrédulité de vos ennemis et envieux.*

Tiré des Ouvrages inedites de l'Auteur.

Contentum Iniquorum ad Sidera tollo.

Z podpisu pod godłem francuzkiem jasno, że autor zostawił dzieła niewydane w języku francuzkiem. Niniejsze dzieło poprzedził autor przedmową, z ktorej się dowiadujemy, że ojciec autora z powodów politycznych przynaglonym był szukać schronienia we Francyi, w której się ks. Aleksander urodził. Powrócił się do ojczyzstego kraju, aby mu, jak sam powiada, utkwilo w pamięci, że nieszczęścia narodowe poszły za przekupstwem możnych i za brakiem oświecenia. Autor nie mogąc się oswoić z służbą publiczną nie mógł, pomimo największego przykładania się do nauki, osiedzić się w domu i udać się po upadku Kościuszkowskiego powstania w podróż po krajach

## II

słowiańskich. Ta udała mu się, jak sam powiada, nad spodziewanie; pozbierał w niej książki i rękopisma a między innymi Osmanidę, Gondolicza utwor, o którym wiemy, że jest wierszem bohatyrskim i wyszedł z druku. Co ks. Aleksander w tej podróży zebrał, złożył później — a może tylko samą Osmanidę — w zgromadzeniu uczonych w Warszawie. Obiecywał on sobie wiele po księstwie warszawskim i po Napoleonie, którego gwiazda wówczas najświetniej jaśniała.

Żałujemy, że nam nie wypada wydrukować całej przedmowy autora, nawet z powodu tak mylnego wydania, że sam początek jedynie domyśliwać się może, co by każdy bez trudu powinien mógł wyczytać.

Samo dzieło, które autor naprzód napisał po francuzku, jak zeznaje w przedmowie swojej, a dopiero potem po polsku, jest dla nas ważnem, bo je pisał mąż niezależny i w naukę nieubogi, bo przedmiotem dzieła tego są plemiona słowiańskie, które tę samą, co i my, mieli kolebkę, z którymi powinniśmy wejść w bliższe stosunki literackie i w nich pozostać.

Dosyć nam napomknąć, że listy są tylko zewnętrzną formą dzieła, dowolnie im nadaną, bo tego sam uważny czytelnik dostrzeże. Miejsca, w których ni by są pisane, są w pierwszych dodane przez autora, w dalszych przez wgdawcę, jedynie dla jakiegokolwiek przeglądu rzeczy.

*Sanok dnia 9 lutego 1856.*



# PODRÓŻE.

## List I. (z Tryestu).

Dopełniam obowiązku na siebie przyjętego, donoszę ci o postępach mojej podróży, pierwszy list mój odbierzesz z Tryestu. Ponieważ tu mają się zaczynać podróże moje, przeto zajmuję się zapewnieniem sobie kredytu na dal, i wyrobieniem listów zaletnych [zalecających], bez których na wschodzie kroku zrobić nie można. Spodziewam się jednak, że wkrótce, ukończywszy moje przygotowania, będę się mógł zająć istotnym przedmiotem moich podróży a to tem więcej, że pan Calvet, konsul portugalski, i Pelegrini, konsul rosyjski, którym istotną winienem wdzięczność, całkiem się nimi zajęli.

Miasto Tryest jest wielkim przykładem kresu pomysłności, do której dojść może każde towarzystwo, uwolnione od pęt i przeszkód, które ścieśniają przemysł ludzki. Starania Józefa II. i zniknięcie potęgi weneckiej zrobiły to miasto najhandlowniejszym na Adryatyku. Nawal ludzi, których handel ściąga, sprawuje w tem mieście niezmierną drogość, a najem domów tak wzniósł wysoko, że Tryestanie nie znajdują zyskowniejszego umieszczenia swych dostatków, jak wkładając je w budowlę. Nie masz też miasta na świecie, nie wyjmując Paryża i Londynu, gdzieby najem domów był droższy. Żeby mieć dostateczne wyobrażenie, do jakiego stopnia posuwają się nakłady obywatelów w tej mierze, dosyć jest przytoczyć przykład hrabiego Carsiotti, Greka, którego dom kosztuje

przeszło milion reńskich, a na samo kupno placu na wystawienie onego [domu] wydał 220,000 reńskich. Całe to miasto ma postać niezmiernie nową, a pomyślność jego poczęła się w chwili, kiedy port jego został ogłoszony wolnym.

Właściwie mówiąc, miasto Tryest żadnej przystawy [przystani, portu] bezpiecznej i wygodnej dla okrętów nie ma. Port jego jest całkiem otwarty, na wszelkie burze wystawiony, i niedawny nieszczęśliwy przykład zatopienia w samym porcie kilku okrętów dowodzi aż nadto, że sztuka zastąpić powinna wszystkie niedogodności, na które przyrodzone położenie Tryestu wystawiło to miasto. Uważając dochody miasta, które przeszło 400,000 reńskich wynoszą, zdaje się, że możnaby wkrótce port zrobić i wygodnym i bezpiecznym.....

Położenie tego miasta jest lichą miniaturą sytuacji geneueńskiej. Naokoło wznoszą się wierzchołki skał, z ziemi i z zieloności obnażone. Smutnym kolorem szarym ścieśniają żalobny horyzont miasta, a białość domów, osobliwie w czasie paru [spieki] letniego, nieznośny dla oczów przedstawia widok. Kilka drzew zielonych służy więcej do przypomnienia podróznemu: na czem brakuje temu smutnemu obrazowi, niżeli do ożywienia onego. W środku miasta wznoszą się posągi Leopolda I. i Karola VI. cesarzów, ale te, ani wytwornością roboty, ani smakiem ozdób nie celują. Jest także grób Rzymianki, którego napis jest dosyć dobrze dochowany, ale popiersie całkiem zepsute, i nie mogłem się dowiedzieć, gdzie ta starożytność znaleziona. Słowem, miasto Tryest wystawia wspólny wszystkim miastom handlowym obraz. Mieszkańcy zajęci chciwością, tak właściwą kupczącym, składać nie mogą towarzystwa bardzo zgodnego, i można powiedzieć, że gdy połowa miasta spi, druga połowa czuwa,

żeby śpiących oszukać. Ztąd idzie, że towarzystwa są dosyć nudne i nauki opuszczone. Czego się nakoniec można spodziewać po oświeceniu miasta, w którym wychowanie jest już ukończone, kiedy kto pisać i rachować umie?

## List II. (z Tryestu).

Nieprzewidując prędkiego skończenia moich przygotowań podróży, umyśliłem zwiedzić ciekawsze okolice Tryestu. O dwie mile od miasta jest grota, czyli jaskinia naturalna, zwana po sławiańsku Lipizza, co znaczy piękność. \*) Pojechałem tedy do tego przybytku piękności, który wcale przyjemny wystawia obraz. Mnogość soplów [wapiennych, *Stalactites Calcaires*] bardzo dużych, połysk kamienia przy pochodniach, rozległość tej jaskini, to wszystko zadziwia nieprzywykłego do tych widoków wędrownika. Ale w istocie nic nie masz nadzwyczajnego, i dobre uważanie okolic tej jaskini przekona pilnego postrzegacza, że powierzchnia jej była dawniej jeziorem, któremu ta grota służyła za uchód podziemny.

Póki przestwór jaskini odpowiadał mierze przybywającej wody do jeziora, póty też trwało; lecz, gdy wody wylizawszy skałę wapienną, większy zrobiły sobie uchód, natenczas jezioro wyschło a kanał podziemny został grotą. O tem się łatwo przekonać można uważając na poblizszych skałach ślady wylizu, (*Erosions*) wód, a potem nic pospolitszego w krajach wapiennych, jak podziemne rzeki i codzienne wód powierzchniowych ubywanie, czego

---

(\*) Mamy: dobry i *lepszy*; jeżeli *lipizza* znaczy *piękność*, tedy ostatecznie i u nas jak u Greków to samo jest *dobrem*, co jest *pięknem*, i odwrotnie. W.

sama Istria tysiączne daje przykłady. \*) Sławne jezioro w *Czyrknice*, które tylu wieków podziwienie sprawiło, i tyłu baśniom dało miejsce, wszystkich tych mniemanych cudów w uchodzie podziemnym daje postrzegaczowi przyczyny.

Powróciłem na noc do Tryestu w przedsięwzięciu odwiedzenia Idryi, tej ojczyzny merkuryuszowej, gdzie rząd prawdziwie znalazł sposób ustalenia tego kruszcza, (*fixer le mercure*) dla znacznej korzyści i dochodów, które pobiera z tej kopalni. Jedzie się do Idryi koło góry bardzo wysokiej, którą zaraz postrześć można na morzu wypłynąwszy z Wenecyi. Jest to góra, która oddziela Gorycyę od Istrii, i ze składu swego pokazuje się być dawnym morza miałem i osypem. Rzecz jest osobliwa że ta góra trafem szczególnym zowie się po słowacku *Nanes* (naniós) a w miejscu, w którym woda przerwała jej pasmo, leży miasteczko, które się zowie po słowacku *Ryzderte*, to jest rozdarcie. Pierwszy może to jest przykład zgodności imion przez gmin nadanych z budowlą wewnętrzną przez uczonych postrzeżoną.

Skąły wapienne nie opuściły nas przez cały ciąg podróży do Idryi. Na spuszczeniu się jednak do miasta, po prawej stronie drogi, dają się widzieć roboty górnicze opuszczone, których kamień zwany *Brèche Calcaire* służy za macię kruszczowi miedzianemu.

Przyjechawszy do Idryi, miasteczka dobrze zabudowanego, najpierwszem mojem staraniem było pokazać dyrektorowi kopalni pozwolenie łaskawie od rządu dane mi oglądania tamiecznych robót, jakoż wydane zostały natchmianem rozkazy ukazania wszystkiego. Przyczyna tej

---

(\*) Na Pokuciu także poczyniła woda wydrążenia w pokładzie gipsowym (siarkanie wapna). W.

trudności w okazywaniu rękodzielni tamecznych jest do-  
 syć naturalna. Hiszpania dotąd coroczny podatek domo-  
 wi austriackiemu opłacała wykupując żywe srebro do  
 amalgamacyi w wielkich kopalniach, które posiada w Ame-  
 ryce, ile potrzebuje. Sami choć mieli żywe srebro w wła-  
 snym kraju, przez niedoskonałe koło niego działania, nie  
 wyciągali go tyle, żeby niem się w potrzebach własnych  
 obejść potrafili. Wysłany chemista hiszpański pod pozo-  
 rem zwykłego zakupowania żywego srebra obejrzał wszyst-  
 kie tameczne rękodzielnie i tak dobrze potrafił w własnym  
 kraju wydoskonalić roboty, że już od dwóch lat zaprze-  
 stali kupować ten kruszec w Austrii. Dóm austriacki,  
 widząc się pozbawionym przeszło 100,000 czerwonych  
 złotych dochodu, dał rozkazy, aby odtąd żadnemu cudzo-  
 ziemcowi te kopalnie okazywane nie były; a zatem po-  
 zyskane pozwolenie obejrzenia onych jest znakiem zau-  
 fania rządowego.

Kopalnie te, w których kruszec jest oprawny w wę-  
 głu kamiennym, podlegają częstym pożarom, które, po ro-  
 ku i po dwa trwając, wszelkie roboty przerywają. Wła-  
 śnie w ten czas, kiedy byłem w Idryi, te kopalnie uległy  
 podobnemu przypadkowi. Dwa roki wciąż przerywane  
 były roboty, w powyższych tylko piętrach robiono, a  
 w niższe jeszcze spuszczać się nie śmiano. Przypadek ten  
 pożaru nappełnił był wszystkie wyjścia tej kopalni powie-  
 trzem tak zaraźliwym, że kto tylko niem ziewnął, śmier-  
 cią tę śmiałość opłacał. Więcej siedmnastu osób padło  
 ofiarą zarazy tego nowego Awernu, a dwadzieścia kilka,  
 na wieczne skazane konwulsye, długimi mękami przepła-  
 cały smutną korzyść przeżycia swoich nieszczęśliwych towa-  
 rzyszów. Widziałem sam na moje oczy podobną ofiarę, i  
 ten smutny obraz, póki żyję, z oczów moich nie zejdzie.  
 Mocne powrozy krępowały tego nędznika do łóżka, na

którem ustawiczne konwulsye z jak największą siłą go podrzucały.

Przejęty ciekawością poznania natury tych szkodliwych gazów, opatrzyłem się w butelki napełnione wodą i osadzone na długich kijach, i wto wszystko, cokolwiek do szczelnego zatrzymania tego płynu w butelkach służyć mogło. Tak przygotowany, wzięwszy z sobą fiaszeczkę z amoniakiem płynnym, spuściłem się w kopalnię. Pierwsze, drugie i trzecie, i czwarte piętra już były oczyszczone z tego powietrza, a żywe srebro, zlotniałe przez ciepło, w drobnych bardzo kulkach osiadło było na stepłach galeryj — co przy świecach budowli całej całkiem czarodziejski srebrnego gmachu dawało wizerunek. Lecz, gdy z czwartego piętra do piątego zstępować mi przychodziło, nagle światło gasnąc zaczęło; wtenczas osądziłem za rzecz przyzwoitą cofnąć się, i wzięwszy w jedną rękę butelkę na kij osadzoną, a w drugą fiaszkę z amoniakiem, spuściłem się dwa stopnie w tę niebezpieczną studnię i, rękę wyciągnąwszy, zanurzyłem butelkę na kij w tej szkodliwej atmosferze, i przewróciwszy onę w miarę wylewającej się wody, butelkę tym śmiertelnym napełniłem płynem, i z jak największą starannością zatykałem. Wszystkie sześć butelek tym sposobem napełniłem; i za każdą razą, gdy duszenie mię nadto przyciskało, moi towarzysze wyciągali mnie na powietrze i amoniakiem trzęźwili. Po tej operacyi skończonej powróciłem do siebie, i z połowy mojej zdobyczy ofiarę zrobiłem sławnemu *Piktetowi* w Genewie; a połowę dla *Gioberta*, sławnego chemisty i przyjaciela mego w Turynie, przeznaczyłem. Nie mogłem jednak wytrzymać, abym sam nie zrobił doświadczeń tyle, ile mi miejsce i czas pozwalały. Skłucione to powietrze z wodą dystylowaną dało osad czarniawy, podobny do oksydu merkuryalnego, *Ethiops* zwanego. Skłucione z wo-



dą wapienną, wapno natychmiast opadło, lecz zmieszawszy jeszcze część tego powietrza z solą w wodzie dystylowanej rozpuszczoną, *Muriate Baritique* zwaną, gdy baryta na dnie osiadła, spostrzegłem natychmiast, że w powyższym doświadczeniu — nie wapno, ale sulfat wapienny opadł: a zatem, że to nie kwas węgielny, ale gaz kwaśno siarczyny *Gaze Acidé sulphureux* trzymał żywe srebro w rozpuszczeniu.

Nie można sobie wyobrazić, do jakiego stopnia ta kopalnia w porządku utrzymana jest. Cynobru fabryka jest nader piękna, i tenże w doskonałości swojej nie ustępuje wcale holenderskiemu. Młyny, dystylacje są w najdoskonalszym stanie, i nieskończyłbym, gdybym wszystkie sposoby działania tej rękodzielni chciał opisać.

Cetnar merkurjuszu kosztuje trzydzieści pięć czerwonych złotych, mimo wielkie zapasy onego w magazynach; a że 200,000 funtów corocznie wychodzi, a zatem można sobie wystawić, jak zyskowna jest ta kopalnia dla domu austriackiego. Przed wojną francuzką niezmiernie były zapasy żywego srebra, ale generał jeden francuzki tak się w tym bożku rozkochał, że 200,000 funtów z sobą wyprowadził. To sprawiło, że ten towar nadto staniał. Tę zdobycz sprzedawano w Genui, i to była przyczyna, że za moich czasów w tem mieście cetnar merkurjuszu nie kosztował, jak luidorów dziesięć.

Smutny urząd górnika jest dziedziczny; płaca ich jest nader mała, a kary straszne. Dyrekcyja ma prawo sądzenia na śmierć w przypadku złodziejstwa, a tą karą jest zawsze śmierć. Inaczej wprawdzie bez tej surowości kradzieży byłyby ustawne. Smutny stan zdrowia, bladeść cery, konwulsye częste są udziałem nieszczęśliwych mieszkańców Idryi i dziedzicznymi klęskami, któremi ci dokupują się przewileju nieznania chorób wenerycznych.

Sądziłbym nawet, że — w tego rodzaju chorobach zadaw-  
nionych i opierających się wszelkim merkuryalnym za-  
prawom — mogliby lekarze posyłać tam pomyślnie chorych  
na mieszkanie.

Żeby sobie bowiem wystawić w jakimś ~~dzielu~~  
dziale (*division*) znajduje się ten metal na miejscu, ~~co~~ a  
powiedzieć, że, gdy ja po czterogodzinnem bawieniu się  
wyszedłem, miałem dziąsła nabrzmięte i do dwóch dni  
smak metaliczny czułem w ustach. Żeby zakończyć list  
bardzo długi, i który cię zapewne bardzo znudzi, muszę  
ci namienić o śmiesznym przypadku, który mi się zda-  
rzył. Znużony oglądaniem tych kopalni zasnąłem po obie-  
dzie, i w najlepszym śnie dano mi znać, że dyrekcyą ca-  
łą przysłała mię odwiedzić; ja zerwawszy się na prędcę,  
a że gotując się już wczesnie do podróży tureckich i do  
stroju krajowego miałem głowę ogoloną, i peruki jeszcze  
tymczasowie używałem, w prędkości na wywrót ją wzią-  
łem, i w tym stroju długiej perory dyrektora słuchać mu-  
siałem. Nie wiem, jakim sposobem to poważne grono  
od śmiechu wstrzymać się mogło, bo ja, który się w zwier-  
ciedle potem widziałem, musiałem jemu mimo miłości wła-  
snej uledez.

### List III. (*na morzu*).

Ukończywszy przygotowania moje, mając już okrę-  
cik najęty, pożegnałem się z przyjaciółmi moimi i do-  
czekawszy się wschodu księżyca wsiadłem na okręt, do-  
kład odprowadzili mnie panowie: Badeni młody i Gorzko-  
wski, jedyni Polacy, bawiący natenczas w Tryeście. Bar-  
dzo szczęśliwy byłem, że ich tam zastałem, mogłem bo-  
wiem im powierzyć listy i pożegnania moje do ojczyzny.  
Miałem przed sobą podróż nową, rzadko odbywaną i we

wszystkich szczegółach niebezpieczną; i nigdy niepoehlebiałem sobie, żebym ją ukończył tak szczęśliwie, jak mi los pozwolił. Moment odbijania od lądu jest zawsze dla człowieka chwilą zastanowienia i zamyslenia się. Wtenczas człowiek czuje, że świat jest podzielony między żalem porzucenia lądu, niewdzięcznego czasem nawet, i między niepewnością przyszłości. Lecz podniesienie żagłów, krzyk majtków, szelest okrętu porzającego przestrzeń morską, wszystko to ocuca—i niespokojna skłonność człowieka, która go prowadzi poniewolnie do odmiany miejsca, odzyskuje swoje prawo. Noc była miesięczna i morze spokojne brało na siebie swierciadlaną postać, którą połysk księżycyca ożywiał. Wiatr dość krzepki od lądu nas oddalał—i nadęte żagle nasze dają nam nadzieję szczęśliwej i prędkiej podróży. Pierwszy raz widziałem fosforyzm morza, i okręt nasz, porzając przestrzeń tego niestalego żywiołu, zostawiał za sobą skibę ognistą, która w przewróceniu spokojności morza gasła. Fizycy nie oznaczyli jeszcze dotąd przyczyny tego zjawiska. Jedni chcą przypisać go działaniu tarcia, i wyskokowi ciepłika (*degagement du calorique*) w postaci światła, drudzy zaś przypisują go ikrze rybnej, albo robaczkom, dla małości swojej niezoczonym. Ja jestem tego zdania, gdyż, umoczywszy rękę w wodzie morskiej, zdarzało mi się często krople świetne spostrzegać, ale jedno od drugich oddalone, coby nie było, gdyby to światło było skutkiem tarcia. Tymczasem płynęliśmy i Tryest powoli z oczów naszych znikał. Zostawiliśmy po lewej ręce Cappel d'Istria, stolicę Istrii i naówczas mieszkanie kapitana cyrkularnego. Minęliśmy przytem Izolin, Piran i kilka innych miasteczek. Wszędzie budowla pobrzeżna jest ze skały wapiennej, mniej lub więcej przykrytej ziemią nieżyzną farby rudawej, do szlamu egipskiego podobnej. Półwysep Istrii, koło któ-

tego płyniemy, nie jednostajny nam wystawia widok. Najprzód odnoga tryestyńska otoczona jest górami wyniosłemi, które powoli się zniżają, żeby znowu górzystą przyjąć postać przy Orsara. Nim się do tego miejsca dopłynie, jechać trzeba mimo wyspy Castello delle Fontane zwanej; dosyć żyznej, figowem i oliwnem drzewem okrytej; które tam dziko rosną, będąc tam zapewne dawniej zaprowadzonymi. Ztamąd płynie się do zamku Orsara, o kilkaset kroków od morza, na wysokości górze położonego. Port jest bardzo bezpieczny, i w każdej porze zaciszny, ale miasteczko coraz więcej traci swej ludności. Trzebaby mieszkać w tym kraju, żeby spostrzedz przyczynę częstych chorób i niezdrowości miejsca, tem więcej; że jest powszechnem pospółstwem zdaniem, że wystawienie wzgórzysté tego miasteczka i mało zaciszu od wiatrów ma być przyczyną chorób; co nie jest do prawdy podobna. Wejście do portu z strony Tryestu jest zasłonięte wzgórkami, z którego wybierają kamień, marmurem istryjskim zwany. Niezmierne wylomy kamienia tam są zrobione i wszystkie kanały weneckie są nim wyłożone. Kamień łamie się z wierzchu i obkrojona ta góra na wszystkie strony daje zdaleka kształt zamku czworokątniastego. Dużo chodziłem po tej kopalni i lubo najmniejszego wycisku muszel morskich nie znalazłem, nie jestem zdania, aby kamień ten wapienny miał być pierwotnym. Dwa jego rodzaje widziałem, które może gatunków osobnych nie składają, ale są przejściem jednego w drugi. Jeden jest szary i bardzo twardy, drugi biały i kruchszy. Zszedłszy z wierzchołka, u dołu tego wzgórka znalazłem kamień *spath calcare slalaciteux excentrique* zwany, który okrywał czyli raczej powlekał powyższy marmur. Lecz, jeżeli geologia tameczna nie wiele ciekawości mojej dogodziła, pewien jestem, że lubownik bo-

taniki przybywając w porze mojej spóźnionej, jak ja, zrobiłby roślin dosyć ciekawych obfite żniwo. Choć wszystkie rośliny opadły już były z kwiatu, jednak z ukontentowaniem rozeznałem następujące: najprzód Achilles Gemphi, której dotąd nieznaleziono, tylko w Szwajcaryi i to rzadko i tej dwa tylko krzaki widziałem, Gnaphalium odoratum, Ilex coccifera, Lontiscus, Spartium, (którego rodzaju? rozeznać nie mogłem); Solidago, które jeszcze nie kwitło: kilka Astragalus, kilka Eringiów noszących nasienie; z których tylko Amethystinum kwitnęło; Centaurea spinosa, Echinops retro, Sambucus epulus; kilka Oporozdon, Vacciniów i jałowców dopełniało tę ciekawą roślinną osadę. Zebrałem prócz tego kilka nasion, których rodzajów poznać nie mogłem; do tego stopnia były się zeschły. To moje bawienie się na tej wyspie i roślin zbieranie tak znudziło moich majtków, nie ciekawych nawet historyi naturalnej, że woleli z nudów pójść mszy wysłuchać w mieście, niż patrzeć z litością na moje, jak oni zwali, szaleństwo. Ten dobry uczynek dosyć im się dobrze nadał, gdyż powrócili mniej głodni, jak ja z mojej pielgrzymki i kiedy się ich pytałem, za co się popili? odpowiedzieli mi jedno myślne, że to dla ochrony się od złego powietrza w mieście; mimo tego jednak przyjechalśmy bez przypadku do Rovigo, z kądem do ciebie napiszę.

#### List IV. z Rovigo,

Stanąłem ze dniem w Rovigo, sławnym przez swój handel i dodawanie najlepszych majtków północnej części Adryatyku. Mieszkańcy sami przez się handlu żadnego nie znają, ale najmują swoje spławy do przewożenia towarów i niewymownie na tem zyskują. Prócz tego polów sardelów znacznem jest źródłem bogactw tego miasta,

któremu port, ruch ustawiczny, mnogość statków przybywających i odbijających daje postać miasta handlowego. Okręciki ich, czyli raczej barki w liczbie dwóchset, corocznie na połów sardelów wyjeżdżają i los tego miasteczka, w miarę powiększającego się handlu tryestyńskiego, coraz polepsza się. Domy są budowane sposobem weneckim i kościół na skale, dosyć wyniosły, daje widok bardzo przyjemny, a to tem więcej, że wzgórki się podnoszą po za miastem, które przemysł Rowignanów okrył sadami oliwnymi i owocowemi. Ta zieloność ożywny wy daje obraz i nie mało się przykłada do ożywienia portu, który sam z siebie jest rozległy i wygodny. To miasto doszłoby do najpomyślniejszego stanu, gdyby mu nie brakowało na rzeczy istotnej, to jest: na wodzie biegnącej. Niedogodność ta jest wspólna prawie wszystkim miastom Istrii i mieszkańcy, niemając ani źródeł, ani studni, muszą przestawać na wodzie deszczowej, którą w muryowanych na to umyślnie sadzawkach przez cały rok zbierają.

Mimo przeciwnego wiatru chciałem zwiedzić wyspę Brioli, sławną przez wielkie wylomy kamieni i marmurów przez Weneczyków robione. Większa część gmachów tego wspaniałego miasta tej wysepce winna jest swój początek. Port jest w samym środku wyspy, bardzo wygodny i głęboki, a przy samym wylomie skały położony. Wyspa ta zamieszкана jest przez samych kamieniarzy, którzy przybywającym okrętom za mierną cenę łupany marmór sprzedają. Nie używają do tego prochu i pod skałę nie podkopują się, tylko na wierzchu ją biorą; zresztą skała mało co się różni od tej, którą opisaliśmy w Orsara. Wyspa ta, okryta jest rozmaitemi drzewinami: *Lentiscus*, *Spartium*, *Clematis*, *Anagiris foetida*, różę, *Cistus*—ten sam, który żywicę daje na wschodzie—*Salvia*



lanata i kilka gatunków Marubiów—są jedynemi plantami, które dla późnej pory rozeznac mogłem. Odplywając od tej wyspy do okrętu, chybnęło się czółno i wpadłem w wodę, szczęściem osobliwszem wyratowany zostałem, straciłem tylko wszystkie nasiona, których żniwo dosyć znaczne na tej wyspie zebrałem.

Tymczasem majtkowie moi ładowali okręt kamieniem łupanym, co skończywszy podnieśliśmy żagle i płynęliśmy do Pola, leżącego w samym końcu południowym przyładku istryjskiego. Tu najznaczniejsze sił swoich stanowisko na Adryatyku mieli Rzymianie, tu się uzbierały floty, które pry Actium los państwa rzymskiego rozstrzygnęły, i pana jednego świata w osobie Oktawiusza dały. Jakież bowiem miejsce i przysady sposobniejsze dla podbicieliw świata, godniejsze ich wielkości i sposobniejsze do dójścia ich zamiarów znaleźć można było? Port tak wielki, że wszystkie floty całej Europy mógłby bezpiecznie przyjąć; łatwy zewsząd do obrony; tak zaciszny, że w czasie największych burz powierzchnię jego do zwierciadła porównać można; w środku jego wyspy, do różnych ustanowień służące; nakoniec morze tak rybne, że dotąd w tej całej okolicy najślawniejszy połów wyzów odbywa się. Te są w części korzyści, które ta przystań morska wystawia; ten dowód, że wszystkie ustanowienia rzymskie jedną wszędzie cechą wielkości, rozsądku, jedno nakoniec znamie olbrzymie, dotąd nie naśaldowane, miały. Lecz do przeszłej odezwy zatrzymuję opis gruzów miasta, i ten kochany przyjacielu! z Fiume odbierzesz.

#### List V. z *Fiume*.

Obiecałem ci był, kochany przyjacielu! przysłać z Fiume opis byłego miasta Pola. Lecz nie spodziewaj się, w stanie oplakany, w jakim zostaje ta posada, znaleźć

wyobrażenie bylej jego wielkości. Nie można ci wyrazić, jakie wrażenie na człowieku myślącym czynią pomniki sławy znikłego już towarzystwa, i trzeba człowieka nieczułego, żeby stojąc nad gruzami sławnego grodu, nie wyrzekł z Cyceronem

*Quis est enim, quem non moveat rerum gestarum  
memoria, consignataque antiquitas.*

Wrażenia nieprzyjemne smutku, które w duszy podobne wzbudzają obrazy, ponawiają się często w długiej podróży, póki nareszcie czas i częste powtarzanie się podobnych widoków nie oswoją człowieka z znikomnością narodów. Trzeba na koniec dla własnej spokojności na świecie przekonać się, że wszystkie towarzystwa ludzkie są nietrwałe, że potęgę najwyższą czas podmywa, że nic w naturze w porze nią stoi, że naród doszedłszy do najwyższego szczybla mocy i władania, kiedy wyżej iść nie może podobnie jak ciało ludzkie do upadku i nicestwa tą samą koleją i porządkiem wracać się musi; uważać na koniec towarzystwa jak roją pszczoł, odnawiające co rok swoje społeczeństwa, choć je chciwość i grabież napastnika rozpręga i niszczy. Każdy naród nasładuje ciało człowieka, ma krzepkość młodości w pierwiastkowych epokach, ma niemoc starości w późniejszych. Duch narodowy, nieskazitelnosc urzędników, i oszczędność wydatków, są jedyną rękojmnią trwałości i zgrzybiałego nawet towarzystwa. Bez nich atonizm i śmierć. Niech sobie kto jak chce uważa gruzy, i okrucy dawnych i świat zadziwiających budowli, niech sobie na cale i linie mierzy wysokość kolumn, przestrzeń przysionków świątyń; niech się zatapia w jakie chce domysły, te ostatki nie wruszają mnie, jeżeli nie śladują\*) wielkich czynów i nie przypominają bohaterskich poświęceń. Przeżyć i pobyt na świecie pamięcią po sobie, oszukać

\*) Nie są cechami W.

jeżeli powiem, naturę żyjącą i po śmierci—ten powinien być cel niepospolitego człowieka, i ten był zawsze zamiar bohaterów narodów. Ten mowię był cel wszystkich gmachów starych, ten słupów egipskich i w tém znajduję dowód powyższego wniosku mego. Śladu nawet nie mamy narodów, które niszczyły się na wystawienie tych gmachów, które imiona swoich stawicieliw przeżyły, a niewielki kopic Temistoklesa uczucie wzbudza w sercu daleko trwalsze, jak zadziwienie. Słowem, żeby skończyć, dosyć powiedzieć, że narody, które zdobyć się nie mogą na olbrzymie gmachy, żeby niestwa uszły, mają drogę mniej kosztowną i daleko pewniejszą. Niech zachowują święcie ojców obyczaje, niech ducha nasładowczego z pomiędzy siebie wytepią, niech z obcych krajów szczepią między siebie nauki, nie zepsucie: staną się natenczas kolebką bohaterów i pomniki po sobie pewniejsze zostawia, które ani wpływu wieków, ani nawału Wandalów obawiać się nie będą.

Lecz wróćmy się do opisu miasta. Dopływając do niego wystawiałem sobie obraz flot rzymskich, które zwykle w tej stały przystani; ruch ludzi zbrojnych, zbytek, który od handlu jest nierozdzielny;—lecz w krótce marmżenia moje ustały, gdy zamiast tego spostrzegłem miasteczko liche, w środku gruzu osiadłe, mieszkanców wybladłych, dla złego powietrza zchorzałych! którzy, jak cienie, czołgali się po tej samej ziemi, którą dawniej zwycięskie legiony zuchwale deptały. Mury dawnego miasta jednak całkowicie stoją. Ale miasto jest otoczone szkodliwą atmosferą, która, jak zwykle wszędzie, pomnaża się w miarę ubywającej ludności i to stopniowanie jest niechybne. Zaraza tak jest wielka, że garnizonu nawet tam utrzymać nie można; i w krótce zapewne wędrownik nie znajdzie tam nawet przewodnika, któryby mu dawniej miasta wspaniałości ślady okazał. Nad miastem wznosi się

górze, gdzie Wenetowie na miejscu dawnej warowni rzymskiej, założyli cytadelę. Jest ona całkiem sklecona z okruchów dawnych budowli rzymskich. Śladu innych starożytności tam niemasz, tylko podkop wspaniale zrobiony, który udaje się ku miastu i zapewne służył za wycieczkę. Z tamąd widok rozciąga się na port i na całe miasto, postrzedz można cały obwód murów, jakoteż ślady dawnych ogrodów, wysypanych tarasów, i posady zniszczonych już pałaców.

Miejsce dawnych igrzysk, *circus* zwane, jest za obwodem murów. Różni się w tem od tego, który widziałem w Weronie, iż w owym stopnie i siedzenia są marnurówce. W tym zaś śladu ich nawet niemasz, i zdaje się do podobieństwa, że musiały być drewniane. Letkość jednak i trwałość tych budowli są zdolne do zastanowienia człowieka najobojętniejszego na widok starożytności. Wszystko zrobiono, żeby przyspieszyć zniszczenie tego gmachu. Chciwość i czas wywarły swoje wściekłości przeciw temu wspaniałemu gmachowi i sprzysięgły się na jego zgubę. Wszystkie spojenia kamieni—dla wyciągania ołowiu i zelastw, które je z sobą wiązały—są naruszone. Mimo tego gmach ten stoi, na trzęsienia nawet ziemi, w tym kraju dosyć częste, niewzruszony. Niektóre kanały, i podziemne uchody dowodzą, że była w środku *naumachia* czyli miejsce sposobne do dawania ludowi wizerunków bitew morskich, i lubownik starożytności obszerne domysłów i postrzeżeń swoim znalazłby tam pole. Reszta miasta mało wystawuje, znajduje się jednak świątynia dosyć szczupła, koryntkiego porządku, której kolumny i wystawa są doskonale dochowane, i służy teraz za magazyn do chowania owsa. Odpowiadał ten kościół drugiemu, którego tylko została sciana. Jest bowiem całkiem zabudowany i otoczony ratuszem, wznoszącym się na gru-

zacht wielkiego gmachu, któremu te dwa małe kościoły służyły zapewne za skrzydła. W podróży Dalmacyi, (*Voyage pittoresque en Istrie et Dalmatie*) znajduje się napis na pozostałej świątyni będący. Ja bowiem dla wysokości miejsca przeczytać go nie mogłem. Kamienie do budowli z dalekich miejsc musiały być sprowadzane. Są z rodzaju *Brèche Calcaire* zwanego, którego w okolicy nigdzie nie widziałem. — Między przyczynami niezdrowości tego miejsca przytoczyć należy zaniedbanie zriódła, między miastem a cyrkiem leżącego. To dawniej dawać musiało wody w czasie igrzysk i z wielkiem staraniem od Rzymian jeszcze cembrowane, ku morzu miało swój uchod. Teraz ten zamulony będąc, woda rozlewa i zamienia się w bagno, którego wyziew w kraju tak gorącym nie może być tylko bardzo szkodliwym: postrzeżenie jednak przy wchodzie do miasta popiersia *Eskulapiusza*, w murze oprawionego; daje mi sądzić, że i dawniej tamże powietrze nie musiało być bardzo zdrowe. Napisów żadnych nie przytaczam, ponieważ te są już dawno przez wędrowników przepisane a znaleźć ich można dośyć wiele w ścianach domów.

### List VI. (z *Fiume*).

Pamiętny na przestrogi, które mi dawano jeszcze w Tryeście, abym się nie narażał na złe powietrze w Pola, wolałem nocować na okręcie, niż w mieście; lecz i to nieuchroniło jednego z towarzyszków mojej podróży, Polaka, od dostania febry, z której ledwie w półtora roku potem się wyleczył. Wtenczas, gdy odpływałem, przyplęło kilka bark z Czarnogórcami, którzy z popem swoim z poblížszej przyplęnęli byli wioski. Są to potomkowie dawnej Czarnogóroów osady, którzy od półtorasta lat.

dla swego do Wenetów przywiązania kraj własny opuścić musieli. Mimo tak wielkiego czasu upływu zachowali jednak swoje zwyczaje, ubiór i religię, i mimo jedynostajność języka rzadko się z Istryjczykami powinowacą. Było pomiędzy nimi kilka dziewcząt bardzo ładnych, i ubiór ich był dosyć przyjemny, mężczyźni zaś nie mieli innego obuwia, jak chodaki skórzane, sznurkami sztucznie uplatane, które oni „oparkami“ zowią.

Płynąc z Pola na wschód, wchodzi się w część morza adryatyckiego: Quarnero \*) zwaną, co jest skróceniem dwóch słów włoskich Quartiro nero. Morze to winno swe nazwisko licznym rozbiciom, którym podlega przez częste nawałności i burzliwą prawie zawsze powierzchnię. Jest to odnoga, górami otoczona i kilką wyspami w środku leżącemi ściśnięta tak, że do pływania same tylko cieśniny zostają. Z tych powodów wiatry, czy z gór czy od morza idące, zawsze odmęty sprawiają i wichrów nieustannych stają się przyczyną. Płynie się do Fiume prawą stroną półwyspu Istrii, morzem ściśnionem przez tenże półwysep i wyspę Cherso. Duża góra: monte Caldiero zwana, zostaje po lewej stronie.

Stałem w nocy w porcie fiumeńskim, mimo sprzeczności wiatrów przystawała ta, ze wszystkich stron otwarta, w rzeczy samej portem nazwaną, byź nie może, i jest bardzo miłąką. Z trudnością nawet ładowne baty do niej wchodzą, a większe okręty mimo największej nawałności daleko w morzu kotwicę zapuszczają muszą. Miałyżyna tego portu coraz więcej się pomnaża tak przez wiatry południowe, które go zasypują, jak też przez deszcze,

---

\*) Oszukany przez pisarzów włoskich dałem etymologię, która nie zdaje mi się byź sprawiedliwą, i w późniejszych edycjach ją poprawię. (Przypisek autora wśród omyłek druku).



które, oplukując postronne góry, codziennie go zawalają. Tu dokładnie widzieć można i zebrać najmniejsze dowody podnoszenia się codziennego gruntu morza adryatyckiego. Dawniej morze do samych bram starego miasta przypierało, teraz drugie miasto nowe, większe od starego, na nowych morza wysypach zbudowane zostało. Prócz śladów widocznych tak wielkich odmian w lądzie, nic na nim badacz natury ciekawego więcej nie znajdzie. Wznoszą się za miastem góry, równie tak dzikie i z ziemi obnażone, jak tryestyńskie. Idzie przez nie zaczęta droga, kosztownie robiona nakładem towarzystwa złożonego z panów węgierskich i austryackich. General Wukasowicz kieruje temi robotami, które zaledwie do połowy ukończone są. Droga ta służyć ma do łatwiejszego wyprowadzenia produktów z Węgier do morza i skraca o połowę dotąd używaną. W dole pod drogą w przepaści niezmiernie głębokiej daje się widzieć źródło rzeki, która imię miastu nadaje. Dotąd bowiem miasto Fiume sławiańskie narody „Rzeką“ nazywają. Ta woda wytryska z pod skały i okno jej według powieści mieszkańców jest niezgłębione; do picia jest zdrowa i prowadzona jest kanałem mimo miasta do morza, wśród mnogości spuklerzów, z których towary na małe statki ładują i niemi do okrętów dowożą. Część tej drogi—która wisi nad miastem, i którą przemysł ludzki wykuł w skałach wapiennych nieprzystępnych—przypomina choć w miniaturze sławne przejście Simpfonu, które z Włoch do Szwajcaryi prowadzi, i to porównanie może być tem sprawiedliwsze, że tu w tym obrazie rzeka miejsce potoku *Tocia* zwanego zastępuje.

Liczba kapitalistów w Fiume nie jest wielka i możność pieniężną, w tem mieście dosyć już ograniczoną, kilka upadłych banków jeszcze więcej uszczupliło. Nic

jednak nie przykłada się więcej do pomysłowości tego miasta, jak fabryka czyszczenia cukru. Ta jest jedna może z największych w Europie. Piećset robotników codziennie ta rękodzielnia zajmuje, a mieszkania i budowle ma wspaniałe i wygodne. W robocie jednak około cukru nic nowego nad znane już sposoby nie widziałem. Uważałem jednak z ukontentowaniem doskonały, jak zwykle, wyciszczony cukier, który jako upominek miał być posłany przez Franciszka II. cesarzowi marokańskiemu. Nic piękniejszego nad krystalizację i białość tego cukru. Było 150 głów dla jego afrykańskiej wysokości i te zawinięte w chustkach jedwab'nych pasowych.

Doznałem wiele gościnności od mieszkańców miasta, i tydzień przyjemnie w Fiume przepędziłem. Ten upływ czasu trzeba przypisać trudności, którą miałem w najcięższym okrętu. Nakoniec, wszystkie przygotowania pokończywszy, zabrałem się do wyjazdu i konsul moskiewski Melissino, z którego stryjem byłem w przyjaźni, chcąc mię do Segnia odprowadzić — miałem w nim towarzysza podróży równie przyjemnego, jak wesołego. Wsiadając już na bat, który miał mnie do okrętu odwieść, znalazłem w porcie Greka z Tryestu z żoną, który w tę samą, co ja, chciał jechać drogę, tylko mniej odemnie szczęśliwy okrętu jeszcze nie miał. Że mój był dość obszerny, miałem się za szczęśliwego przyjąć go do siebie. Otóż jestem z trzema towarzyszami nowymi, i spodziewać się trzeba, jeżeli pora mi posłuży, podróży przyjemnej i wesołej.

#### List VII. (z *Portore.*)

Wyjeżdżamy nakoniec z Fiume, czeladź okrętu składa się z kapitana, który jest sternikiem, i pięciu majtków. Orszak zaś mój z konsula rosyjskiego Mellesino, negocyanta tryestyńskiego z żoną, młodego Polaka, wirtuoza

jednego, Włocha, którego przyjąłem był w Tryeście dla zbierania i notowania w moich podróżach pieśni — któreby nas uderzały, i oraz muzyki narodowej—Murzyna i chorego Polaka, którego stan zdrowia bynajmniej się nie polepsza, słowem było nas czternastu, a ponieważ izdebka w okręcie była nadto szczupła dla nas, musieliśmy na przemiany sypiać na pomoście okrętowym. Pierwszego dnia cisza morska nie wiele pozwalała nam upłynąć; lecz nazajutrz burza przedzieliła nas, niżeliśmy się spodziewali, przyniosła do Bukary, po sławiańsku Bakar zwanego miejsca. Jest to jedyny port królestwa węgierskiego, czyli raczej roztok, między wielkimi górami, do którego przystęp dla wicherów z gór spadających jest bardzo trudny i w środku którego dla teje samej przyczyny stanowisko dla okrętów jest bardzo niebezpieczne. Zamek dosyć obszerny, wznosi się na wyniosłej górze. Jest gniazdem sławnego domu Frangipani, tak znanego w dziejach węgierskich z dzieł i przygód swoich. Tu się poczynały wielkie posady i rozległe włości tego możnego domu, którego szczątka warte lepszego losu: tułackie długo prowadząc życie, od nikogo nieznanymi i od wszystkich opuszczonymi w Rzymie osiedli. Przyjechałem w kilka dni po sprzedaniu na licytacyi dawnej zbrojowni tego domu. Znajdowała się tam także karacena po nieszczęśliwym Frangipani, którą, jako starożytność chciałem nabyć, lecz uprzędzono mi, gdyż przed dwoma dniami ją wyniesiono.

Miasteczko choć małe, ale ludne, dosyć przyjemnie leży u spodu gór, które ze wszystkich stron widok tego portu zacieśniają. Sama przystań, choć nie wielka i na wschodowe wiatry zawsze wystawiona, wydaje jednak znaczny wyżów połów, których dniem wprzód 150 razem złapano. Nic ciekawszego, jak to polowanie\*) i warto, że-

\*) poławianie.

bym ci go kochany przyjacielu! opisał. Na wysokim i grubym słupie, na 15 łokci przynajmniej nad morzem wyniesionym, jest zrobiony stołek, na którym—dzień cały rybak nic na skwary słoneczne nie uważając, oczy wlepiwszy w morze—czuwa na przyjscie wyzów i znak, gdy przybędą, daje towarzyszom swoim. Ci mają czółna gotowe, sieć w jednym przyjsciu rzucają i powrót tamują. Inne bowiem i daleko grubsze, na wzór parkanów naszych myśliwych, są raz na zawsze w morzu zatopione. Takim sposobem jedyny otwór będąc zamkniętym, tworzy te do jednego bywają wylapanie. Połów ten, dość z siebie zyskowny, jest bardzo kosztownym. Gdy wielki bowiem nawał ryb wejdzie, natenczas często cała ta budowla wywróconą i zupełnie prawie zniszczoną zostaje. Złapane wyże albo solone, albo wędzone zostają i w tym dwolistym stanie w handel puszczane bywają. Wyż jest podobny do łososia, tylko daleko większy, dłuższych jednak nad trzy łokcie nie widziałem. Jest niezmiernie silny i krzepki, mięso jego świeże bardzo smaczne i w tem lepsze od łososia, że nie przejada się; czego mam doświadczenie, bo dwa tygodnie pływając czasem po Adryatyku innego pożywienia nie miałem.

Nie czując się bezpiecznym w porcie Bukary, wypłynęliśmy ztamtąd, i późno w nocy stanęliśmy w Portore, dawniej także do Frangipanich należącym i dla późnej pory musieliśmy na okręcie nocować. Przystań ta, zrobiona jest całkiem kosztem i nakładem Józefa II., który nic nie żałował, żeby ją bezpieczną i wygodną zrobić. Geniusz tego cesarza całkiem się tam okazuje, jak też chęć, którą miał, odjęcia Wenetom panowania na Adryatyku. Grobla kamienna cały ten port opasuje i jest obłożoną kamieniem ciosowym, z Malty sprowadzonym, co dowodzi zbytku, który tym robotom przewodniczył. Port jednak

jest opuszczony, mieszkańców jest bardzo mało i dwa zamki starożytne na wierzchołkach przyległych gór wznoszą się; cesarskie spichrze są dosyć obszerne, ale handel mimo tego jest prawie żaden i za mojej bytności jeden tylko okręt kupiecki był na warsztacie, bliski ukończenia. Wiele jest przyczyn opuszczenia tej przystani. Komunikacja najprzód z Krocją i Banatem jest bardzo trudna i drogi, jeżeli są, to znajdują się bardzo źle i przykre, a zatem dowóz produktów z stałego lądu jest bardzo lichy i prawie żaden. Przytem kąt ten morza jest bardzo burzliwy, nawałnościom podległy a tem samem dostanie się do Portora bardzo trudne, i dla małej zaciszy stanie w porcie nie bardzo bezpieczne. Z powodu więc tak ważnych przyczyn nie można się spodziewać, aby ta przystań w pomysłniejszej znalazła się kiedy porze, wszystkie bowiem nakłady możnowładców całej Europy nie zaspokoją\*) morza Quarnaro, i nie zasłonią żeglujących po niem od częstego rozbijania się.

Nim porzucimy tę okolicę, należy mi jeszcze słowo powiedzieć o Istrii. Półwysep ten—górami wapiennymi okryty; gdzie niegdzie uprawiany; osadą sławacką, która dużo ojczystego nadpsuła języka zamieszkały—wszędzie wystawia ślady dawnych wód znikłych i łożysk wysuszonych jezior. Historycy nie zgadzają się w przyczynie nadania temu krajowi nazwiska Istrii. Jedni chcą, aby też pochodziło od Dunaju, dawniej Ister zwanego. Druzy od osady mieszkańców naddunajskich, tam dawniej osiadłych. Dla dowiedzenia fałszu tych wniosków dosyć jest zobaczyć ten kraj, aby się przekonać, że tamtędy Dunaj nigdy nie miał swego łożyska, powtóre że historya nam nie wystawia nazwiska narodu Istriyanami zowiącego się, tylko odwiecznie daje nam uważać w Istrii część Iliryi, czyli Sławaczyny do państwa rzymskiego należącej

\*) Nie uciszą.

W mojem przekonaniu znalazłbym przyczynę daleko bliższą. Istrya wystawia nam kraj górzysty, skalami—obnażonemi z ziemi—najeżony tak, że trudno kilka sążni gładkiej drogi znaleźć, a Gorycya stawia nam obraz kraju górzystego, ale w którym skały są powleczone ziemią do utrzymania postaci zielonej i żywej. Jeżeli temu ostatniemu krajowi sławackie słowo góra mogło dać nazwisko, czemuż w tem drugim położeniu, kraj chropowaty i ostry—nie miał być ostrym nazwana. A że to słowo *Ostry* „*Istry*“ się wymawia u Istryanów [tak jak w małosyjskim, gdzie prawie zawsze *O* na *I* się przemienia] znalazłbym do podobieństwa, że na tem założyć trzeba przyczynę podobnego nazwiska. Tem więcej, gdy w dawnym krajopisarzu Strabonie mamy wyraźnie, że Dunaj od swego źródła zowie się Dunajem, i od porogów swoich koło Maszur i Pozawi bierze dopiero nazwisko Isteru, dla tej samej snadź przyczyny, co i Istrya. Puszczając się dalej na morze analogij, niemożliżbyśmy znaleźć początku słowa Ister w dnie „*istrem*“ czyli ostrem i porogami czyli skalami najeżonem. Słowem, może śmiać się będziesz z moich domysłów; ale mojem jest zdaniem, że tam gdzie dziejopisowie i cała nakoniec nauka umyka nam śladów, droga analogii nie jest do wzgardzenia. Wiem, że tego sposobu często na złe i często śmiesznie używano, że był za dawnych czasów w Polsce szaleniec, który utrzymywał, że łaciński język pochodzi od polskiego; ale w jakiejże nauce podobnych nie było Głębockich. \*).

---

\*) Etymologia; czyli nauka pierwiastków języka, jest wsparta na stosunkowych czyli analogicznych domniemaniach, na podobieństwach i rozsądki wspartych. Słowem z tego samego czerpa źródła, co i wszystkie nauki, które na matematycznych formułach

List VIII. (z *Velio*.)

Wypłynawszy z Portore, chcieliśmy iść kanałem, między wyspą *Velio* a lądem będącym; ale wiatry nas tam nie puściły; musieliśmy więc udać się na zachodni brzeg wyspy, gdzie dla ciszy słabo od wiatru posiłkowani byliśmy; i pchać się naprzód wiosłami musieliśmy. Nakoniec majtkowie znużeni nakłonili nas do zawinięcia do portu odludnego, w którym najmniejszego mieszkania nie było. Gaik z drzewa *Agnus castus*, figowe sady i winnice pochyłość gór zdobiły. To dało nam sądzić, że nie daleko musi być wioska, i tamże natychmiast po wodę, której nam brakło, posłaliśmy. Sami zaś mieszkanie sobie obraliśmy w winnicy najbliższej i mnogość owoców, już dościgłych; gasząc pragnienie nasze w przyjemne ustronie odludną tę przystań zmieniła. Trzy dni będąc tam przez ciszę zatrzymanymi, użyłem ich do poznania wną-

---

pewności swej zasadzać nie mogą. \*) . . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

Leibnitz sławny chciał koniecznie historję plemienia ludzkiego ze znajomości i stosunków etymologicznych ułożyć, bez których poznania żaden język doskonałym być nie może, jak chemia bez rozbioru. Artykuł śmieszności nie przeciw niej nie dowodzi. Nie masz nauki, którejby nadużycia rozum ludzki sobie wymawiać nie miał, i dlatego trafnie go Marcin Luter przyrównał do człowieka pijanego, który się na swoim okle prosto utrzymać nie może; zawsze się na jedną stronę podając.

---

\*) W wykazie omyłek druku znajduje się o ustępie tutaj wypunktowanym następujący przypisek autora: Cały ten peryod niema sensu, trzeba go więc poprawić podług manuskrypta:

trza tej wyspy tak przez częste przechadzki, jakoteż przez rozmawiania z mieszkańcami. Przez ten przeciąg czasu żyliśmy kilku sucharami, i wyżami kupionemi w Bukary, a owoce tej winnicy, dawały nam wody; noc zaś przepędziliśmy wszyscy pod dużem figowem drzewem, między którego gałęzie winne latorośle przyjemne wiły się.

Wyspa ta ma do 30. mil włoskich długości, do 13. szerokości, a do dziewięciudziesiąt obwodu ogólnego. Należała dawniej do sławnego Frangipani, i jakim sposobem dostało się w ręce Wenecyanów, nie jest wiadomo. Jest tylko podanie, czyli tradycya w kraju, że galera wenecka, miby przypadkiem, wstąpiła do portu weliańskiego i zaprosiwszy do siebie Frangipaniego zdradą go uwieźla; lecz zostawić trzeba dziejopisom sprawdzenie tej powieści. Stołeczne miasto tej wyspy jest Welia i to imie swoje krajowi nadaje. Tu jest siedlisko biskupa, rządu i szlachty. Lecz są jeszcze inne miasta od stołecznego większe, jako to: Beska stara, Beska nowa, Berbenico, Dobrigni, Castelmashio, Dobasnia, Parica, Punta, które wszystkie są podzielone na 47 parafij. Prócz tego dość częste są wioski i plebanie; pospolicie ludzie bardzo uprzejmi i gościnni. Ludność wyspy wynosi do 15,000 mieszkańców. Ubior ich jest czarny powszechnie, bez najmniejszego wyłączenia, i przyczyny tak jednostajnie przyjętej żaloby dowiedzieć się nie można, powszechnie jednak jest mniemanie, że po śmierci Frangipaniego kolor ten dla oznaki smutku przyjęli. Mężczyźni jednostajnego stroju używają, krojem zupełnie do kozackiego zadnieprskiego podobnym. Szarawary obszerne, żupanik bez wylotów, pas równie czarny i jolom tegoż koloru na głowie; zamiast butów trzewiki bez sprządek. Kobiety zaś do stroju czarnego przyjęły chustkę białą, nakształt zawitki złożoną, która przypasuje głowę i schodzi się na krzyż nad czołem;



pończochy zawsze czarne, i spodnice krótkie marszczone, na kształt szlążkich. W czasie żałoby, zamiast białej chustki, biorą pomarańczową, i w ten czas ani zausznic, ani żadnej ozdoby nosić niewolno. Dziewki przeplatają włosy wstążką czerwoną, jak wszystkie sławackie narody; lecz, jak pójdzie za mąż, do powszechnego zwyczaju powrócić powinna.

Trudno widzieć lud lepszy, jak mieszkańców Welii, niepodobna mówić widzieć ludzi gościnniejszych, i więcej zbliżonych do natury, chyba na wyspie Otahity. Słodycz swego charakteru winni są ci wyspiarze po większej części spokojności, w jakiej od dawnego czasu bez żadnej wojny zostawali i można powiedzieć, że wyspa Welia, jedyny przykład w Europie wystawuje przebycia kilku wieków bez najmniejszej napaści, i krwi wylewu. Gdy z nimi gadałem, powiadali mi wszyscy jednostajnie, że największe ich byłoby nieszczęście, i do rozpaczby ich nawet przyprowadziło, gdyby dwór nakazał rekruta. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z tych wyspiarzów zapytał mnie z prostotą prawdziwie patryarchalną, czy przed momentem bitwy obydwie strony robią sobie nawzajem znięwagi, bo oni nie mogą sądzić, aby ludzie mogli się bić z zimną krwią z innego powodu. Powinszuj mi więc kochany przyjacielu! znalazłem przecie na świecie kątek tak szczęśliwy, gdzie jeszcze człowiek we krwi bratniej ręki nie umoczył. Lecz przyznam się, że mimo sławackiego języka, którym oni gadają; mimo jednostajności zwyczajów, wstręt ich do wojarstwa (wojowania) i do kolorów jasnych w odzieży, każe mi wątpić, żeby ci wyspiarze z bitnego Sławaków pokolenia pochodzili. Może nakoniec długi pokój i gnuśność wytepiły w nich zaród bohatyrstwa. Może oni pochodzą z tego Sarmatów pokolenia, o których Strabo powiedział, że zawsze w czarnej chodzili odzieży.

To jest pewna, że wszyscy Sławacy, nie wyjmując nawet najbliższych tej wyspy mieszkańców, mają sobie za chlubę noszenie przy sobie broni; ci zaś nie tylko, że jej przy sobie nie mają, ale nie wiem nawet czy na całej wyspie znaleźć by można więcej, jak dziesięć strzelb, i to jeszcze służących do odstraszenia ptactwa od winnic.

Wyspa ta ma lasy bukowe, jasionowe, *fraxinus ornus* — z którego manna kalabryjska zwana — dębowe (*quercus ilex*), i rodzaju kruszyny kolezystej, *chamnus paliurus* zwanej. Fig najwyborniejszych obfitość duża, wino, miodały, oliwa, ziarna cokolwiek, jarzyny, morwy; wszystko to na tej nieurodzajnej, lecz pracą użyznaną rodzi się posadzie. Robota także koło jedwabiu jest dosyć znaczna, i pszczoły nie są zaniedbane. We środku wyspy jest stawek, utworzony przez małe źródło i ścieki wód pobliskich. Tam poławiają się węgorze wielkości niesłychanej, co nawet składa część dochodów biskupa.

Dyrektor wyspy mieszka w Welia i tenże jest głową rządu, zależy jednak od gubernatora Zary, do którego się ten rząd całkiem odwołuje. W składzie dzisiejszym rzeczy, jednej znacznej ci wyspiarze doznają przykrości, to jest: że w swoich dolegliwościach nie mogą zaskarżeń zanosić prosto do cesarza, tylko wszystko przechodzić musi przez ręce tychże samych, którzy są celem i powodem ich zaskarżeń. Gdyby zaś który chciał osobiście skargi zanosić, nie może wyruszyć bez paszportu, a paszportu nikt nie ma mocy dać, tylko gubernator. . . . . Maja swoje sądy tak dla szlachty, jak dla pospólstwa, a sędziowie są przez nichże samych wybierani.

Wyspa ta byłaby nierównie więcej uprawiona i żyzna, gdyby nie północno-wschodowy wiatr, który tak na niej, jak na wszystkich innych w morzu adryatyckiem leżą-

cych, wygubia rośliny. Cała ta wyspa wznosi się na podstawie zupełnie wapiennej i skały tego rodzaju najeżają jej powierzchnię. Jest to kamień wapienny, który choć na pozór zdaje się być pierwiastkowym, ale w istocie dobrze wpatrzywszy się ma wyciski z ostracytów i numularów, muszel morskich, których rodzaj zginął, i samą tylko petryfikacją, czyli skamienieniem jest śledziona, czasem też narywa się w dole kamień *Brèche calcaire* zwany. Ma też wyspa niektóre małe kopalnie węgla kamiennego, a w przerwach gór znaleźć można kawałki żelaza ośmiościennego (*fére octaëdr*), w samych dotąd wygasłych wulkanach znajdującego się, i to jest oprawione w kamieniu wapiennym, który jest jego macicą.

Nigdy w życiu nie zapomnę gościnnego przyjęcia tych wyspiarzów; nie tylko bowiem starali się być mi użytecznymi, ale nieprzestając na tem szukali nawet sposobu zabawienia.

Zatrzymany przez wiatry przeciwne w Besce, wa wszystko opatrzony byłem: choć w dzień świąteczny umyślnie dla mnie chleb piekli, bydle zabito; słowem zdawało mi się, że już nic do zupełnego mię przyjęcia nie brakowało; lecz omyliłem się. Za ledwie oświadczyłem chęć słyszenia pieśni krajowych i dum, natychmiast mnóstwo mężczyzn i kobiet ubiegało się na wyścigi, żeby dogodzić ciekawości mojej. Ja słowa wypisywałem, doskonały artysta Włoch, będący w usługach moich, muzykę notował. Zwyczaj ich jest chórami śpiewać, co śladuje starożytność najdawniejszą; i nic piękniejszego nie było, jak widzieć w czasie stania naszego w porcie tych wyspiarzy po kilka obojej płci w jednym gronie siadających po skałach pobliskich naszego okrętu, i popisujących się nawzajem swymi głosami. Śpiewanie ich jest melodyjne, smutne, powolne i piętno wielkiej starożytności mające. Wieczorem

w dniu, który poprzedzał mój wyjazd, dali mnie widowisko, którego przyjemność nie prędko zapomnę. Noc była ciemna i cicha, my przechadzaliśmy się po pomoście okrętowym, gdzie nagle ujrzeliśmy kilka batów do nas płynących, luczywem oświetlonych, które ze śpiewaniem ku nam postępowały. Szelest wiosel przerywał ich piewy, a pieśni po pieśniach następowały. Znęgła drugie kupy schodziły z gór, i na kilka chórów się podzieliwszy wzajemnie sobie odpowiadali. Artysta mój, Włoch, przewybornie grając na klarynecie ostatnie strofy na okręcie powtarzał, co im się niezmiernie podobało. Nie można wystawić przyjemności tego obrazu: cichość nocy ciemnej, połysk na morzu oświetlonych batów, góra nad portem będąca, ogniami oświetlona; śpiewania, które się w okolicy rozlegały; to wszystko dawało tej scenie znamie dość poważne. Trwała ta zabawa późno w nocy, i tańcem dosyć podobnym do kozackiego zakończyła się. Postawa ich nawet w śpiewaniu ma coś nadzwyczajnego. Siadają bowiem w koło, i głowę na bok nachyloną prawą podpierają ręką. Nakoniec postrzegłszy, że — mając przed dniem ruszyć — spoczynek nam potrzebny, przerwali swoją zabawę i, życząc nam z jak największą serdecznością zdrowia dobrego, jak własnych braci pożegnali. Powracajcie do domów szanowni wyspiarze, używajcie chwil szczęśliwych, a jeżeli wam hołd wdzięczności podróżnika może być miłym, w tem piśmie go znajdziecie. Wesolość nasza jest świadectwem łatwości, z jaką wam przychodzi pierwszych potrzeb opatrzenie, a razem dobrego mienia, którego trwałość wasze życie pracowite na zawsze wam zaręcza. Nie oddalał się ten w dalekie kraje, kto nie potrafił sobie wystawić uczucia, którego człowiek doznaje widząc współbraci szczęśliwych i zaszczyt swemu rodzajowi przynoszących, którzy ludzkim swoim przyjęciem

sprawiają mu zapomnienie oddalenia się od ojczystej posiadłości. Z żalem się odrywam od tak tkliwego obrazu. O Wellio! czemu całym nie jesteś światem, albo raczej czemu świat nie jest tobie podobnym? Przyjmcie szczęśliwi mieszkańcy w tem oddaniu wam sprawiedliwości dowody uczuć, któremi przyjęty byłem na waszej wyspie, i bodajby żaden wędrownik, nadużywając waszej gościnności, nie wprowadził do was zmiany obyczajów a zatem i szczęścia.

### List IX. (z Segnia).

Dziewięć dni w tej gościnnej wyspie, w różnych miejscach jej pobrzeżów wiatry przeciwne nas zatrzymały. Nakoniec widząc, że dużym okrętem nigdy sprzecznym nie potrafię przełamać wiatrów, wziąłem bacik mały z czterema wiosłami i przed odpłynieniem od tej wyspy chciałem widzieć jeszcze klasztor, w którym miał się znajdować nagrobek domu Frangipanich. Leży on w samym końcu odnogi morskiej, przyjemnie w lasku dość obszernym oprawiony, który mu razem i za ozdobę i za ochronę od wichrów służy. Składał się on z dębów, *quercus ilex* zwanych, a kolczysty *ruscus*, i niektóre gatunki barwinku całą okrywały ziemię. Nie znalazłem w tym klasztorze tylko jeden grób niewiasty z Frangipanich domu, który nie ma w sobie nic osobliwego, tylko dawność swoją, bo jest z roku 1400.

Obejrzawszy tę odludność bogomodłców, plyneliśmy ku Segnia, dla szczupłości naszej nawy jak najbliższej się lądu trzymając. Morze było niespokojne, i kilka razy bałwany morskie, do połowy bat nasz napełniając, nieprzyjemną, zmoczywszy nas do kostki, sprawiły kąpiel. Nakoniec zaczęło się morze uspakając, i majtkowie nasi spo-

konnie wiosłami robić mogli. Płynęliśmy mimo kilka wyspek pustych, i sternik nasz nie porzucając rudła, wiedząc, że ta okolica jest dosyć rybną, zapuścił w morzę wędę zawinawszy koło ręki sznurek, u którego hak i zanęta były przyczepione. Tej nieróztropności zaledwie drogò nie przepłacił; bo pociągnięty przez rybę mało co nie wpadł w morze, i byłby zapewne utonął, gdyby poblížszy majtek nagle go nie schwycił i nie dał czasu sznurkowi do wymknięcia się z ręki.

Tymczasem dopływamy do Segnia; na boku którego miasta leży zamek opuszczony a nad nim i nad całym miastem wznoszą się wysokiej góry, Wratnik zwanej, wierzchołki. Łańcuch ten wznoszących się gór, był nieprzebytą tamą dla morza adryatyckiego w czasie pierwsiastkowego jego zalania. Port jest mały i nieustannego wyczyszczenia potrzebujący. Same miasto jest nie wielkie i mało ludne; ale mieszkańcy, godni dawnych Uskoków następcy, wiele cnót swoich przodków zatrzymali, jeżeli ze starożytnością odwagę: cnotą nazwiemy. Przodkowie ich, Uskoki zwani, byli dawniej panami całego morza adryatyckiego. Wenecya, na ów czas tak potężna, drżała przed nimi, a ci w licznych wyprawach swoich aż do Friulu się zapędzali. Widziałem jeszcze po kościołach dawne ich grobowce, te tchną jeszcze duchem wojarskim, który zeszyłych ożywiał bohaterów. Wszędzie na nich widzieć się dają popiersia wyryte, w jednym ręku pałasz goły, w drugim głowę pokonanego nieprzyjaciela trzymające. Choć zła rzeźba, znamię śmiałości jest w nich zachowane, i zuchwałą swoją postawą zdają się grozić zuchwalcowi, który śmie po nich deptać. Zniknęła jednak ta ich potęga, tak jak znikają wszystkie waleczne narody, które meztwa osobistego światłem nie wspierają. Wymazani z liczby żyjących narodów, sława dzieł bohater-

skich wyzwala ich z pod władzy niepamięci, i umieściła w liczbie kozaków grożących Carogrodowi; Tatarów, świat podbijających pod Tamerlanem; Wenetów, opierających się całej Europie; a może i narodu, bliżej się nas dotykającego. Dawnej ich potęgi w budowlach śladu nie zostało, prócz nizezemnej twierdzy i kilku starodawnych domów.

Zdobycie na Turku prowincyi Lika i Otoczacz, bez żadnej obcej pomocy, zjednało Segnianom liczne od królów węgierskich i cesarzów privileje, których podobno większa część, równie jak los tego miasta, zostaje w zawieszeniu.

Od czasów Józefa II. żadnej sami przez siebie nie zrobili wyprawy. Odwaga jednak płynie zawsze razem ze krwią w żyłach mieszkańców, i przykładu nie ma, aby kiedy zajęcie się domu płomieniem smutne skutki przynieść mogło. W takim przypadku wszyscy się ruszają, niewyjmując nawet kobiety, do zgaszenia miastu grożącego pożaru — i nic nie jest dziwnego: widzieć Segniana, nóż w zębach trzymającego, własnymi rękami ogień gaszącego i drapiącego się po dachach płomieniem objętych.

Segnianie są Słowacy; ustawnie broń przy sobie noszą i odzież, właściwej horwackim narodom, używają. Śpiewanie dosyć lubią i muzyka ich, lubo od weliańskiej różna, nie ma dziczyny morlackiego piewu, i ma w sobie znamie polskie.

Niepewni są swego losu, bo — mając należeć do królestwa węgierskiego — zostają dotychczas pod zarządem wojskowym. Miasto to niezmiernie jest Węgom & osobliwie Banatowi i Horwacyi potrzebne tak dla przyległości, jak też dla łatwej produktów sprzedaży. Ponieważ jedyna droga do Horwacyi przebywa wysokie góry, pod któremi miasto leży, przeto mnóstwo co dzień przychodzi

z krajów za górami leżących podwód, które ziarnem podsycają spichrze segniańskie. Trudno znaleźć miejsca, któreby uporniej na północno-wschodowy wiatr było wystawione. Nigdy tam atmosfera nie jest w spokojności, i nigdy okręty w przystani segniańskiej stojące nie mogą pochlebiać sobie: znaleźć tam bezpiecznego schronienia. Wyzierające — przy wnijsciu do portu — z łona morskiego ostatki zatopionych okrętów przybywającego naprzód uderzają wędrownika, i zdają się razem ostrzegać wchodzące nawy o losie, który je może spotkać.

### List X. (*z Arbei*)

Góry wznoszące się nad Segnia są, jak powiedziałem, częścią tego łańcucha, który od zatoki Adryatyku, resztę Europy oddziela; wszystkie są wapienne i zdają się po większej części być pierwszego tworu. Wzgórek od strony morza, na którym stoi zamek, najosobliwsze wystawia widowisko. Nachylenia warstw (są) w sposobie bardzo dziwnym, i zupełnie między sobą sprzecznym. Widąc tam bowiem warstwy ciągle wznoszące się pod nachyleniem pięciudziesiąt gradusów, nagle przecinane w sposobie prawie prostopadłym przez inne warstwy, które przez różne odmiany osiadły w kierunku zupełnie sobie przeciwnym. W tak odmiennym skał kierunku można także widzieć warstwy, na których obydwóch końcach cieżące bryły niezmiernie nachyliły je ku ziemi w kształcie łuku, i linię prostą zamieniły prawie w pół cyrkla. To tak dziwne warstw przekształcenie śledzi dawne zmiany i wstrząsienia tej góry, mniej jednak gwałtowne od tych, których doznały nad pobliskim Morlachii kanałem leżące, które porozrywane żadnego kształtu warstwy nie zatrzymały, tylko kup 'kamieni, w stos bez porządku ułożonych, dają nam wizyrunek.



Góry za miastem leżące, Wratnik zwane, dlatego zapewne, że tamtędy od morza różne narody tworzyły sobie drogę do horwackiej ziemi i, że wykute w wnętrznościach tej góry drogi były niby wrotami, któremi się do słowackich posad wchodziło. Droga terazniejsza jest zupełnie insza i w kierunku swoim różna od tej, którą Rzymianie uczęszczali. Ta ostatnia szła przez wierzchołki gór blisko „Promontorium Velium“ zwanego, i tam Józef II. znalazł jeszcze koleje i ślady napisu twórcy tej drogi. Uważając, przez jakie wierzchołki dawna Rzymian szła droga, nie można sądzić, znając to piętno rozsądku, które śladuje wszystkie dzieła tego olbrzymiego państwa, aby koniecznie się usadzono, żeby przez najwyższy góry wierzchołek prowadzono drogę, którą niżej sposobem daleko łatwiejszym utworzyć można było. Należy raczej sądzić, że naokoliczne wierzchołki były wówczas wyższe od tego, w którym kuto drogę—co jest dosyć podobne przez doświadczenia codzienne zmniejszania się wierzchołków gór z kamienia, osobliwie tak miękkiego, złożonych. Dla zepsucia barometrów moich, które na okręcie były zaciekły, niemogłem zmierzyć wysokości Wratniku, ale zdaje się, że równie jest, jak Szotwin, wyniosły. Wierzchołki najwyższe są wapienne, lecz poniżej znalazłem wzgórek najprzód z Roche de Corne, czyli kamienia gliniastego złożony, który na powierzchni jest dosyć kruchy, czasem koloru rudego, czasem koloru zielonego i w tem jest osobliwszy, że chodząc po *detridus* tego kamienia, koloru czerwonego, obuwie okrywa się prochem zielonym. Dalej postępując — te kamienie nagle się zamieniają w porfir, który czasem jest klingszteinem albo pierre resonante; czasem przemienia się w porfir łupny, dźwięku nie wydający, ale bardzo okraszony przez farby, które go przejmują: na dnie bowiem zielonem wi-

dać plamy czerwone i cętki białe — i tego ostatniego prób-  
kę wziąłem z sobą. — Pasma Wratniku jest największe,  
za nim jest jeszcze jedno pasmo gór do przejścia, a po-  
tem zaczynają się równiny kraju Liki i Korbawa.

Cheąc korzystać z czasu, który przepędziłem w Se-  
gnia, chciałem побли́ższą wyspę Arbe zwaną zwiedzić i  
najawszy mały statek w towarzystwie jednego kupca  
segniańskiego, człowieka dosyć światłego, tamże pojecha-  
łem. Czas był piękny, morze ciche, i w czasie tej po-  
dróży samej tylko przyjemności doznaliśmy. Płynąc ka-  
nałem między tą wyspą a lądem będącym, widzieliśmy  
kilka źródeł, które w samym trykały morzu; domyślają  
się mieszkańcy, że w tem miejscu rzeka Lika zwana, któ-  
ra krajowi imię nadaje i za tem pasmem gór w uchodzie  
podziemnym ginie, tu w morze wpada. Lecz, ponieważ  
to zdarzenie jest dosyć pospolite, i w odnodze Spezzia  
na pobrażu gienuańskim kilka miejsc się takich znaj-  
duje, a zatem dowodu niema, żeby w tem a nie innym  
miejscu ta rzeka wpaść w morze miała.

Z Segnia do Arbe liczy się 30. mil włoskich odle-  
głości, a wyspa sama niema jak trzydzieści i dwie mil  
ogólnego obwołu. Jest bardzo żyzną i co do składu  
swego i tworzenia od innych na pobrażu dalmackiem  
leżących różna. Mało bowiem znajduje się w niej skał  
wapiennych, i te na piaszczystej wznoszą się podstawie.

Ludność jest mała, i cała wyspa nie liczy jak 3000  
mieszkańców. Miasto jest małe, jednak dawniej ze sta-  
ranem murami było opasane. Jest mieszkaniem biskupa  
i całego rządu. Biskup jest dosyć człowiek światły,  
w Rzymie w propagandzie wychowany, i pierwszy gła-  
holiczny alfabet i dykcyonarz dla użytku duchowieństwa  
wydał. Księża bowiem mszę w języku iliryjskim od-  
bywają, i wszelkie nabożeństwa tymże samym odprawu-

ją sposobem. W tem się bowiem Ilyrcy od Rusinów różnią, że pierwsi alfabetu głaholitycznego, czyli świętego Cyryła używają, ci zaś skoropisu świętego Hieronima. A lubo tu nie jest miejsce do rozprawy w tej mierze, jednak wstrzymać się od tej uwagi nie mogę, że jako pierwszy daleko dawniejszy jest od świętego Cyryła; tak równie podobieństwa niemasz, aby ten drugi alfabet świętemu Hieronimowi był winien swój początek. Miał przytem ciekawe rękopisma, które mi dosyć z nieufnością pokazano, i według wiadomości, którą miałem o tym składzie starożytnym, wymawiano się, że karty oryginalne, których byłem bardzo ciekawy, zaginęły. Między temi jednak, które mi pokazano, pierwsze trzymają miejsce: przewilej Krezymira, króla horwackiego, z 1300 roku. Powtóre akt poddania się tej wyspy Wenetom i (o) rocznej daninie, składającej się z dziesięciu funtów jedwabiu surowego; nakoniec różne przewileje, dosyć rzadkie, Kołomana, króla węgierskiego. Mimo tego żałować mi bardzo przychodziło niewidzenia kart oryginalnych, których mi tylko niedoleżną kopię pokazali.

Odkryto na tej wyspie nie dawno kopalnię węgla kamiennego. Znajduje się także piasek szklanisty wyborny do pilowania marmuru i żadnej prawie nie podpada wątpliwosci, że Pliniusz chciał mówić o Arbie, gdy wspominał, że na wschodnim brzegu Adryatyku znajduje się do tego bardzo zdolny piasek, a na stałym lądzie wszędzie skały wapienne—nigdzie piasku nie widziałem. Lioparo jest część niska tego kraju, która dawniej oddzielną musiała składać wyspę. Cała ta posada spoczywa na głazach piaszczystych; jest dosyć niska i płaszczyny są okryte piaskiem ruchomym. \*) W miejscu, w którym styka się z wyspą Arbe, kraj jest żyzny i trochę bagnisty, tak przez

\*) lotnym.

ginienie kilku źródeł w piaskach, jak przez ustępy morza, które w czasie przybierania, rozlewając się na dużej płaszczyźnie, okolice niezdrowiem napelnia — czemu by łatwo małą groblą zaradzić można. Arbe jest jedno z miejsc, w którym podnoszenie się gruntu Adryatyku jest bardzo widoczne i prócz postrzeżeń badacza natury znajdują się tego ślady i dowody w rękopismach starych, które wspominają o morzu w tem samym miejscu, gdzie teraz jest okolica „Il Vale de San Pietro“ zwana.

**List XI.** (z *Novalia-Nova.*)

Lud na wyspie Arbie zdaje się należyć do liczego Sławian pokolenia. Zatrzymali oni tatarskie głów golenie nie zostawując, tylko na wierzchu głowy czub włosów, czasem strzyżonych, a czasem po chińsku długą splataną kosą zakończony. Piew ich ma jednostajność morłacką, i mimo ich liczego śpiewania nie ztamtąd godnego do wywiezienia nie znalazłem. Wyspa ta była zawsze albo pod rządem weneckim, albo pod węgierskim, a dawniej jeszcze horwackiemu berłu podlegała. Ten kraj, choć szczupły, miał także sławną dziewicę, która równą francuzkiej była bohaterce, i nie dawno jak (pewny) Weneccyanin z różnego o niej podania ułożył operę dosyć sławną.

Powietrze tam jest łagodne, przynajmniej jak rośliny śladują. Widziałem bowiem na dachach i murach miasta kapary \*) dziko rosnące, które żółtym dosyć ozdobnym okryte były kwiatem „*Agave americana*“ pospolicie „aloes“ zwanym — rośnie koło miasta dziko, bez żadnej uprawy; także „*cactus opuntia*“ na murach, gdzie niegdzie się zarywa. Lasy zaś są napelnione dębem, „*quercus ilex*“ zwanym, jasionami, lentyskami, rhusami i pierwsze to jest miejsce, gdzie Andrachne owocem okryte widziałem.

Z wyspy Arbe udałem się do wyspy Pago, gdzie

\*) *Caparis flore lulco.*

w małej wsi, Nowalia stara zwanej, doznałem tej rzadkiej gościnności, która zawsze od wspaniałych stroni przyzwoitości. Przyjęty, jak za czasów patryarchalnych w domu, który prostotą swoją wieki Filemona i Baucysa przypominał; ucałowany od letniej gospodyni, matki trojga dorosłych dzieci, przyjęty zostałem z tą rzadką uprzejmością, jakiej mało na świecie znaleźć można śladów. Jedliśmy pod wspaniałem sklepieniem, utworzonym przez spojenie się winnych latorośli z figowem drzewem, a owoce dojrzale, nad głowami naszymi wiszące, zdawały się naśladować panię do której należały. Dzień przytem świetny, niebo wypogodzone przyświecało tej uczcie, której rozkosz obrazem szczęścia tych cnotliwych ludzi dopełnioną była. Mielśmy przed sobą wspaniały widok spokojnego Adryatyku, z którego łona wychodzące skaliste i niezwykłe wyspy śledziły jeszcze ostatki zalanego niegdyś przez morze kraju. Nigdy wędrownik w rzeczonych cywilizowanych narodach podobnej nie dozna rozkoszy i choć nadarzą mu się przedmioty, któreby mogły w duszy jego miłe wzbudzić wrażenia, to zepsucie ludzi i . . . . .

Ciekawość widzenia podziemnego ujścia, przed dwoma laty przypadkiem odkrytego, zaprowadziła mię do Nowalia — Nova, miasteczka dosyć porządnego. O dobry strzał od fuzji za miastem zaczyna się ta dziwna i od nikogo nie opisana jeszcze starożytność. Jest to ujście na półtora łokcia szerokie a na półtrzecia wysokie, kute w żywej skale i pokryte z wierzchu sklepieniem równie w skale wykutem, mającem wnek \*) odpowiadający kątowni 60. gradusów. Na dole jest rynna równie w skale kuta, w samym środku ujścia leżąca, mająca jedną piędź szerokości, a drugą długości. To miejsce jest oświecone zwierzchu przez kilka okien, z których niektóre są murowane, a dru-

\*) Wnętrze, wnęk w języku goralskiem Rusinów. W.

gie w skale wykute. Zaczyna się najprzód przez głębokość małą, i coraz niżej idzie pod ziemią — i tak pierwsze okno przy wnijsciu nie ma jak dwa łokcie głębokości; lecz ponieważ ujście to coraz więcej się zanurza, przeto ostatnie okno więcej jak na cztery sążnie głębokości nachyla (się). Dotąd dwieście trzydzieści i pięć kroków odkryto tego tak osobliwego ujścia, i niewiadomo jeszcze, gdzie się kończy — tem więcej, że zdawało mi się słyszeć w samym końcu odbijanie się głosu śledzącego jakieś dalsze wydrążenie; ale to może skutek sklepienia. Zajęty chęcią docieczenia celu tak osobliwego i razem kosztownego wykucia, jako i epoki tej roboty, nic nie opuściłem, coby mogło mi dać stosowne do tego światło; lecz nadaremne były wszystkie moje usiłowania. Blaszkki miedziane i kawałki szkła nic nie dowodzą, bo szkło nawet zdaje się być nie z gatunku starożytnego. Uchod ten podziemny był całkiem gruzem kamieni wapiennych zawalony, a osobliwie okna — z wielką chęcią i staraniem ukrycia ich przed okiem ludzkim — były zasypane. W istocie zdaje się, że dogodzono temu celowi, kiedy dotąd podanie ludzi tamże mieszkających nie śledzi, aby przed przypadkowym odkryciem tego dzieła, jakakolwiek była o niem wiadomość i wzmianka. Dobywanie tego ujścia jest niezmiernie trudne, a to dla tego, że wody, które tam przyciekły, rozpuszczając części wapienne i sople osadzając, w jedną bryłę zlały wrzucone tam kamienie. Są przy końcu dotąd odkrytego ujścia gruzy i założenia niegdyś byłych budowli, a lubo podanie jest między ludźmi, że to są ostatki zburzonego klasztoru, jednak to mi się do wiary podobnem nie zdaje: wszystkie bowiem klasztory i kościoły mają zawsze nazwiska świętych, i lud osobliwie tych krajów, po zburzeniu nawet najdawniejszych świątyń, tym gruzom imię patrona, kościołowi służące, nadaje; mó-

wiąc, że to jest cerkiew ś. Michała, albo ś. Szczepana etc.; ale to miejsce ma imię dotąd prawdziwie szczególne i zawsze Gwoździec czyli po sławacku żelazo jest nazwane. Ten uchoł mija pomienione gruzy dążąc do miejsca, dopóki jest odkrytym. Otwarcie jego jest na zachód, idąc ku wschodowi nachyla się trochę ku południowi. Powszeczne jest mniemanie, że to dzieło służyć mogło za wodociąg (*aqueduc*), ale w budowlach pomienionego rodzaju nigdy rynny w dole nie masz. Rynna bowiem daje do sążnienia, że nadając ściek dla wody chciano mieć to miejsce suchem; powtóre, że wody dawniej do Novalia prowadzone w innym idą kierunku.

Przed skończeniem tego opisu należy mi wspomnieć, że ten uchoł jest wykuty w skale wapiennej, żadnego wycisku ciał morskich nieśledzącej i, że też jest jednostajna z rodzajem kamieni, większą część wysp i brzegów adryatyku stanowiących. Powtóre, że ten uchoł leży na płaszczyźnie skalistej okrytej gruzem murów, dawne ogrody opasujących, i rozwalinami Gwoźdzca. Po trzecie, że są jeszcze ślady dwóch rys kreślonych ołówkiem czerwonym u wierzchu boków tego wykucia. Po czwarte nakoniec, że robotnicy oknami spuszczać się naprzeciwko siebie robić musieli, bo się z sobą nie spotykali w podobnych kierunkach. Omyłki ich na ścianach pobocznych widzieć się dają, i domyślać się trzeba, że kamienie przez okna windować musiano. Komisarz gubernialny cesarski, pan Stefani, był na miejscu, i wyznaczył fundusz na dokończenie dalsze ódkrycia tego osobliwego uchołu, który tak dla zlania się kamieni, któremi jest napełniony, jak też dla sztucznego kierunku tego labiryntu niezmiernie jest do dobycia trudny. Słowem, widać, że tak ci, którzy sprawcami byli tego w skale wykucia, jak też ci, którzy go zarzucali, jednakową chęć i myśl mieli: utajenia się

przed okiem ludzkim, i że należy żądać dla dobra nauk i ciekawości uczonych, aby tajemny cel i epoka tej roboty dalszem odkryciem wyjaśnioną została.

**List XII.** (z Zary).

Mieszkańcy na wyspie Pago są ludzie mocni i wzrostu pięknego, i zawsze uzbrojeni jak Morlacy, broni nie porzucają, nawet koło domu. Wyspa ta jest długa, nieurodzajna, i więcej szczegółów o niej dać nie mogę, bo czas nie pozwolił mi długiego tam bawienia. To tylko powiedzieć mogę, że wciąż się rozciąga po nad ziemią stałą, od której przez małą cieśninę morską jest oddzielona. Powyżej tej wyspy odnoga morska wciska się w ląd stały, i te góry, które dotąd — wznosząc się po nad brzegiem Dalmacyi — znakomitą były dla morza zaporą, zwracają się nagle ku Turczyźnie i służą razem za przedział między krajem Lika i Morlachyą.

Wyjechałem z Pago nazad do Segnia, ale wiatry przeciwne zwróciły nas nazad niedaleko wysepki San Gregoris i Goli, przy przylądku Loparo położonych, a że w czasie burzy niebezpieczne jest morze, między wyspą Arbe a lądem ściśnione i, że żadnego w niem dla okrętów nie masz przytułku, przeto do przylądka Loparo schronić się musieliśmy. A lubo w powyższym liście wyspę Arbe opisując, mówiłem już o tym wspomnianym przylądku, jednak uważanie go ze strony morza dało mi nowe postrzeżenia, o których namienić uznałem potrzebę. Fortis w podróżach swoich powiada, że przylądek Loparos dawniej nosił nazwisko Neoparos, i powiada, że go pod tem nazwiskiem widział w dawnych rękopismach. Na jego wiarę to powtarzam, choć sam tego nie widziałem. Znalazłem też przez tego wędrownika postrzeżony marmur biały, który



w tych okolicach jest dosyć pospolitym. Jego zdanie jest, że dawniej Rzymianie z tego marmuru wyrabiali posągi i, że ta obfitość rzeźbiarskiego kamienia dała pochop do nazwiska Neoparos. Prawda, że w ułamku jest tak blaskowaty, jak marmur w Paros, ale wystawienie na powietrze, naruszając jego powierzchnię odkrywa w nim wy-cisk płodów morskich *ortoceratites* zwanych, czego w marmurach przez Rzymian używanych śladu nie widzimy. Jest też wiele marmuru *brèche calcaire* zwanego, czerwonego z kropkami białymi, ale rzecz najdziwniejsza zapewne w oczach badacza jest ułożenie góry nad morzem blisko cieśniny leżącej. U dołu tej góry pokazują się najprzód warstwy kamienia piaskowego, porządkiem ułożonego; potem marmur w warstwach równych; nakoniec na samym wierzchu płaszczyna jest okryta piaskiem białym kwarcowym, po włosku *Paldame* zwanym, przez kamieniarzy do piłowania marmuru używanym, który zapewne jest ten sam, o którym Pliniusz wspomina. Ułożenie to będzie wydawało się dziwnem wielu ziemiopisom (*Geologues*), ale jest rzetelne i do tego opisu przydać należy, że brzegi tej góry od morza są złożone z piasku pospolitego, niełącznego z sobą i, który wiele ortoceratytów zamyka.

Stojąc w porcie, w częstych moich po wyspie przechadzkach zachodziłem do domu znacznego obywatela, Nemira zwanego. Tem się przekonałem o żyzności tej wyspy, iż oprócz oliwnych drzew morwowe sady, liczne winnice, i sady drzew owocowych rozkoszne jego otaczały mieszkanie. Nakoniec zmiłowały się wiatry i pozwoliły nam porzucić Arbe i udać się napowrót. Podróż była dosyć prędką i pomyślną, i w przeciągu piętnastu godzin powróciliśmy do Segnia. Tam już okręt najęty na mnie czekał, i pożegnawszy Segnianów w dal-

szą do Zary puściliśmy się podróż. Płynęliśmy mimo wyspy Arbe i Pago, a równo ze dniem postrzeegliśmy się między wyspami Ulbo i Rintadura. Tu zaczął się czas odmieniać, i wiatr, gwałtownie żagle nadymając, przymusił nas do nagłego masztu zdjęcia. Staraliśmy się wszelkimi siłami dostać się do najbliższej wyspy, co nam z dosyć wielką przyszło pracą, bo burza się coraz wzmacniała i noc nadchodziła. Staaliśmy nakoniec, i—nie chcąc byź na ustawiczne okrętu bujanie wystawieni—wolałem przenocować w domku na wierzchu tej wyspy, czyli raczej góry, z morza wychodzącej, leżącego. Wysepka ta przez jednego tylko ogrodnika zamieszкана, należy do mieszkańca Zary, i tak jest małą, że ani na kartach jej nie masz, ani nazwiska żadnego nie nosi. Jest cała obsadzona drzewami oliwnemi, które do roku 4000 liwrów panu przynoszą. Uprawiony ogródek dostarcza mu warzywa, a na wierzchu bądąca kopalnia węgla kamiennego opatruje go w opał. Dobrze nas przyjęto, smaczną nam dano wieczerzę, i noc dosyć wygodnie spiąc na łodygach z kukurudzy przepędziliśmy. Nazajutrz rano uciszone morze pozwoliło nam w dalszą udać się podróż i przed południem stanęliśmy w Zarze, zkąd najpierwszy list ode mnie odbierzesz.

### List XIII. (*s Kotaru*).

Mia-to Zara—przez Sławian nazwane Zadra, a od Rzymian znane pod nazwiskiem Jadera leży—na półwyspie otoczonej morzem, wyjąwszy z jednej strony, gdzie przytyka do lądu. Jest dosyć dobrze warowniami utwierdzone, i od strony lądu dobrym rowem oddzielone. Jest wiele śladów, że morze w tem miejscu przybiera lądu, i tak z samego postrzeżenia się to wydaje, jak też ze zna-

lezenia—przy wyczyszczeniu części przystani—dawnych gruzów i śladu znikłej budowli. Odnoga morska od brzegu Dalmacyi jest płytka, i grunt jej całkiem zieliskiem zarosły. Miasto to jest stolicą części Dalmacyi, starodawne nazwisko Kotar zatrzymującej, a razem miastem gubernialnem, do którego zarządu cała Dalmacya należy. Wszystkie magistratury tu się znajdują, tak cywilne jak wojskowe i w czasie mojej bytności do pięciu tysięcy garnizonu w niem zostawało. Tu dwór austriacki założył stolicę wszystkich posad swoich na Adryatyku, przez Francję traktatem sobie ustąpionych, i przyznać należy, że sposobniejszego do tego w całej Dalmacyi miejsca znaleźć nie można było. Miasto jest zabudowane sposobem weneckim, a ponieważ byłej tej rzeczypospolitej tu zawsze była stolica rządu, przeto mieszkańcy przyjęli zwyczaj włoskie i wiele familij tegoż narodu dawnych mieszkańców miejsce zastąpiły, i cała prawie szlachta tego kraju nie jest narodową, tylko przybyszową. Obywatel francuzki Casas w podróży swojej dalmackiej pod tytułem: *Voyage Pittoresque en Dalmatie* dosyć dobrze miasto to opisał, a ponieważ w rysunkach starożytności onego był daleko szczęśliwszym, niżeli w zrobieniu karty kraju, która więcej ciemnotą pietnastego wieku, niż światłem ośmnastego trąci, przeto, co do szczątków starożytności pozostałych, śmiało mogę czytelnika do tego odesłać dzieła. Między innemi starożytnościami uważałem bramę ze starych szczątków dawnych budowli zrobioną, na której napis się dochował i, która dosyć dobrze jest ozdobioną. Także gruzy wodociągu trajańskim zwanego i za miastem leżącego, i dawna Dianny świątynia bez najwniejszego smaku i gustu na kościół katolicki przerobiona. Te są jedyne starożytności tego miasta, a wszystkie inne padły ofiarą . . . . . gorliwości o wiarę świętą

Deodata, czyli Bogdana, który je wszędzie wyszukiwał, i . . . . . niszczyl. Ślady powyżej wspomnianego wodociągu widzieć można wzdłuż morza blisko Zary, a idą niedaleko San Cupano, mijają San Filippo, i Giacomo i giną przy Bielogradzie, Zaravecchia zwanym. Ztąd Fortis, wędrownik, wniósł sprawiedliwie przeciwko mniemaniu jednostajnie przyjętemu, że te gruzy, jeżeli dawny wodociąg śledzić mają, tedy nie od Kierki wodę prowadziły, tylko od rzeki Kakma, ponieważ w tamtym kierunku przez przeciąg trzydziestu mil drogi żadnych śladów, ani gruzów nie widać.

Znalazłem się bardzo szczęśliwym znajdując — między memi listami zaletnemi—listy do uczonego hrabiego Stratico, którego przyjaźni i pomocy tyle doznawał wędrownik Fortis; znany dosyć z dzieł swoich sławny biskup, brat jego, już był z tego zeszedł świata. Trudno wystawić sobie pracy, którą ten szanowny człowiek zadał sobie chcąc dogodzić ciekawości mojej. On wyrobił u gubernatora potrzebne dla mnie rozkazy do odbywania dalszej podróży bezpiecznie i wygodnie, i między innemi ciekawościami, które u niego widziałem, zamilczeć nie mogę rękopismu najpiękniejszego, którego mi udzielił. Jest to kopia oryginału, w klasztorze greckim w Albanii znajdującego się, którego autentyczność jest wsparta świadectwem urzędów tamecznych. Piękność tego rękopismu; staranie, z jakim było robione; dawność jego—wszystko to czyni go niezmiernie szacownym. Jest to zbiór wszystkich herbów byłych i jeszcze trwających narodów sławiańskich, a razem wszystkich domów szlacheckich, które kwitły w czasie nawału Turków i zajęcia przez nich większej części posad sławiańskich. Ten rękopis jest mało co późniejszym od tego smutnego zdarzenia, które nastąpiło w dziewięć lat po wzięciu Carogrodu i upadku pań-

stwa greckiego. Jest w tych herbach wielkie zbliżenie się do używanych przez familie polskie, a w imionach zakończenie tylko odmienione: bo wszystkie się kończą na „icz.“

Zaprowadził mię hrabia Stratico do domu zmarłego doktora Danielego, który więcej za muzeum, jak za mieszkanie partykularnego wzięść można. Wielkie zakłady tego szanownego człowieka zgromadziły w jedno miejsce wielką część starożytności Dalmacyi, które dotąd przed chciwym Wenecyanów uszły wzrokiem. Między wielką liczbą posągów i popiersiów, po wielkiej części dobrze zachowanych, widzieć można cztery posągi kolosalne, dobrej rzeźby, wyjęte z gruzów pobliskiego starodawnego miasta, Nona zwanego a teraz zburzonego. Posągi te były ze staraniem zakopane, a zatem w całości zostały dochowane. Znajduje się tam także moc duża napisów, i dawnych numizmatów zbiór niepospolity. Lecz niedługo miasto Zara cieszyć się będzie tym zbiorem. Długi bowiem, po nieboszczyku pozostałe, przemuszają następców do przedania tego szacownego skarbu, który już może do tego czasu w obce przyszedłszy ręce pozbawił Dalmacyę ostatnich śladów kwitnącego dawniej stanu tych krajów. Przepomnieć tu także nie mogę uprzejmego przyjęcia, którego doznałem od hrabiego Borelli, dziedzica Wrany, do kąd się udać miałem. Ten nietylko, że mój wyjazd ułatwił, ale dodał nawet swego komisarza, czyli intendanta z zalceciem, aby mi aż do Sebenigo towarzyszył i wszystkiemi szczełólami mojej podróży się zatrudnił.

Mieszkańce Kotaru są już Morlakami; zawsze zbrojno chodzą, i w ubiorach swoich kolor czerwony i granatowy, jak Krakowiacy, nad inne przenoszą. W opisie obyczajów tych narodów nie przepomnę ich stroju, który się zbliża do starodawnego polskiego zarywając nieco na

węgierski. Lud w Kotarze, jest zuchwały, ale dobry; lecz— w szczególności żadno o obyczajach nie wchodzić— do dalszego opisu się odwołuję i przed wyjazdem moim jednak zupełnie tak mężczyzn, jak kobiet zakupiłem odzienie.

#### List XIV. (z *Wrane.*)

W czasie mojej bytności w Kotarze, gdy choroba będąca ze mną Polaka coraz się pomnażała, musiałem kazać go wnieść do miasta, sam zaś—niechcąc brać mieszkania na kilka dni—codzień na okręcie nocowałem. Raz powracając do okrętu zastałem pół godziny przed czasem, do tego przeznaczonym, bramy zamknięte. Widziałem się więc przymuszonym udać się do zwierzchności, bo nie zostawało mi jak noc na ulicy przepędzić. Nakoniec po wielu trudnościach dowiedziałem się od unteroficera samejże warty, że to była złość majora, który się *gratis* na mnie rozgniewał za to, że mu przez nieuwagę nie ukloniłem się. Nakoniec—przygotowania moje wszystkie ukończone będąc i opatrzone w listy wierzytelne, między którymi list od negocyanta tamtejszego Iwanowicza do wszystkich klasztorów greckiego wyznania był mi w całej podróży najużyteczniejszy—puściłem się w dalszą podróż ku San Filippo i Giacomo. Wierny swemu przyrzeczeniu hrabia Borelli przed odpłynieniem naszym przysłał mi swego intendanta Pincycz zwanego. Ten nowy przybysz, którego przed kilkoma dniami poznałem, był wzrostu małego, czupurny; szabelkę małą, w srebro oprawną, przy sobie nosił, nie większą od tych, które pospolicie dzieciom dają; i w ubiorze swoim frak niemiecki zresztą ubioru morlackiego skojarzył. Zawsze ścinając i płatając w sztuki—gotów był cały dzień gadać o swojej odwadze, słowem samochwał doskonały, a co za tem nieodstępnie idzie: tchórz w największym sposobie.

Po przyniesieniu z miasta chorego Polaka, puściliśmy się w podróż pożegnawszy się ze wszystkimi przyjaciółkami naszymi. Ta bowiem jest korzyść wszystkich podróżnych, że mało bawiąc na miejscu i doznając od wszystkich gościnności, nie mogą tylko nazwać przyjaciółmi tych, których widzą cnoty i przysługi dla siebie tak pożyteczne, jak przyjemne—codziennie wyrządzane. Nie mając bowiem długo bawić na miejscu, bez nieufności serca się wylewa ku tym, których towarzystwo przez przeciąg czasu, odkrywając nowe namiętności, kazałoby nam może roztropnie wkrótce za nieprzyjaciół uważać.

Nadedeniem widzieliśmy się koło Zary-vecchii, nazwisko niewłaściwe, które Włosi nadali Bielogradowi, miastu słowackiemu, z samego nazwiska stolicę książąt tego imienia śledzącego, które najprzód przez Atyle, króla Hunów, potem nakoniec przez Wenetów zburzone zostało. A żeśmy w nocy minęli byli San Filippo i Giacomo, musieliśmy się wrócić i wkrótce w odnodze pod samem miastem kotwicę zarzuciliśmy. Widok lądu, otaczającego tę odnogę jest nader przyjemny, jest bowiem niższy od morza, dosyć żyzny i całkiem oliwnemi drzewami zasadzony. Miasteczko leży w samym końcu tej odnogi i w części należy do hrabiego Borellego, którego rządca dóbr przyjął nas jak najlepiej w swoim domu. Dzień cały zszedł na przygotowaniach do podróży; a okolica nic nowego nie wystawiała, nad niektóre gruzy wodociąg Trajana, wyżej wzmiankowany, śledzące. W wieczór bal Morlachów i liczne piewy, czyli raczej wycie ciągnęło się dość późno. Nie można wystawić sobie rozpączy Włocha, którego z sobą miałem, kiedy zleciłem mu pisać muzykę, której słowa już miałem. I jednej noty niemógł złapać; a po kilkogodzinnem usiłowaniu, które się na pocie czoła biednego Włocha skończyło, udaliśmy się do spoczynku przekonawszy

się, że sam ojciec muzyki, Apolo; sprawyby z nimi nie doszedł.

Nazajutrz o świcie wystrzał ogromny z broni ogni-  
stej nagle nas przebudził i ostrzegł, że czas już w drogę  
się puścić. W sposobie myślenia Morlachów jest to naj-  
wyższy stopień grzeczności i uczczenia; ale niewiem czy  
słabe naszych kobiet nerwy prędkoby się do tego dziwnego  
sposobu budzenia przyuczyły? Ruszyliśmy nakoniec  
w drogę, a kupa Morlachów uzbrojonych, i w świąteczne  
odzieże przebranych, szła przed nami śpiewając i ska-  
cząc, jak niegdyś dobry król Dawid koło arki przymie-  
rza. Przeszedłszy lasy oliwne, ujrzelśmy przed sobą ob-  
szerną płaszczynę, ślady częstego zalania noszącą. Na-  
koniec przejechawszy kilka strumieni, które do jeziora  
Vrana dążyły, stanęliśmy w wiosce przez kolonię Włochów  
osadzonej. Wioska ta—w miejscu bagnistym leżąca, czę-  
stym chorobom podległa, choć w istocie ma grunt bardzo  
dobry—nie jest w stanie kwitnącym. Są to czynszownicy  
hrabięgo Borellego, który mimo mnogości nakładów i liczby  
rowów nie potrafił jej (wioski) dosyć zaludnić i od zalewów  
ochronić. Baki i komary tak tu, jak na Pelesiu grasują,  
a zbyteczne gorąco zaród niezdrowości w powietrzu u-  
trzymuje. Po wyjeździe z tej wsi udaliśmy się ku jezio-  
rowi, do którego błotnistych brzegów w tem miejscu  
konno dojechać nie można. Nakoniec kraj zaczyna się  
podnosić, brzegi jeziora zaczynają być wyższymi i na  
przyłdku, w jezioro wchodzącym, wznoszą się gruzy i wa-  
łace się baszty najpotężniejszego templaryuszów zakonu  
w tamtych stronach siedliska. Z pobliskich gór tryska-  
jące źródło i płynące stoki dążą ku jeziorowi dawszy  
wprzódry ruch kilku młynom, w opłakany stanie zosta-  
jącym.

Zamek sam stoi na wzgórk, który zapewne dawniej



rowami od ładu był oddzielonym. Mnogość gruzów śledzi wielkość tej posady; ale pozostałe szczątki tego gmachu dowodzą razem barbarzyństwa wieku, w którym był stawiony. Zuchwali rycerze, którzy go stawiali, stali się ofiarą przemocy weneckiej zasłużwszy wprzód na los daleko okropniejszy. Wielki przeor tego zakonu Henryk Palizna, królową Elżbietę, wdowę po królu węgierskim Ludwiku, uciekającą się do niego z córką swoją Maryą, później cesarzową niemiecką, kazał w rzecę bez względu na prawo gościnności utopić. Miejsce tego wykonanego okrucieństwa był zamek Wrane i ta sama pamięć miłe czyni wrażenie wędrownikowi wystawując mu w gruzach tego zamku ukaranie tak szkaradnego występku. Nadaremnie między wpół obalonemi, nad głową moją wiszącymi basztami szukałem napisów; kilka jednak okrucich przekonały mię, że do wystawienia tego gmachu użyto gruzów starodawnej rzymskiej budowli. Obejrzawszy zamek, udałem się ku skałom, z kąd wychodzą źródła, które jezioro Wrane podsycają i w miejscu, gdzie się jedno znajduje, znalazłem grotę całą przez roślinę dianthum pokrytą (*capilaire*), w końcu której znajdował się nieforemny głaz, który cokolwiek zepsutego posągu zachowywał podobieństwo. Miejsce to nazywa się ogrodem Alibeja; wtenczas bowiem, gdy na Wenetach Turcy zdobyli tę część Dalmacyi, Turczyn bogaty, Alibej zwany, tam osiadł i rozkoszne ogrody założył, których opis przez dziejopisa Głabowaca zrobiony rękopismem w rękach brabiego Stratico dochował się. Obejrzawszy wszystko, co było godnem widzenia, poszedłem do hana, czyli gospody, przez Turków w tem miejscu dawniej wystawionej. Jest to czworogran, dwa dziedzińce w sobie zamykający, z marmuru z wielkiem staraniem ciosanego zbudowany, siedm dziesiąt kroków szerokości mający, a długości ośm dziesiąt i kilka.

Izby na około są dosyć porządne, a na dole składy i stajnie doskonale urządzone. Nie widziałem w moich tureckich podróżkach piękniejszej gospody, a trwałość jej budowli i staranie, z jakim jest budowana, nie śledzi tej gnuśności, która towarzyszy dziełom tego narodu. Zastaliśmy tam Morlachów naszych przygotowaniem nam objedu zajętych; ogień rozłożony na śród dziedzińca, kamieniem ciosowym pomoszczonego; dwa barany zarznięte były pierwszym widokiem, który nas uderzył. Przyznam się, że nie wielkie o kucharzach naszych miałam mniemanie, tem więcej, gdy widziałem ich ze skóry obdarte barany całkowicie na duży pał drewniany wbijających, który miał za rozeń służyć. Lecz doświadczenie mię przekonało, że omyliłem się. Tymczasem wymieszany chleb pod blaszanem pokryciem, żarem nałożony dopiekał się. Nakoniec w godzinie cała uczta była przygotowana; jakie było moje zadziwienie: widzę stół na trzy osoby nakryty, a na nim dwa całkowite barany, i któż zliczy wiele indyków, drobiu i t. d. Chleb płaski i ciepły służył każdemu za talerze, a Morlach służący dużym bulatowym nożem platał mięsa i na końcu noża nam je podawał. Jednak wyznać muszę, że ten sposób pieczenia nierównie smaczniejszem od naszego czyni mięsiwo. Ale, ponieważ objad ten mógłby nasycić cały batalion, znaku prawie nie było, aby był naruszony, kiedyśmy już byli syci. Nie można sobie wystawić rozpachy naszych kucharzy i ludzi służących hrabiego Borelli, którzy sądząc po sobie rozumiejąc, że my to wszystko zjeść powinniśmy. Ustawne ich proźby, wymówki, że nie smaczno gotowane, przypominały mi mile owe domy u nas szlacheckie, w których starodawna wszędzie, już znikająca, dochowała się gościnność. Nakoniec dokończyliśmy ucztę spełniając zdrowie gospodarza temże samem starem winem, którem nas hoj-

nie w drogę był opatrzył, przy licznych naszych Morlachów z broni ognistej wystrzelałach.

**List XV. (ze Sebenego.)**

Jeziro Wrana (?) ma do dziesięciu mil włoskich długości, a do trzech i czterech szerokości. Jest jeziorem najznacniejszym w Dalmacyi i można powiedzieć, że jest razem miniaturą morza, które go otacza, i od którego pasmem gór jest oddzielone. W przeszłym wieku kompania włoska powzięła była zamiar osuszania tego jeziora dając mu uchod ku morzu; jakoż na pół mile kanał z wielkim kosztem w skałe wykuty. Lecz nie długo postrzeżono, że podobny zamiśl udać się nie może, tem więcej, że łącząc to jezioro z morzem, to pierwsze większego wpływu morza doznając, równieby z niem przychód i odchód dzieliło, a zatem nadzieja spuszczenia tego jeziora jest płonna. Wątpliwości niema, że między warstwami skał toż jezioro ma połączenie z morzem i, że czas sam uchod ten robi szerszym. I w tem także znaleźć można dowód równoważności jeziora z morzem, że krajopisarz Gliubowac(?) opisując to jezioro w roku 1630, wspomina o jego wodach, mówiąc, że są słodkie, a teraz nietylko, że są słone, ale nawet ryby wspólne morzu w swoim żywią obrębie. Połów jest bardzo znaczny osobliwie węgorzów, które łowią osobliwym sposobem. Dwóch lub więcej rybaków wchodzi z długim i grubym sznurem w jezioro, jedni wodę mącą, drudzy tymczasem, sznurem bijąc po powierzchni wody, spływające zabijają węgorze. Zdaje mi się, że możnaby zyskowniejszy sposób połowu znaleźć; ale razem pewien jestem, że ten na naszych rzekach wcaleby się nie udał. Obejrzawszy wszystko, co godne było widzenia, powróciliśmy do San Filippo, i zaraz wypłynę-

liśmy dążąc do Sebenigo. Droga nasza kierowała nas ku zachodniemu brzegowi wyspy Paswan, którą pominąwszy, znaleźliśmy się w środku niezliczonego mnóstwa wysp, i nadwieczorem pominąwszy one zapłynęliśmy naprzeciwko wyspy Morter. Czas mieliśmy dotąd dosyć piękny, lecz z zachodem słońca wszystko się nagle odmieniło i gwałtowna burza nas zaskoczyła. Mrok nas tak nagle objął, że będąc niedaleko ziemi, zupełnie ją z oczów stracili. Mały nasz okręciak cudem ocalał w tej okropnej nocy, której ciemność, błyskawice ustawicznie pomnażały. Piorun po piorunie następował, a wały morskie przelatowały przez pomost okrętu, wszystko co na nim było gwałtownie z sobą zabierając. W takim się widząc niebezpieczeństwie dla gwałtowności morza, sternik nie mogąc okrętem władać, ani kierunku mieć żadnego—wyjeliśmy maszt i spuściliśmy się wszyscy na dół okrętu czekając spokojnie rozbicia, które między tyłu wyspami zdawało się nieochybne, tem więcej, że mu zaradzić nie było w naszej mocy. Trzeba być w takich przypadkach, żeby pojąć z jaką niespokojnością w tem położeniu dnia się oczekuje; jak noc, tak przepędzona, zdaje się długą i jak wiele trzeba mocy nad sobą, żeby się powszechnemu nie oddać strachowi. W tym przypadku nic nam więcej odwagi nie dodaje, jak mieć z sobą doskonałych tchurzów; mnie towarzystwo odważnego przed kilku godzinami Pinczyca, i artysty Włocha nadało tę korzyść. Zachowawszy bowiem całą przytomność, czy może co być smieszniejszego, jak widzieć ludzi prawie od rozumu odeszłych, niebo i piekło na pomoc wzywających, wykrzykujących i złorzeczących momentowi, w którym od ładu odbili, którego dniem wprzód tak gorąco pragnęli.

Zapewne, że żaden święty w niebie się nie osiedził i wszyscy kolejno byli wzywani, a mianowicie święty An-

toni z Padwy, dó którego zapewne Pinczyc powtarzał: wielki święty, ty na kamieniu do Padwy przyplynałeś bez przypadku, zacóż chcesz, żebyśmy w dobrem żginęli okręcie? Lecz to nić nie pomagało, pioruny trzaskały i łoskot grzmotów głuchem niebo na nasze robił proźby. Nakoniec wznoszący się dzień więcej jak wszystko pomógł i morze uciszać się zaczęło. Korzystaliśmy z tego momentu, żeby w dalszą puścić się podróż, a przyznam się, że tak przez morze byłem zmęczony, że chęć mi nawet odpadła pytać się o nazwiska wysep, koło których płynęliśmy. Nakoniec weszliśmy do kanału, który prowadzi dó Sebenigo. Jest wąski, i może bydź porówniany do ujścia miernej rzeki. Zamek przez Wenetów zbudowany broni tego przejścia, które dla pędu wody, ku morzu idącego, jest dosyć trudne. Pó przebyciu tej cieśniny na dwie mile długiej, wchodzi się do portu bårdzo rozległego, który bårdziej jeziozem, jak przystanią, nazwać należy. Sebenigo leży w samym końcu roztoku, z morza wydaję się dosyć pięknem, a przy samych murach miasta zarzuciliśmy kotwicę.

### List XVI. (z Sebenigo.)

Rozległa przestrzeń tńorska, która rozciąga się przed miastem, zamknięta jest sznurem gór wapiennych żadną zielonością nie pokrytych, i których warstwy, rozmaitemi rozrzucone tręsieniami, żadnego nie zachowały porządku. Pód temi górami leży Szybin czyli pó włosku Sebenigo; miasteczko małe, brudne, domy niekształtne, ulice ciasne. Handel ledwie w niem oddycha, i ludność jest dosyć ograniczona. Nie wiadomo, czy to miasteczko było przez Rzymian zamieszkane i owszem zamilczenie o niem u owoczesnych krajopisarzów każe sądzić, że jest daleko

późniejsze. Zdanie Guistiniana jest tém podobniejsze, że się zgadza z podaniem krajowców. Powiada on w rękopismie dochowanym, że to miasto zbudowane zostało przez Uskoków, którzy przedtem mieszkali na skale, gdzie teraz dawnej twierdzy widzimy szczątki, z kądem, wsiadając na łódzie, napadali na postrzeżone z góry pierwej przez nich okręty. Dodaje także, iż w późniejszym czasie zaczęli budować nad morzem chaty, „szybic”, zwane, które miastu nazwisko Szybin nadały. Później rabunki Uskoków wzbogaciły i zaludniły to miasto, a zburzenie Skarduny najwięcej do rozprzestrzenienia onego przyłożyć się musiało. Długo było rzeczą pospolitą, póki się nie dostało w ręce węgierskie, z kądem potem piętnastego wieku przeszło pod weneckie panowanie. W twierdzy, która wznosi się nad miastem, daleko więcej daje się postrzeżać weneckich budowli, niżeli dawnych; lecz w zupełnem zostają opuszczeniu. W tem dawnym strasznych niegdyś Uskoków siedlisku widac jeszcze dotąd stare, nie rozwalone mury nad portem, w których znajdują się haki służące do zawieszania wciągniętych do miasta w czasie oblężenia łodzi. Ztąd to wychodziły owe flotyle, które jak niegdyś kozackie Carogrodowi, tak te zuchwałej pani Adryatyka groziły.

Szybin jest do tego czasu siedliskiem wielu szlachty i domów zamożnych, którzy dawniej znakomite piastowali urzędy a tych pomieszkania są daleko od drugich celniejsze. Pół dnia całe szukałem domu do najęcia w tem mieście, a znaleźć go nie mogłem, gdy przeciwnie wszyscy darmo mi dawali schronienie, którego jednostajnie za pieniądze odmawiali. Nakoniec obrałem dom hrabiego Gabiani, starca ośmdziesiątletniego, który mię z największą przyjął gościnnością. Moje postępowanie tu było jednostajne, jak wszędzie, bo — mając mnóstwo listów zaletnych — przestawałem na pierwszym, który pokazałem i

nie oddawałem drugich niechcąc wdzięczności mojej dzie-lic między wielu, kiedy cała zaledwie winnym obowiązkom odpowiedzieć mogła. Przytem krótko bawiąc w każdym miejscu i mając czas bardzo ograniczony, który między odpoczynek, przygotowania do dalszej podróży i postrzeżenia dzielić musiałem, nie mogłem go trawic na odwiedzinach. Dom hrabiów Gabiani był bardzo zamożny, i najznaczniejszym jego dochodem był połów koralu na głębokich morzach blisko Sebenigo; ale ten rodzaj handlu zupełnie zaginął. W mieście stał garnizon dość znaczny, a kraju całego zarząd jest w rękach gubernatora Zery. Kościół katedralny, choć bez smaku wystawiony i przypominający czasy barbarzyńskie, śmiałością budowy i wielkością swoją zadziwia podróżnego.

Jezioro, czyli przystań szybińska jest, jak powiedziałem, otoczona wzgórkami w części małej złożonemi z kamienia wapiennego, breche calcaire zwannego. Największe góry wznoszą się za miastem, i tych łańcuch „Monti Tartari“\*) nazwany, rozciąga się wciąż po nad morzem. Trzy rzeki wpadają do tego jeziora, z których zapewne najznaczniejszą jest Kierka. Dwie zaś pomniejszych przy ujściu swoim wskazują jeszcze gruzy dawnych rzymskich stanowisk, których rozeznac już trudno i prócz pomostów ma zaikowych śladu żadnego nie zostało. Otaczające wzgórki to jezioro—mimo zdania labego Fortis, który w dziele swoim utrzymuje że są żyzne—mnie się zdają zupełnie płonne i nie zdolne uprawy. Pospolity marmur, z którego się te wzgórki składają jest zupełnie podobny istrijskiemu, tylko daleko więcej ma w sobie tworów morskich. Warstwy jego są horyzontalne, mniej lub więcej nachylny, ale co zadziwiać powinno uważnego badacza, jest to;

---

\*) Tetry, Toutry. (?) W.

że mimo równoległych warstw znajdują się daleko znaczniejsze prostopadłe, które tamte przecinają. Widadź tam także skałę przedziurawioną, która po sławacku Sapl Niestyna, czyli skała dziórawa, nazywa się. Ta, jakoteż grota świętego Antoniego, winne są zapewne swój początek częstym trzęsieniom ziemi, które jak wyżej powiedziałem, dosyć są gęste w tym kraju. Jezioro zaś samo z siebie jest bardzo rybne i poławia się w niem moc niezmierną węgorzów, łososiów, pstrągów, a mianowicie rodzaj raków szczególny, który jak osobliwość do Wenecyi przywożą.

### List XVII. (z Skardony).

Najęliśmy łódź w Szybinie do Skardony, i wypłynęliśmy z jeziora, czyli przystani, kanałem nie szerszym od tego, którym byliśmy wpłynęli. Jestto łożysko dawne rzeki Kierki, które jest ścisnione górami obnażonemi z ziemi i zieloności. Łożysko to czasem się zwężało, czasem się przemieniało w jezioro, takimi samemi jak kanał otoczone górami. Nakoniec po pięciogodzinnej żegludze wpłynęliśmy do jeziora skardyńskiego, a tam inszy nas, zupełnie od przebyłego różny, czekał obraz. Tu suchość i niepłodność ziemi ustaje, i w tem miejscu szczodra natura wystawia dzielnością swoją ożywioną krainę a oko—zmordowane widokiem ciągłego nie płodnych skał pasma—tu odpoczywa i w zachwycenie wpada. Tak nagle podnosząca się zasłona zamienia scieżniony dotąd horyzont w znaczny wody przestwór, a za nim w odległości rozwaliny starożytnej Skardony spajają się jednostajnością farby ze skałami, na których się wznoszą. Obok podnosi się niezbyt wielki pagórek trawą i włoskiemi topolami okryty, na nim kościółek świętego Michała, wśród tej zieloności oprawny, dodaje jeszcze tej okolicy okrasy.



Lecz godniejsze naszej uwagi mając przed sobą obrazy, niecierpliwie tę słonej wody przebiegamy przestrzeń. Tak, jak nie można się zatrzymać długo nad dziełami pośrednich malarzów, kiedy się ma widzieć wybory Werneta; tak my porzuciliśmy Skardonę po lewej stronie i, jezioro tego nazwiska za sobą zostawiwszy, zapusciliśmy się na nowo w nurt przez Kierkę ryty płynąc przeciw jej biegowi. Ten, podobnie skałami ściśnięty i od poprzedniczego węższy, wystawiał nam brzegi samą tylko genistą, szolwią srebrną i rodzajem średniej malwy okryty. W miejscu, gdzie Kierka powierzchnię swoją wodnemi ziołami okrywa, biegu jej wód zaledwie rozeznąć można, ale podnoszące się drzew wierzchołki rokują nam zachwycenie, w którym nie za długo zostawać mamy. Nakoniec przybывamy do sławnego wodospadu, skradynski Slap po słowiańsku zwanego. Tam najzuchwalsze pióro zatrzymać się musi i, dzielnemu pędzlowi Klaudyuszów i Pollersów oddawszy pierwszeństwo, wyznać, że nie podobna jest opisać natury, kiedy się nam w powabnej chęci ukazać postaci. Nie trzeba ani w swoich się zapędzać uczuciach, ani romansowego umysłu, żeby się czułym pokazać na widok natury, w najpiękniejszym okazującej się stroju. Załując tego, którego podobny obraz w najżywsze nie unosi zachwycenie. Zdaje się, że rozkoszne ustronia i przyjemne posady są tylko świątnicami, w których przyrodzenie przez wspomnienia najśladzszych duszy wrażeń holdu dla siebie wymaga. Uniesiony człowiek poszanowaniem, zadziwieniem na widok tych powabów, które go otaczają, musi być złym, jeżeli słodkich ojczyzny, dzieci i przyjaciół imion sobie nie przypomni. Tu się także czci przeszłość. Szczęśliwy słodkimi wspomnieniami, nieszczęśliwy łzami, a występny wyrzutami hold jej oddaje. Szum wo-

dy, który częstokroć cnotliwemu ulubione przerywa głosy, jest dla występnego obrazem niespokojnego duszy jego stanu. Tym sposobem natura wśród nawet powabów swoich chce utrzymywać człowieka w obrębach cnoty... O! moja córko! Jeżeli kiedykolwiek czytać będziesz ten opis, dodaję dla ciebie, żeś mi tam mimo odległości była przytomną.

W pośród z obu stron wielkimi skałami otoczonej doliny, której środkiem płynie Kierka, daje się widzieć próg skalisty więcej jak czterdzieści sążni nad powierzchnię wody wyniesiony. Z owej to ogromnej tamy, całą dolinę w poprzek zamykającej, spada rzeka z szumem i łoskotem w środku rozkosznego i gęstego gaju. Zieloność drzew, ze śnieżną wody pianą przyjemnie się mieszając, od głazów i skał przyległych szczególnie odbija. Tak zachwycający obraz, spadem wody wspaniałym ożywiony, różną zwykł na siebie brać postać według pór roku, w których wielkość rzeki uszczuplać się lub powiększać zwykła. Tak w późnej jesieni, w zimie i na początku wiosny ogromny wody wylew z trzaskiem gwałtownie na dół spadając, ogłusza i przeraża podróżnego. Dzieje się to właśnie wtenczas, gdy ze wszystkich ozdób ogołocona natura nie mogłaby znieść rozbiuru szczegółów. Zdaje się, iż — napelniając duszę przypatrującego się temu widokowi zadumieniem i trwogą — chciała, żeby zapomniał i nie uważał drzew obnażonych z liści, niedostatku przyjemnej zieloności i niespokojności gajów. Używa ona w jednostajnym celu tych wspaniałych do swego obrazu dodatków, jak Wernet oceanu i obłoków dla upiększenia szacownych dzieł swoich, w którychby szczegóły zaniedbane były. Latem, przy końcu wiosny i na początku jesieni obraz się zupełnie odmienia. Nie widać wtenczas łoskotliwych wirów, nie słychać przerażającego szumu, który

z początku dziwi, a na końcu ogłusza. Dusza w tej porze oddaje się słodkiemu dumaniu i zachwyceniu, które obecność porywającego obrazu tworzy i utrzymuje. Ogół wody wtenczas wązkim płynie korytem, na różne dzieli się strugi, które—robiąc sobie nurty przez darnie—między drzewami, krzewinami i różnemi ziołami z wielką szybkością spływają. Tak znacznym spadkiem znużone wody odpoczywają na skałach, na różne niby piętra podzielonych i nader powabne w tym składzie przedstawiających widoki. Skały te z daleka rozmaite zdają się tworzyć linie, które przyjemnie z sobą się krzyżując swój początek i koniec w pobocznej gęstwinie zagubiają.

Najsławniejsze z dalmackich młynów, jeden na drzem w schodki zbudowane, boki kaskady zajmując, do ożywienia tego wspaniałego obrazu niemało się przyczyniają. Prawda, że dzieląc wodę na mniejsze do ich ruchu potrzebne koryta, ujmują wprawdzie progowi nieco okrasę, ale tam, gdzie idzie o użytek ludzkości, natura pobłaża podobne kradzieże i te łatwo przebacza. Taka była postać kaskady, gdy ją odwiedziłem, a tak mi się zdała piękną, że wątpię, aby w innym czasie strojnieszka okazać się mogła.

Tak późna roku pora nie pozwoliła mi dostrzedz różnaitości roślin, które grunt razem błotnisty i skalny a zawsze żyzny mógł w tem miejscu wydawać. Widziałem jednak trzciny, jasionów, *vitis idea*, konwolwulusów, klematydów różne odmiany, wierzb *celtis australis*, gęste składających gaje, do których przystępu *rhamnus*, *paliurus* czyli kolczysta kruszyna, ostre najeżając ciernie, zabrania. Sam wierzb spadu zajmuje trzcina gęsta zarosło bagno, która gęstwiną swoją do zamknięcia wody, na młyny zwróconej, wielką jest pomocą. W górze—w cieniu celtysów i jasionów, jako i innych drzew—rzeka, spokoj-

nym płynąc nurtem, składa tam kamienne cząstki osad, które, biegnąc po kamieniach tego rodzaju, roztworzyła. Osady takowe rodzą niezmiernie tufu bryły, które dno koryta podwyższając tem samem nieznacznie progi powiększają. Nasyciwszy się tem trudnem do opisanego widokiem, powróciłem do skał nieżyźnych i z zieloności obnażonych, które temu rozkosznemu obrazowi za ramy służyć zdawały się. Tu przekonałem się o prawdziwości zdania sławnego Roussa, kiedy twierdzi, że same tylko mierne obrazy na wsadzenie w ramy złociste wskazaniami być mają. Do późnej nocy oderwać się nie mogłem od tego widoku. Nakoniec zaczęliśmy myśleć o powrocie do miasta, do którego z przyczyny wielkiego pomroku ledwie trafiliśmy. W porcie samym rybak sprzedał mi tylko co złapaną rybę, którą dla nadzwyczajnej wielkości kupiłem. Była ona z rodzaju „raye,“ miała dwa łokcie szerokości, półtora długości a pół cala mięszości; dotego ogón, w którego końcu jest ostry kolec, jad w sobie mający według powieści rybaków, którzy po złapaniu tego rodzaju ryby zaraz go odcinają.

. List XVIII. (z nad Kierki).

Skardona po włosku, zowie się Skradyn po sławiańsku, jest miastem bardzo już dawnem. Było niegdyś stolicą prowincyi rzymskiej Liburnia zwanej. Dawniej kwitnące, dzisiaj w gruzy tylko obfite, które śledzą jego dawną znakomitość, jak heraldyczne drzewa przypominają starożytny upadłych domów początek. Zamieszkania krajowe, nawet cisnących się zewsząd barbarzyńców, zniszczyły świetność tej posady i gruzy zastąpiły miejsce wspaniałych gmachów.

Miasto to, niegdyś obronne, opasane było dawniej murem i wodą jeziora skardońskiego, po słowacku Proklian zwanego, którego odnoga, dawniej znacznie w głąb kraju zapuszczona, zupełnie teraz wyschła. W czasie nawału Turków to miasto uchodziło za warownię; i ciż z gruzów starożytnych budowli założyli tam na górze zamek, podobno na dawniej tam od Rzymian wystawionego rozwalinach. Na tym to wzgórku zwaliska murów i różnych gmachów dowodzą pierwiastkowego tam miasta założenia. Dawniejszych czasów, kiedy morze rozbójnikami napelnione nie pozwalało mieszkańcom bezpiecznie na jego brzegach osiadać, uważałem we wszystkich miastach nadbrzeżnych pierwiastkowych posad na górach założenie. Dopiero później za przywróceniem porządku ośmielili się zejść na płaszczyzny, a nie widząc dla siebie niebezpieczeństwa na brzegach morskich osiedli i na nich nowe grody zakładali.

Góra, na której stoi dawny zamek, musiała być nie dostępna, ale jej spadzistości walących się gmachów grzy nieznacznie nadały, a dawny Rzymian cmentarz całkiem zasypały. W tem to samem miejscu widziałem grobowce marmurowe w niezmiernych bryłach marmurowych wykute, a z jednego kamienia, nakształt dachu niskiego wyrobionego, mających pokrywę. Tak zaś wielkie w nich wydrążenia, że zdaje się, iż dla wielkoludów były robione. Lecz nic piękniejszego, jak niedawnemi czasy w temże samem miejscu wynaleziony grobowiec. Wierch jego nader pracowicie w rybią łuszczkę był rżnięty. Z obu stron jednakowe znajdowały się rzeźby, ale większa doskonałość dłuta w jednej, niż w drugiej dowodzi, że nie jednej są ręki dziełem. Wyobrażają one w przyrodzonej wielkości bożków miłości na powietrzu pływających. Igrają plecionkami, hużdają między sobą uwitki

z kwiatów, i w tym powietrznym tańcu nogami, ledwo dotykają się róż, które w naczyniach dno obrazu zajmują. Nagrobek ten, którego pieszczony wymysł go-dzien jest powabu geniuszu Albana, podróżnego nader zachwyca. Trudno, widząc tak smakowite dzieło, nie powiedzieć sobie: wieleż to piękności i powabów w osobie tej było, dla której tak wykwintny wystawiono pomnik? — Jakie musiały być wdzięki tej ksieni Cyprydy? kiedy jej popioły od tyłu wieków tańcem miłości uczczone zdają się mówić do patrzącego słowami poety.

*„In nos tuta ruens Venus, Cyprum deseruit.“*

Ktoby się spodziewał w tak odludnych pustyniach i tak od Grecyi dalekich oglądać grobowiec nowej Aspazyi, który i teraz jeszcze w sercu potrzącego smutek i pośepność tworzy. Straż ta miłości, od tak dawnych wieków trwania tego pomniku pilnująca, musiała nakoniec legnąć pod dzikiego barbarzyństwa razami. Grobowiec ten odkryty natychmiast w kawałki roztrzaskany został, szczątki onego dosyć dobrze dochowane są, oprawione w murze, i opasują ogród, może ten sam, w którym zeszła piękność w dni świąteczne niegdyś kwiatami się wieńczyła.

Udałem się z tamtąd do wielkiego wikaryusza katedralnego, o którym mi mówiono, że wynalazł był starożytność dosyć ciekawą. Lecz dużo się omyliłem, był to bowiem okruch tablicy marmurowej i napisu, którego połowy brakło. Mimo tego żywa przewielebnego imaginacya domysłem brakującą część była zastąpiła. Nadaremnie mu wystawiałem, że ponieważ połowy brakuje, któż wie, jakie można mu było dać znaczenie. Musiałem od początku do końca trzyarkuszowej słuchać dysertacyi, która wkrótce pomnoży liczbę owych dzieł, co w bezsennościach czytelnikom pewniejszy, jak opium i leki usypiają-

ce, skutek sprawują. Już był dzień na schyłku, kiedy z żalem straconego czasu porzuciłem przewielebnego i udałem się do sędziego miejscowego Pini, który miał być właścicielem niektórych starożytności. Jakoż znalazłem dwie tablice marmurowe, przedziwnie zachowane i napisy przepysznie ryte. Jedna zawierała pochwały Nerona, druga dziękczynienia bożkowi miejskiemu. Z pierwszej się nauczyłem, że starożytność — zachowując ślady tak cnót rodu ludzkiego, jak też i jego upodlenia, wierniejsza w tem od historii — przekonywa o nikczemności wieku, w którym Neron i jego okrucieństwo mogło sławicieliw znaleźć. Powtóre, że w starożytności każde miasto mając swego bożka municypalnego, ojczyzna jednocząc się z bóstwem, jednakowe z niem odbierała ofiary, i tem uczczeniem publicznem na sercach ludzkich większe, jak u nas, sprawić musiała wrażenie.

Ztamąd gdy wychodziłem, zmrok już ulice miasta i gruzu pokrywał; przyszedłem do mego mieszkania, przejęty porównaniem schyłku dnia do upadku znakomitego grodu, nad uważaniem którego gruzów dzień cały przepędziłem.

Wysławszy więc niepotrzebnych mi ludzi i sprzęty, jako i chorego Polaka do Sebenigo, poleciłem ich hrabiemu Gabiani i prosiłem, aby ich wysłał morzem do Spolatro. Sami zaś — zrobiwszy małe zawiniątka z naszych rupieci i w broń dobrze opatrzeni — wyjechaliśmy z raną konno ze Skradynia — pożegnawszy się z mieszkańcami, którzy wliczbie kilku set nas za miasto wyprowadzili. Puściliśmy się w drogę przejęci dobrem uczczeniem, którego w Skradynie doznaliśmy. Karawana nasza składała się z jednego młodego Polaka, odważnego Pinczyca i ze mnie. Czterech uzbrojonych Morlachów poprzedzali nasze konie i,

tylko co ruszyli, zapiali zwykłą swoją dumę o królewiczu Marku.

Miasto Skradyn — choć dalekie od tego stanu kwitnącego; w którym za Rzymian zostawało — jest jednak dla bliskości Tureczyny miejscem, do którego karawany tegoż narodu uczęszczają i zkaąd towary europejskie do siebie uwożą. Dawniej Szybin był metą, do której dotykały te kupy włóczących się kupców; ale bliższość Skradynia, łatwe wodą z morza towarów wyprowadzenie; a nade wszystko han (austeria) porządny, tamże za miastem blisko wystawiony — to wszystko ostatniemu dało pierwszeństwo. Od tego też czasu Szybin codzień upada a Skradyn na gruzach dawnej swojej wielkości coraz się bardziej pokrzepia. Karawana, jak tylko przyjdzie, natychmiast w hanie zamknięta przez kraty tylko odbywa swoje zamiany, a to dla tego, że niesforność i barbarzyństwo tych ludzi mogłoby tysiąc nieprzyzwoitościom dać pochop; a zatem i dla zarazy morowej, która, jak wiadomo, nader często w tym kraju grasuje.

Tylko co wjechaliśmy w góry, miałem ukontentować nie spotkać karawanę turecką z dwóchset koni ujuczonych złożoną. Pierwszy raz ten widok moje oglądały oczy, a jego nowość przyjemne mi bardzo zrobiła wrażenie. Nie wiem, czy Pinczyc podobnego doznawał, bo drżąc cały, jak liść, tulił się do mnie mówiąc mi: „Patrzaj wćpan na te psie twarze, (musi dć cane) i uważaj, czy bez szaleństwa można się między nich zapuszczać?” Na co mu odpowiedziałem, że mając go z sobą możemy bezpiecznie do samego jechać Stambułu. Porządek w tej karawanie był wielki. Przed trzema końmi ładownemi jechał zbrojno Turczyn, Bosniak. Jeżeli wszyscy, jak się później przeświadcze, są do nich podobni, to zapewne piękniejszego rodzaju ludzi na świecie widzieć nie



można. Wszystko w nich olbrzymią moc, a twarz odwagą i męstwo oznacza. Młodziki z pomiędzy nich—znudzeni powolnym koni ładownych stępem, nie uważając na chropowatość skał, ufni w chyżość swoich rumaków—wypuszczali naprzód i nam dziurydowego igrzyska dawali widowisko. Po przejściu tej karawany w dalszą puściliśmy się drogę. Zazdrościliśmy mocno naszym Turkom koni, na których siedzieli, bo co nasze—mimo ostrych bodźców, i mimo gęstych batów—równie poważnym krokiem, jak Rossinanę Don Kiszota, postępowały. Nakoniec rumak podemną obalił się i mnie na skałę rzucił tak mocno, że niezmiernie się potłukłszy ząb jeszcze na miejscu zostać musiałem. A choć go mocno żałowałem, jednak przyznam się, że zguba kilkunastu numizmatów w Skradynie kupionych, a którą później dopiero spostrzegłem, więcej mnie obeszała.

*Labbé Fortis* w podróżach swoich wzmiankuje o żyłe kamienia węglistego, przy drodze będącej; lecz ja wyznać muszę, że mimo wszelkiego starania i uwagi dostrzedz jej nie mogłem. Nakoniec przebywszy łańcuch gór, który nas od gór łożyska Kierki przedzielał, spuściliśmy się na płaszczyznę, w której głębokim a powolnym biegiem ta rzeka nurt sobie ryje. Przy zejściu z gór wjechałem w gaik z samych klonów: *acer monspesulanum* zwanych, złożony; ujrzeliśmy ztamtąd wyspę wśród Kierki wznoszącą się, i na niej kępę drzew starożytnych, z wierchołków których wznosiły się dzwonnice klasztoru bernardynów, którzy na tem ustroniu, Wissowacz zwanem, osiedli. Przyjemność położenia tej okolicy jest nad wszelki opis. Zieloność łąki, w której Kierka porze swe koryto; piękne wyspy ugajenie; nakoniec laski na wzgórkach się wznoszące i horyzont zamykające—to wszystko zachwyca i powabem miejsca przejmuje. Naokoliczne lasy winne swoje

ocalenie klasztorowi, pod którego są opieką i własnością. Straszna bowiem Morlachów siekiera, nieprzepuszczając im po barbarzyńsku, powoli tak kraj dawniej leśny z drzew ogolaca, że nic rzadszego, jak znaleźć drzewo, pod którego cieniem możnaby się schronić.

### List XIX. (z klasztoru ś. archanioła).

Odnoga Kierki, która nas od wyspy i klasztoru wisowackiego oddzielała, ma do trzechset kroków szerokości. A ponieważ łodzie były przy wyspie, przeto strawiliśmy dobre pół godziny krzycząc i hukając o przewóz. Dzień to był niedzielny a nabożni nasi pustelnicy, chwałą bożą zajęci, głuchymi byli na nasze wołania i prośby. Nakoniec zniecierpliwione nasze Morlachy, zaczęły strzelać, żeby zwrócić uwagę mieszkańców wyspy a my, korzystając z tego opóźnienia, usiedliśmy w cieniu opuszczonej kaplicy, i niepuszczając się na klasztorny objad zaczęliśmy się resztą pozostałej w torbach naszych pieczeni zasilać, i butelki nasze—z tygwów wydrążonych zrobione—wysuszaliśmy należyście. Pincycz, którego po spotkaniu się naszym z Turkami, strach był już ominął, częstem wychylaniem butelek naszych ośmielony przywdziałszy na siebie postać poważną tak nagle, że to nas zadziwiło, rzekł: „Przez wzgląd na wépana i na hrabiego Gahiani, mego pryncypała, opuściłem najpiękniejszą porę w życiu, uważałeś wépan tych dwóch Turków, co na końcu jechali? gdybym był sam, toby już dotąd głowy ich były w moich torbach.“ Żeby to zrozumieć, trzeba pierwiej czytelnika oświecić z nienawiścią, jaką pałają Morlachowie przeciw Turkom i ostrzedz razem, iż ci—do ustawicznych bojów z Turkami przyzwyczajeni—przyjęli od nich zwyczaj pokonanym nieprzyjaciołom głowy odcinać i też

z sobą uwozić. Nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu, widząc to samochwalstwo naszego rycerza, a niedoczekawszy się ukończenia nabożeństwa zasnęliśmy na murawie przy miłym rozleganiu się odgłosu organów kościelnych, który w całej rozchodził się pustyni.

Nakoniec obudzeni przez naszych Morlachów wsiedliśmy w czółna i płynęli do klasztoru, otoczeni mnóstwem ptastwa wodnego, którego ani przytomność nasza, ani strzelania naszych ludzi nie odstraszały. Kierka, choć tu jest bardzo głęboka, jednak wód jej ruch jest nieznaczny i zatrzymaniem ich przy skradyńskim słupie czyli progu jest niezmiernie zwolniony. Przybijamy już do wyspy; odwieczne celtysy i jasiony okrywały jej brzegi, że zliśmy, jak gajem, do klasztoru. Ojcowie, nabożeństwem strudzeni, posilali się w refektarzu i uprzejmie nas przywitawszy zapraszali nas do swojej uczty. Wszystko nam polskie przypominało klasztory; tak jak u nas kufiej te same dębowe ławy, które pod ogromnością ojców stękały; słowem te wszystkie przypadki, tak dowcipnie przez rymopisa naszego Krasickiego opisane. Że wiedziałem, iż ten klasztor posiadał niezłą bibliotekę, prosiłem gwardyana o pokazanie mi onej. Z początku się wzbraniał, nakoniec zezwoliwszy dał rozkaz księdzu bibliotekarzowi, aby została otworzoną. Czekaliśmy więcej godziny i sądziłem, że tak jak w Monachomachii klucze jej były zaginęły, gdy później o prawdziwej dowiedziałem się przyczynie. Osadzony bowiem był w tym klasztorze za politycznej opinii przestępstwo kanonik jeden, Łuczycz zwany, z rozkazu rządu. Areszt jego był bardzo ścisły, i—nim nas do biblioteki zaprowadzono—musiano go pierwej w inne przeprowadzić miejsce. Nie znalazłem nic bardzo ciekawego w tym zbiorze książek, prócz dwóch dzieł wierszem słowackim, które mi wielką zapłatę odrzuciw-

szy księża szlachetnie oddali — i jednego rękopismu bardzo starożytnego Florusa.

Obejrzawszy cały klasztor siedliśmy na łodzi klasztornej mając się udać do młynów, o mile ztamtąd położonych, gdzie nas czekały konie. Podróż nasza była bardzo przyjemna, piękna dnia pogoda, zieloność okolicy, wesołość ojca gwardyana, który nas odprowadzał i często swoją zasiliał butelką — to wszystko sprawiło, żeśmy się nad nasze spodziewanie prędzej na miejscu znaleźli. Zastaliśmy u młynów naszych Morlachów, ale tak dużo przy święcie posilonych, żeśmy im sami musieli konie kulbaczyć. Nakoniec rozstaliśmy się z ojcem gwardyanem, przejęci jego grzecznością, do której jeszcze przydał list zaletny do przełożonego monasteru szymatyckiego świętego archaniola, w którym mieliśmy nocować. Młyn tu będący są jedynym funduszem klasztoru wissowackiego a leżą przy progu Kierki, ruski ślap zwanym, który ani wysokością, ani położeniem, ani nakoniec okrasą mijającą do skradynskiego porównanym byź nie może. Godzina ledwo przed zachodem słońca była, kiedyśmy ruszyli od młynów. Jechaliśmy nieco ponad Kierką; nakoniec przejechaliśmy tę rzekę po moście kamiennym budowli tureckiej; przy wnijsciu i wyjściu onego są progi i miejsca ostojów, które dowodzą, że dawniej most ten musiał być bramami zamykany. Przy wyjściu z mostu brzeg Kierki się podnosi, widać ostatki dawnej drogi rzymskiej, a przy niej skałę gładką i na niej napis, którego wyczytać nie można. Czytałem niepomnę w jakim pisarzu dalmackim, że tu jeszcze za czasów rzymskich poległ obywatel tego narodu, któremu ten napis służył za grobowiec. Potem droga nam znikła i jechaliśmy wśród chrustów samemi małowcami, a nie trzeźwi nasi przewoźnicy, sami zabłądziwszy, w przykrem nas stawili położeniu.

Błąkając się po lesie natrafiliśmy nakoniec na trzode owiec, której pasterz uprzemie nas znowu na drogę wprowadził. Noc już była ciemna; droga przykra, znużenie nasze nie do opisania, a pomroka niepozwoiliła mi rozemnać gatunku drzew, z których był las złożony; zdawał mi się jednak bydz bukowym. Dobroczynne wschodzącego księżyca promienie ukazały nam nakoniec klasztor, jako metę trudów naszych i miejsce spoczynku. Jak wissowackiej wyspy położenie było przyjemne i wesole; tak klasztoru świętego archanioła jest dzikie i posepne. Nie zastaliśmy w nim nikogo, tylko braciszka, który—na ławie marmurowej siedząc przed domem i równie stół kamienny mając przed sobą—prosił nas odpocząć; a sam poszedł po wodę dla ugaszenia naszego pragnienia. Nie pamiętam, żeby gdzie widział wodę źródlaną przyjemniejszą od tej, którą nas ten zakonnik częstował. Nakoniec, gdy otworzył nam mieszkanie przełożonego, na łodygach pewnego rodzaju prosa o trudach dnia tego zapomnieliśmy.

**List XX.** (*od zwalisk miasta Burman.*)

Noc nam przeszła bardzo prędko, mimo grasowania komarów, któreby zapewne mniej głodnych, jak my, ze snu potrafiły zbudzić. Pierwsze słońca promienie dały nam znak do wstania, a oświecając okolice klasztoru odkryły mi jego położenie. Klasztor ten leży u spodu gór sporych, Kierka o dwieście kroków za nim toczy swe nurty, a płaszczyna wilgotna, wciskająca się między góry i często przez wody zalewana, oddziela sam klasztor od pasma gór, drzewami okrytych. Posada jego jest trochę nad tę równinę wywyższona; słowem cała ta okolica dzikiej i smutnej odludności nosi piętno. Chociaż ten klasztor w

momentem, kiedy w nim byliśmy, był pusty i jednego tylko zawierał zakonnik, jednak ten przez wzgląd na list zaletny ojca gwardyana z Wiśnowicza, gościnnie nas przyjął i dobrem śniadaniem z rana opatrzył.

Jeden to jest może kąs na świecie, gdzie dwa klasztory wyznań różnych w takiej zgodzie i przyjaźni żyją. Dla pochwały tych księży, którym mało jest podobnych, muszę powiedzieć, że najśłodsza między nimi przyjaźń, największa zgoda i najściślejsze braterstwo ich z sobą kojarzyło. Z wzajemnym szacunkiem o sobie wspominając, zawsze i często przysługi sobie wyrządzając, wystawiali obraz nieznanym oczom moim. O szczęśliwa okolico! czemu dla dobra ludzkości podobnych przykładów reszta świata nie naśladuje?

Zakonnicy greccy, nazwiskiem szymatyków przez nas obdarzeni, tyle—ile uważałem—i ubiorem swoim i prostotą patryarchalną mają postać poważniejszą od naszych mnichów; a lubo, tak pierwsi, jak drudzy wygodny swój na świecie pobyt winni pobożności ludzkiej, jednak pracowitość mnichów greckich nad naszymi daje im pierwszeństwo. Prawda, że są od naszych mniej uczeni i więcej daleko ciemni, ale doświadczenie aż nadto pokazało, że lepiej być nieukiem, niż źle nauczonym. Kalogierzy, czyli mnichi szymatyckie, wybrane z pospólstwa nigdy o tem nie zapominają; praca w nich tłumy występki, które bezczynność i gnusność w naszych rodzi; słowem do prostactwa własnym gadają językiem, niechcąc w jego oczach za aniołów uchodzić, ale za ludzi im podobnych.

Słońce już dobrze zaczęło dopiekać, kiedy ruszyliśmy z klasztoru zatrzymani gościnnością braciszka, który żadną miarą zapłaty żadnej przyjąć niechciał. Dostaliśmy się z trudnością na góry, które klasztor opasują, a które są niezmiernie przykre, i po półtorej godzinnej

jeździe dojechaliśmy do drogi jedynej dotąd w Dalmacyi, kosztem cesarza Franciszka zrobionej, która od samej idzie Zary; za moich czasów za Knin nie przechodziła. Jest ona wygodna i obszerna, pracowicie i kosztownie zrobiona, sposobniejsza jednak do jazdy konnej, niżeli do wozowej. Ledwieśmy godzinę tą jechali drogą, gdy po bokach rozrzucone gruzy dały nam poznać, że droga przechodziła przez środek posady dawnego miasta rzymskiego. Jakoż wkrótce postrzegliśmy trzy duże bramy, ostatki wielkiej zniszczonej budowli, którą Fortis w podróżach swoich sądzi być szczątkami bywszego czworograniastego gmachu, co miał legiom rzymskim służyć za koszary. W czem mię utwierdziły najmocniej fundamenta jeszcze trwające i znalezione w krzaku przezemie napis, dosyć dobrze dochowany, następującej osnowy:

Quintio Julio Aspero  
 Felici militanti,  
 Legionario simplici  
 Ob memoriam gloriae  
 Julius Caesar posuit.

Potem szły wytarte liczby, oznaczające legion, w którym służył, liczbę wysłużonych lat i wiek, w którym umarł. Kamień ten, choć ciężki, uwiozłem z sobą i w późniejszych podróżach dopiero go straciłem, nie mogąc go wieźć dalej. Tak znakomita sławy nagroda, w tak odległym od Rzymian kraju prostemu żołnierzowi wyrządzona, pokazuje ducha Rzymian i ich wojska, a razem różnicę wieku, w jakim żyjemy, w którym polegli wodzowie podobnych nie zyskują pomników. Było jeszcze w okolicach tego gmachu dosyć napisów; lecz, wszystkie w okrucach i przez czas zepsute, nie były do wyczytania. Naokoliczne tego gmachu rozwaliny śledzą pobliską miasta posiadę, a—według napisów w pobliskich morlachsckich wio-

skach znajdujących i przystosowania dawnych krajopisarzy— zdają się być szczątkami starodawnego miasta, Burman zwanego. Między innymi zwaliskami widziałem także czworograniastą podstawę, dawniej posąg lub kolumnę noszącą ale zagładzenie napisu, nie pozwala wiedzieć komu ten pomnik był wystawiony. Ktoby chciał w tem miejscu dalsze czynić poszukiwania, powinien przejechać się po poblizszych wioskach morlachsckich, z gruzów tego miasta wystawionych, tam w ścianach można znaleźć liczne napisy, których mi czas zwiedzić nie pozwolił. Nie daleko tej drogi płynie Kierka, rozmaite na niej wystawione są młyny. Brzegi onej są niezmiernie wysokie i trudno wystawić sobie, jak tak mała rzeka, tak głęboki nurt wyręć sobie potrafiła, a razem jakie było położenie kraju, kiedy ta pierwiastkowo trzydzieści sążni wyżej w górę miała wyniesione koryto. Porzuciliśmy nakoniec to miejsce, które ogólnie w sławiańskim języku Trojańskim Gradem jest nazwane. Pozostałe zaś bramy od Morlachów suplia cerkiew, czyli dziurawa cerkiew przezwane zostały.

### List XXI. (z *Kniny*).

Schronienie się przez kilka godzin w poblizszej wiosce, dla upałów słonecznych, dało nam porę dowiedzenia się o zdarzeniu osobliwym, które przed miesiącem trafiło się przy suplii cerkwi. Morlach ośmdziesiątletni z dwoma synami dorosłymi wyszedł był od siebie w zamiarze opatrzenia się chrustem, którego rośnie dosyć przy tych zwaliskach. Młodzi poszli naprzód, sam zaś stary pozostał się nieco. W tem usłyszał nagle strzelanie i domyślił się, że synowie jego muszą być od zbójców napađnięci; lecz, nim doszedł, już jego synów nie było. Padli



ofiara łupieżców, którzy postrzegłszy ojca szli ku niemu, nieobawiając się starca i niemając podejrzenia, aby się chciał bronić. Ten dał im do siebie przystąpić o pięć kroków i w tym momencie, gdy ich prosił o życie, znie-nacka strzelił z pistoletu i jednego zabił, z drugiego pi-stoletu kolegę jego ranił, a trzeciego uciekającego wy-strzałem z fuzyi na miejscu położył. Pobiegł natychmiast w pomoc swoim synom, lecz ich już bez ducha zastał. Pokonanym więc nieprzyjaciołom pościął głowy i na znak zwycięstwa zwłoki onych u siebie zachował. Znalazł bo-wiem w tej zemście ulgę w swojej stracie i przykład wnu-kom (zostawił), do czego był zdolnym w młodości, kiedy osmdziesiątletniego starca drżąca już ręka podolała i swo-ją osobę obronić i poległych synów zgonu pomścić.

Puściliśmy się w dalszą drogę chcąc na noc stanąć w Kninie, jakoż nie zadługo okazał nam się na wysokiej skale obronny Kninu zamek, a po lewej postrzegliśmy żyzne okolice i płaszczyny, które to miasto otaczają. Przeszliśmy przez most, sto kilka kroków długości mający, budowy tureckiej i na dziewięciu słupach wznoszący się. Łączy on obydwie brzegi Kierki w miejscu, gdzie rzeka Butymczyca w nią wpada. Za mostem droga się podnosi coraz wyżej i okrąża górę, na której stoi zamek. Jest ona wązka i nieprzywykłemu do gór może się zda-wać niebezpieczną. Jakoż odważny mój towarzysz Piń-czycz chciał koniecznie iść piechoto, i niezmiernie się na mnie rozgniewał, gdy mu zapowiedziałem, że go w ty-le zostawię. Że już ciemno było i noc nadchodziła, mu-siał bardzo niechętnie wsiąść na konia i pacierze pod no-sem mówił całą drogę. Przyjechaliśmy nakoniec do mia-sta. Miałem listy zaletnie do pułkownika Synobada, rządcy tamecznego, ale go niezastałem. Major też miej-scowy Nagicz był na winobranii, musiałem więc przyjąć

chronienie u Petrowicza, porucznika, a dobre przyjęcie które tam znalazłem, przekonało mnie, że nie mogłem lepiej trafić.

Nie można wystawić sobie miasteczka nędzniejszego, jak Knin, dawniej zapewne Klin, a jeszcze dawniej Arbuna zwanego, lubo w najżyźniejszej dalmackiej osadzone jest krainie. Złe powietrze — z wylewów Kierki pochodzące, wielkimi upałami dopsute, osadziło śmierć między mieszkańcami, i choroby nieustannemi zrobiło. Przy wjeździe moim do tego smutnego grodu, pomroka już znaczna padała i w pierwszym rzucie oka zdawało mi się widzieć cienie, nie ludzi, ujrawszy pierwszy raz mieszkańców onego. Zaraza w niem tak pospolita i śmierci tak częste, że niezadługo pustkami zostanie to miasto. Codziennie rodziny nikną, wszystko zapowiada przyszłe spustoszenie, i trzech rządzących: Synobad, Nagicz i Petrowicz byli tego przykładem, będąc już ostatni z swoich rodów, wszyscy bezpotomni. Kierka rozlewając się po okolicznych płaszczynach i czyniąc je żyznemi, sprowadza więc razem do domów dostatki i całun żalobny. Mimo tego jednak takie jest człowieka do ojczyzny przywiązanie, że niechce demowych porzucić progów, choć wszystko mu śmiercią grozi, i nieustanna gorączka koniec mu niechybny zapowiada. Mimo tego są w tem mieście więzienia, i jeszcze jakie! jakby warto było konających karać! Same tylko w Europie pontyńskie błota wystawiają podobny widok spustoszenia, ale jaka różnica ludzi! Morlacy mieszkający w tem mieście są zawsze Morlachami, to jest dobrymi a lubo brak nadziei, wprawiając człeka w rozpacz, rozpasuje go na wszystkie zbrodnie, jednak tu zawsze wędrownik znajdzie ich ludzkimi, zawsze pożałowania i szacunku godnymi, nie wzgardy. A lubo żaden z nich pochlebiać sobie nie może, żeby w starości na

tym się podparł kij, który mu w krotofilach młodości za cacko służył, jednak są wesolymi, żartobliwymi i dosyć do zabaw przywiązanymi. Są to niewinnie skazani, którzy cios śmierci, niesłusznie zadanej, wesoło przyjmują.

Zamek jest dosyć obronny, więcej jednak niezdrowością, jak warowniami swemi straszny, lubo wysokie jego położenie powinnyby robić go mieszkaniem, daleko od miasta w dole leżącego, zdrowszem. Chociaż garnizon był dosyć licznym, jednak prócz kapitana wszyscy byli tak schorzałymi, że nie było komu stać na warcie. Stan fortecy jest bardzo opuszczony, widać jednak po szanicach weneckich, że oni to mieli za punkt pierwszy obrony w tym kraju.

Gospodarz mój był człowiek światły, ale z strony majątku bardzo ograniczony, a żona jego kobieta dobra, porządna, wesola, już od czternastu miesięcy zaród śmierci w zwykłej krajowej gorączce nosząca. Z ukontentowaniem widziałem u mego gospodarza rys rozwalin dawnego miasta Burnam, a to tem więcej, że się ze wszystkim zgadzał z tem, który na pędce zrobiłem. Przybyły podarunek z owoców oznajmił mi powrót majora Nagicza, który okazał razem chęć wyświadczenia mi wszystkich przysług w tym kraju. Ja — niepotrzebując innych nad ułatwienie sposobu zwiedzenia okolicy, którą dla niezdrovia chciałem jak najprędzej porzucić — prosiłem, abym mógł mieć nazajutrz czółna potrzebne do zwiedzenia Kierki i jej źródła we wsi Topolie zwanej, o mile od miasta położonej.

Stało się nazajutrz zadosyć moim żądaniom i zrana odebrałem wiadomość od majora Nagicza, że o drugiej godzinie czółna będą przygotowane, i sam chciał mi towarzyszyć. Strawiwszy więc cały poranek na obejrzeniu

warowni, poszedłem do majora, gdzie zastaliśmy sześć czółen przygotowanych. Były one dość obszerne, choć z jednego drzewa wydrążone; słowem z rodzaju tych, które Grecy monoxylon to jest jednodrzewne zowią. A ponieważ dużo ciekawy byłem sprawdzić podróże Fortysa, które mi tu ostatki dawnych wulkanów zapowiadały, przeto kazałem się zawieść do wzgóрка, Kapitul zwanego, wśrodku zalanej przez Kierkę płaszczyzny wznoszącego się. A że nie miałem już do Knina powrócić, przeto wszystkie rzeczy nasze, których nie było bardzo wiele, zabraliśmy na czółna a po wykonaniu tego dałem znak flotyli do wyruszenia.

### List XXII. (z Topolii).

Płynęliśmy wylewem Kierki, który więcej na przeciąg pół mili bagien naszych poleskich nosi na sobie postać, a to tem więcej, że takim samym tatarakiem i trzcina jest zarośnięty. Czółna nasze bardzo płytkie musiały często sunąć się po błocie, i wciąż jednostajną mieliśmy drogę, aż do wzgóřka, Kapitul zwanego, o którym w poprzedzającym liście wzmiankowałem. Pagórek ten na kształt wyspy z śródka błota się wznosi, a służył dawniej za mieszkanie kanonikom, kiedy w Kninie była katedra. Zwaliska śledzą dotąd dawne ich siedliska, i bujne drzewa orzechów włoskich wyrastając w samem śródku pozostałych cel zastąpiły miejsce dawnych mieszkańców. Z ukontentowaniem spostrzegłem zdania Fortysa sprawdzenie, o byłych tam niegdyś wulkanach. Wrzeczy samej, wszystkie tam znajdujące się kamienie jednostajną ognia noszą cochę i to nie tylko na tej wyspie, ale nawet na przeciwnej górze Monte-cavallo zwaney i na drugiej obok niej stojącej, a daleko wyższej, która sławiańskie

Werbnik nosi nazwisko. Rozmaitość kolorów law tamtejszych jest nie do opisania. Jedne naśladują trappy, drugie granity, insze są zupełnie podobne do law wulkanicznych, w górach euganejskich koło Wicencyi, któremi pomosty w Wenecyi układają. Znalazłem także prócz tych wszystkich law, o których przy opisaniu Wratniku wspomniałem, taką onych rozmaitość, że nieskończyłbym ich opisania. Wyższe zaś miejsca inszych gór wszystkie okryte były marmurem dalmackim, to jest kamieniem wapiennym, powtórnego składu. Lecz powtarzam jeszcze dla zaspokojenia ciekawości miłośników mineralogii, że wszystkie te kamienie, które w tych miejscach uważałem, choć do innych niewulkanicznych podobne, jednak dziurki w nich będące, kropki czarniawe, ostatki żuźłów szklenistych—to wszystko dowodzi ich w ogniu tworzenia. Po obejrzeniu tych okolic, puściliśmy się w dalszą drogę, na co—mimo chęci, którą miałem dłużej tam zostać—przystać musiałem widząc schyłek dnia bliski. Rzeka zaczyna się tu znacznie zwęzać i grunt z błotnistej odmieniać na piaszczysty. Nakoniec wchodzimy w zwyczajne rzeki koryto, które po obu stronach przedziwnemi drzewami osłonięne, niezliczonemu ptastwu dawało schronienie. Woda, najczystsza na złotawem ruszającym się piasku dnie, w przezroczystości swojej krystalowi nie ustępuje. Popłoszone pstrągi, których tam moc jest niezmierna, zaledwo umykają przed naszymi wiosłami, a my płynąc przeciw biegowi wody, jedziemy czasem miałem piaszkowym, przez który się przecisnąć ledwo możemy, a czasem wchodzimy na głębokości, w których dwoje lub troje naszych wiosł dno zgruntuwaćby nie zdołało. Kto by sądził, aby te wody, przy źródle swoim tak czyste, tak przezroczyste, miały się wkrótce odmienić w tak brudne, szkodliwe i śmierć wzywające bagnisko. Tak nie-

winna i śnieżna młodzieńca dusza, puszczona na wodze namiętności, ocierając się o zepsute towarzystwa, pierwiastkową niewinność w przyjęte zamienia występki.

Trudno wyrazić piękniejszej przejazdźki nad tę, którą użyliśmy na Kierce, do swego źródła zbliżonej; ale zmniejszająca się coraz woda i ściśnione jej koryto ostrzega nas, że zbliżamy się do celu żądań naszych, to jest do początku rzeki, którąśmy tak rozkosznie przebyli. Mielizna coraz powiększa się i staje w oczach naszych most mурowany, dawniej obronną, a teraz rozwaloną basztą zamkniętą. Jest on, jak wszystkie dalmackie, przez Turków wystawiony. Dwadzieścia kroków za nim jest młyn, który wychodząca ze źródła rzeka obraca, a tak przy początku życia swojego jest już ludziom pożyteczna. Za młynem w pewnej odległości jest źródło Kierki, które, że jest dwoiste i od innych różne, warte szczególnego opisanja, tem więcej, że to zjawisko, nieznanne w innym kraju, często powtarza się w Dalmacyi i jest przyczyną, że nie masz może kraju, gdzieby karty geograficzne mogły większą okazywać w oznaczeniu źródeł rzek różnicę i myłki częściej powtarzane.

Jest jaskinia nieco od ziemi wywyższona, dwanaście kroków otworu mająca w głębokości nieznaney, w wysokiej wydrążona górze, z której z wielkim szumem wypływa Kierka. Chciałem czólnem ją zwiedzić, ale płytkość wody natenczas nie pozwoliła mi tego dokazać. Opatrzony więc w Łuczywo spuściłem się tam brodząc, i widziałem sklepienie wspaniałe, którego końca dostrzedz nie mogłem. Szum i łoskot niezmierny wody, objijając się o sklepienia podziemne, durzy wędrownika i strachem przeraża. Ale to nie byłoby mię wstrzymało od dalszego zwiedzenia tej jaskini, gdyby nie ślizgota kamieni i oprowadzie pędzącej z impetem—niezmiernie trudny, a nade-

wszystko deszcz kroplisty ze sklepień spadający gasił nasze łuczywa. Podróżny Fortis dla tej samej przyczyny musiał zaniechać dalszego zwiedzenia tego źródła, w tem jednak odemnie szczęśliwszy, że woda w tej porze dostatniejsza pozwoliła mu czólnem wjechać do tej pieczary. Taki był stan tego źródła, kiedy go zwiedzałem na końcu września, ale w inszej porze roku wcale odmiennie wystawia widowisko. Potoki z wierzchołków Sternicy, najwyższej w okolicach góry przy granicach tureckich leżącej, w jedno zebrawszy się koryto, spadają z cypla góry, u której spođu jest jaskinia, o której wyżej wspomniałem. Natenczas widok tego źródła jest nierównie okazalszy. A lubo Kierka przy wychodzie swoim jest tak szeroka, jak Dunajec, albo Pilica, jednak daleko większy ogół wody z samego wierzchu góry, do sta łokci wysokości mającej, z niezmiernym trzaskiem spada i łączy się z pierwszą przy samym jej wychodzie. Niechże sobie kto teraz wystawi wspaniały widok, który rzeka z góry spadająca z tak znacznej wysokości sprawić może a razem przyczynę omyłki, dla której zwiedzający te kraje ziemopisarz o sześć, czy siedem mil wyżej, położyłby początek rzeki, który ja w tej porze, w której byłem na miejscu, musiałbym i słusznie wskazać przy wsi Topolie zwanej. Kiedy ten ogrom wody z góry zlatuje, natenczas łuk robi spadając i tworząc ścianę nową, odosobnia wędrownika na górze będącego od reszty świata i można sobie wystawić, co za wspaniały i niezwyčajny wydaje obraz. Za czasów podróznego Fortysa to zjawisko było w całej swojej mocy i piękności. Leżące na boku góry jaskinie, dawne zapewne Kierki uchody, służyły mu za tajniki chłodne, z których napatrzyć się nie mógł tej przedziwnej zasłonie, co go od reszty powietrzokręgu odłączała. Wtenczas godzinę można iść po tej górze, nim się od spadu

jej człowiek wzniesie i do pierwiastkowego miejsca dojdzie, gdzie, pierwsze łożysko porzuciwszy, wody z prawdziwym Kierki źródłem łączą i mieszają się. Ta jest a nie inna przyczyna rozmaitych omyłek; znajdujących się na kartach dalmackich, której dość przypominać nie mogę, aby ostrzerzeni przyszli w tym kraju wędrownicy w nie niewpadali: Cała ta góra i poblizsze są całkiem z marmuru dalmackiego, albo z tuffu, to jest z osadów wapiennych; złożone. Ale warstwy tak są porozrucane, tak wodami i trzęsieniami ziemi pomieszane, że albo żadnego śladu po sobie nie zostawiają; albo wpół koła do góry przewrócone kształtem swoim upodobniają się. Nasyciwszy się tym widokiem porzuciliśmy miejsce Topolia zwane, tem więcej, że nadchodząca noc szukać noclegu nam nakazywała.

#### List XXIII. (*Ze wsi niewymienionej*).

Żdaje mi się, że P. Abbe Fortis się omylił przypisując przyczynę wylewu Kierki namułom, któremi Butymczyca, rzeka w Kierkę wpadająca, tę ostatnią napełnia. Sądziłbym owszem, że trzeba jej szukać w daleko bliższej przyczynie, to jest w ruchomościach dna piaszczystego tej rzeki, która sprawia, że woda osypami piasku zatamowana musi sobie koryto inne tworzyć, a dawne łożysko powoli w nowe odmienia się bagno. Chcąc temu zapobiec, trzeba by od samego źródła, przynajmniej od mostu, kanałem prowadzić wody żyźnemi Kminu gruntami, a pomiędzy łąki i płaszczyny zostawić nietkniętymi. Te z czasem sameby wyschły, byleby potok, Kossowicza zwany, do ujścia swego w Kierkę był groblami opatrzony. Ta jednak odmiana, choć z siebie samej nie kosztowna, nie tak prędko nastąpi, bo potrzeba ludności, a tej liczbę codziennie zaraźliwa zmniejsza gorączka. Lecz wróćmy się do podróży.



Koło godziny dziewiątej w wieczór przyjechaliśmy do wioski, gdzie już na nas czakano, a przygotowaną ucztę za staraniem majora Nagicza już tam zastaliśmy. Domu całego nam familia morlacksa ustąpiła i stół już był nakryty, kiedyśmy przyjechali, Społeczeństwo nasze składało się: z gospodarza domu, czterech innych Morlachów, krewnych i synów gospodarskich, i z osób, które nas z miasta do tego miejsca odprowadzały; kobiety zaś, których było dosyć w tym domu, całkiem zajęte były sporządzeniem jedzenia. Na koniec na deskach spojonych przyniesiono nam wieczerzę, która się składała z dwóch baranów całkiem upieczonych i nie wiedząc wiele drobiu. Dopiero w ten czas gospodarz pokazał nam awoją żonę i córki. Formularz zaś tego przedstawienia był tak oryginalny, jak prosto ta obyczajów tego narodu. Poznając mię bowiem z swoją familią, rzekł: — „*Prostitute to moja žena* co znaczy; przepraszam, tą moja żona.\*) *Prostitute to moja ciera*“ — co jest przepraszam, to moja córka. Zrozumieć nie mogłem przyczyny przepraszania, tem więcej, że ta ostatnia, to jest jego córka, była bardzo piękna i pełna wdzięków; ale jak się później przekonałem, to jest zwyczaj wszystkim Morlachom powszechny. Gdy przysło siadać do stołu, weszła synowa gospodarska, jedna z pięknych kobiet, które widziałem, że zbytkiem morlackim przystrojona. Miała na sobie ferezyę, krojem i kolorem podobną do krakowskiej, zausznicie ogromne, pełno szkieł na szyi, klamry i napiersień połączany, chodaki czyli opanki, ze sznórków przewybornie szyte, i w rękach trzymała luczywo, które naszą ucztę oświecać miało. Winno wyśmienite, przez majora Nagicza z domu przywiezione, prędko wesołość między biesiadujących podzieliło. Wszyscy po sławacku z jednej pili czary, która kolejno biesiadujących obchodziła a ci ją wychylając wzajemne zdrowia

\*) Tak samo mówi nasz goral ruski. W.

wypijali. Tymczasem gospodarz, kolei swojej nie zapominając, ustawnem gości częstowaniem zajęty, najsmaczniejsze wybierał kawałki, na końcu noża nam je podawał powtarzając za każdą razą: „*Molim was gospodynie!*” to jest: prosim was panie. Tymczasem przytomna synowa—nie należąc w niczem ani do naszej wesołości, ani do naszej biesiady—z oczami spuszczoneimi trzymała łączywo, które do ostatniego kawałka tliło, nim drugą szczyptę zapaliła. Od tego bowiem zależy doskonałość urzędu nowicy, czyli synowej, żeby do ostatka trzymać odważnie rozpalone łączywo, które posileniu się wieczornemu ojca codziennie przyświeca. Na ten czas wszyscy winszują i rokują, że będzie dobrą gospodynią. Niewiem, czy ten obyczaj byłby dogodny delikatnym palcom naszych kobiet; ale wiem, że wzięty przenośnie nie jest bez znaczenia, i pożyteczny może zawierać moral. Nadaremne były moje proźby, żeby raczyła usiąść i wesołość biesiady z nami podzielić. Nie ją do tego nakłonić nie mogło, i równie była głuchą na moje wzywianie, jak na żarty trochę grube naszych współbiesiadników, które w niczem skromnej jej niewinności nie obrażały. Cóż by ją nakoniec zawstydzić mogło? czyliż nie wiadomo, że rumienny wstyd naszych kobiet nie dowodzi nic innego, jak znajomość lub domysł występku i że prawdziwa skromność nie jest czem innym, jak nieznanością onego? Tymczasem wzmagające się piwy naszych Morlachów wesołość uczyt mnożyły. Między innemi, дума o królewiczu Marku zapomnianą nie była. Nieskończyłbym, gdybym chciał tu wszystkie szczegóły naszej biesiady opisać, a to, co o nich namieniłem, może cię kochany przyjacielu! znudzi. Ale ja sądziłem, że tak jak czytelnikowi zastanawiającemu się wszystkie zwyczaje, mąlujące mu charakter narodów nie powinny być obojętnemi; tak przestępstwem jest dla wędrownika onych

nie uważać i opisanie zaniedbywać. Jako bowiem w przedmiocie, którego z daleka rozeznad nie można, nie opuszczamy szczegółów, które by nam istotę rzeczy postrzeżonej objaśniły; tak ciekawy badacz, nie może poczytać za obojętne wszystkie polski światła, które mu naród odległy i jego charakter objasnić i dać poznać zdołają.

Dosyć późno w noc trwała ta uczta, a jeszcze biesiadnicy nie myśleli się rozchodzić; nakoniec major Nagiec—wchodząc w potrzebę, którą mieć mogłem odpoczynku—pożegnawszy się z nami i przyjąwszy moje podziękowania z przybyłymi z miasta odjechał—zostawiwszy nas, opiece gościnnej naszych Morlachów. Nie mogliśmy dla ciemności ani rzeczy naszych znaleźć ani uwag dziennych zapisać, gdy nadeszła znowu nowica z nowym pasem łuczywa, przekonała nas o uprzejmości naszych gospodarzy, a razem o zaufaniu, któreśmy ich w tak krótkim czasie natchnąć zdołali. Urządziwszy nasze łóżka, które się z kilku wiązek siana składały i skończywszy nasz dziennik, nie chcąc nadużywać cierpliwości naszego powabnego i cnotliwego świecznika, pożegnaliśmy ją z upominkiem, którego przyjąć nie chciała bez pozwolenia ojca.

Świt nas obudził, lecz w momencie, kiedy miałem siadać na konia pożegnawszy gościnnych naszych gospodarzy, nagle porwała mię gorączka. Nie chcąc się poddać wzmagającej się febrze puściłem się w podróż, lecz wkrótce żałować mi tego przyszło. Zawrót głowy nie pozwolił mi dosiedzieć na koniu, a osłabione siły nie dopuściły iść piechotą. Droga też była bardzo nieprzyjemna i trudna, mieliśmy bowiem przed sobą pasmo gór horsawackich, bardzo przykre do przebycia, ciągle drapać się potrzeba było po skałach ścieżką wąską i przykro w górę idącą. Nie mogę wyrazić, com wycierpiał, nimeśmy się

dostali do wierzchołka gór tych, tem więcej, że odbywałem tę podróż w czasie największego upału. Przewodnicy nasi widząc potrzebę, jaką miałem, spoczynku, przypomnieli sobie mieszkanie popa greckiego w pobliskim lesie będące. Udaliśmy się więc do niego, a oskoczenie nas nagle dwóch ogromnych pokurczów ostrzegło, że niedaleko jesteśmy mieszkania. Ten trafunek daje mi porę wspomnienia czytelnikowi o zwyczaju bardzo niewygodnym dla wędrowników, a wszystkim domom morlackim powszechnym: chowania rozjadłych psów, których dzikość i zawziętość jest nie do opisania. Ani ponęta smacznego kęsu, ani bicie nie mogą nigdy zaspokoić tych żarliwych stróżów; ale kto wie, czy sławne Fingala brytany były lepsze. Widok domu pokrzepił siły i nadzieję moją, lecz ta uluda niedługo trwała. Zostałem bowiem sześć osób, składających rodzinę tego kapłana, obłożenie od pięciu miesięcy chorujących na gorączkę, w tym kraju pospolitą. Trzeba byż na miejscu wędrownika, odosobnionego od wszelkiej pomocy, której w świecie cywilizowanym dostać można, żeby pojąć niedogodność położenia mego. Gorączka, której byłem dostał w niezdrowych Kni-nu równinach, wystawiała mi smutne skutki onej, którą w tem nieszczęśliwym widziałem mieście. Przytem daleki byłem od wszelkiej wioski, i wystawiwszy sobie nawet, żebym miał siłę tam dojść, jakaż mię czekała pomoc w miejscu, gdzie imie nawet doktora jest nieznanne? Przytem deszcz rzęśisty i zbierające się chmury burzę nam zapowiadały. Mimo tego, wolałem sobie nocleg w lesie obrać, niż dzielić go z tymi nieszczęśliwymi, którzy na chwilę się ucieszyli sądząc, że byłem lekarzem, póki nie dowiedzieli się, że i ja równie, jak oni, potrzebuję pomocy. Na prędce zrobiona z gałęzi buda i okryta kabanicami, czyli płaszczami naszych Morlachów, słu-

żyła mi za schronienie przez noc całą, mimo gwałtownej ulewy, która nie ustawała. Na jutro ze świtem, czując się trochę lepiej, puściłem się w dalszą drogę i zawsze w towarzystwie deszczu nieustannego przyjechałem do wsi, gdzie wznagająca się słabość moja przytulku szukać kazała. Wszedłem do najpięrszego domu prosząc o schronienie i zastałem całą rodzinę siedzącą koło ognia; budynki bowiem morlackie nie mają kominów, ani pieców, ogień się pali na środku, dym idzie prosto w górę i ucieka szczeliną, w dachu zrobioną. Rodzina cała na ziemi siedzi koło ogniska, wyjąwszy starego ojca lub jaką poważną osobę, którzy siedzą na stołeczkach niskich drewnianych, podobnych do naszych szewskich, tylko niższych.

Za nadejściem mojem gospodarz się ruszył z miejsca; ustąpił mi swego stolka i—widząc, że moja odzież całkiem była przemoczona i cera niewiele obiecująca zdrowia—kazał mieć o mnie największe staranie. Jakoż na wyścigi starano się zadosyć uczynić jego rozkazom. Mężczyźni ogień rozniecili, kobiety obnażyły mię z przemoczonej odzieży i koszulą starszej córki domu opatrzyli, bo ta jedna tylko do odmiany znajdowała się. Morlachowie bowiem nasi; choć bardzo gościnni, jednak na czystość bielizny nie są dużo wymyślnymi. Przez dwa dni przebywania mego w tym ludzkim domu nieodmierne było całej rodziny koło mnie staranie, i toż połączone z siłami młodości dokazały, że trzeciego dnia znalazłem się zdrowszym i zdolnym do dalszego odprawiania podróży. Nim tych szacownych ludzi pożegnałem, porządowałem każdemu z nich upominki, stosowne do wieku i potrzeb każdego w szczególności. Ostrzeżony bowiem będąc jeszcze w Wenecyi, że Morlachy nagrody pieniężne za wyrządzoną gościnność mają za obelgę, zaopatrzyłem się był we wszyst

kie rodzaje cacek, które mogłyby przypaść do smaku poczciwym Morlachom i, aby nieuchybić w ich wyborze, użyłem rady osiadłego tam Sławianina. Jakże też potem ten mi się nadgrodził wydatek! gdy z jednej strony smakowałem ukontentowanie, które te lichoty rozdawane sprawowały na umyśle tych prostych i niezepsutych ludzi; a z drugiej miałem w moim ręku czem dogodzić wdzięczności mojej za obowiązki przyjęte. Doświadczyłem w ciągu podróży moich, że jeżeli biała pięć morlacka, równie jak nasza, na wszystkie stroje ozdoby jest czuła, tak młodzieńcom nic się nigdy niepodobało, jak upominek z prochu, kul, lub jakiegokolwiek broni, któryby ich rycerskiemu odpowiadał zapałowi.

To, co w innym kraju mogłoby być mnie szkodliwym, tu owszem stało mi się pożytecznym. Sława bowiem bogactw moich wszędzie mię wyprzedzała. Radbym, żebyś widział moment, w którym tę szkatułkę szczęśliwą z darami przynoszono. Oczy wszystkich w nią wlepione, kobiety pasujące się między chęcią dostania jakiej ozdoby a bojaźnią okazania onej; słowem milezenie podobne temu, które wyrokom sądu towarzyszy. Zbliżeni do natury, szczerzej w swoich uczuciach, wszystko do ich serca trafia i na nie działa, a tem samem nie są w stanie ukryć żaden swoich uczuć, które ich przejmują. Spojrzenie tylko po oczach przytomnych dawało mi zaraz poznać, co się komu podobało, i idąc za tem śledzeniem nigdy się nie omyliłem. Obdarowawszy, mówię, tę szanowną rodzinę, odjechałem przejęty winną dla niej wdzięcznością. Wszyscy mnie do końca wsi odprowadzili. Widać było w ich oczach smutek z roztania się ze mną pochodzący. Wszyscy na wycigi z życzeniami się ubiegali, gdy z naglej gospodyni domu załamawszy ręce, z czułością rzekła: „mój boże! jacy my nieszczęśliwi, ten gość

nas wszystkich udarował, a my mu nietylko w zamian, ale na pamiątkę nic dać nie możemy. Żałuję tego, któryby nie był zdolny uczuć ceny tych słów. Wiem, że one wskróś mnie przejęły i mieścić się mogą w tej małej na świecie liczbie wyrazów, w których sama czułość przemawia.

**List XXIV. (z wioski Jarebisz.)**

Ztamąd jechaliśmy na wieś Polaja zwaną, a—zostawwszy po prawej stronie drogę do Werliku—udaliśmy się ku góróm, z których wytryska źródło Cettyny. Stanęliśmy przed wieczorem u nich i nocleg zajęliśmy w wiosce Jarebisz zwanej, liczną Wukowiczów familią zamieszkałą. Stałem u najstarszego z rodziny i zastałem wszystkich siedzących przy ogniu. A ponieważ miałem z sobą podróż l'abbego Fortis, który—z mylordem Hervejem to źródło zwidzając przed trzydziestu laty—najgościnniej od tej rodziny będąc przyjęty, w swoim dziele zostawił nam tej ludzkiej uczyty opisanie. Przeto nauczysz się tego na pamięć, opowiedziałem wszystkie onej szczegóły. Nie można wyobrazić zadziwienia wszystkich przytomnych. Znaczny upływ czasu od tego zdarzenia sprawił, że już to było poszło w zapomnienie, gdy jeden staruszek, który dla podeszłego wieku był już oślepił, rzekł: To istina—co znaczy: to jest rzetelna prawda. Jakoż on był wtenczas perwanym czyli starszym rodziny, kiedy ci uczeni podróżni zwiedzali te okolice. Prózno bym chciał wyobrazić wszystkich zadziwienie i ukontentowanie, tem więcej, gdy dodałem, że mogą uważać, jako dobry uczynek nigdy ani tajnym, ani zapomnianym byź nie może, i że, czy prędzej czy później, bez nagrody nie zostanie. Kazałem więc szczęśliwe pudełko przynieść i każdego w szczególności udarowałem jakim upominkiem. Był moment takiej radości i zachwycenia, iż, gdybym go nie był

zatrzymał, wszystkie barany całej wsi byłyby dla mnie wyrznięte. Z pracą rzeź tę zatrzymałem, a niechęć naśladować tych; co cnotę wielbią dla własnego zysku; powiedziałem, że nic nie przyjmę i przestając na chlebie i mleku, poszedłem spać, kontent choć głodny, że w tych dobrych ludziach zostawiłem po sobie dobre mniemanie i przekonanie, że nie dla korzystania z nich byłem w ich dom zawitał. Uwaga jednak Morlachów—że wiek mój młody nie pozwalał mi być współczesnym podróży Fortysa i, że bez tajemnego jakiego sposobu i nadzwyczajnego wiedzieć o tem niemogłem—dała tym prostym ludziom wyobrażenie, że muszę być czarownikiem; nadaremne moje zapewnianie, że mam dzieła Fortysa, z którego to wszystko wyczerpnałem, nie wyprowadziło ich z tego mniemania i w niem zostawić ich musiałem.

Tym czasem całej władzy mojej użyłem, żeby do trudnej podróży, która mnie czekała, wszystko było przygotowane, jakoż przededniem przysposobiono dużo łu-czywa i z pięćdziesiąt sążni liny. Ponieważ nas dzień bardzo pracowity czekał, przeto obudziliśmy się przed świtem i puściliśmy się w podróż.

Znajomość wielkiego świata i ludzi w powszechności przekonała mnie, że dość jest podróżnemu coś nadzwyczajnego powiedzieć, aby to wzięte zostało za urojenie i własne jego marzenia. Wolę więc—aby ująć tego podejrzania i dziwom, które dnia tego widziałem, dać cechę większej pewności—przytoczyć ci kochany przyjacielu! wyjątek z dzieła Fortysa, w którym opis rzetelny tego, co widziałem znajdziesz. Jest to część dzieła tego najrzetelniejsza i nadto dobrze zrobiona, aby do niej co przydać można. Nie jestem bowiem w chęci naśladowania inszych wędrowników, którzy, jeden z drugiego biorąc, niewdzięcznością swoją naśladowają zwierzęta, obracają-



ce się tyłem do źródła, w którym czerpając swoje pragnienie ugasiły. Dostę ci powiedzieć, że tam wszędzie byłem, wszystkie jaskinie zwiedziłem, wszystkich źródeł głębokość mierząc nigdzie dna nie znalazłem i, że w największej pieczarze objad jadłem. Przyłączony tu opis wędrownika Fortysa da ci wyobrażenie o trudach, które tego dnia ponieść musiałem, a lubo w tych podziemnych lochach sopliste ozdoby od trzydziestu lat znacznym odmianom podległy, jednak trudność w odwidzeniu tych podziemnych mieszkań, jeżeli do tego czasu nie zwiększyła się, to zapewne ułatwioną nie została.

#### List XXV. (*wyjmek z Fortysa.*)

Zwiedzając pierwszy raz w towarzystwie milorda Herveja te źródła, mówi Fortis, dwa z nich szczególniejszej zdawały mi się być godnymi uwagi. Pagórki, które się rozciągają między górami Koziak i Dinara zwanymi i piękne Cettyny otaczają pola, coraz się bardziej w głąb kraju wznoszą i schodzą się potem z górą: Hersowacz zwaną. Warstwy ich tyle zewnątrz okazują nieporządku, iż zdają się być zwaliskami gór starożytnych.

Najpierwsze źródło, któreśmy zwiedzili, jest o sto kroków oddalone od wioski; część dolna pagórków czyni półkole na około. Jezioro małe, którego woda jest bardzo czysta, ukryte blisko ze wszystkiem w skałach i drzewach, trzydzieści ma stóp średnicy. Mieszkańcy tamtego kraju twierdzą, iż jest niezgruntowane, rzucaliśmy tam kamienie białe różnej wielkości, które nie doszedłszy jeszcze do środka oczom naszym zniknęły. Woda jego nie zdaje się poruszać, musi jednak w wielkiej z jeziora uchodzić obfitości, kiedy niżej o dwa wystrzały z fuzyi tworzy już znaczne źródło. Niezliczone mnóstwo pstrągów, z których niektóre do dwudziestu i pięciu funtów

ważą, razem z wodą ze środka gór wychodzą, prócz tego i inne jeszcze tam widzieć wód słodkich ryby. Otwór, który im służy za przejście, jest nieprzystępny a nawet, patrząc na niego poziomo, nie widoczny. Ażeby go odkryć, trzeba udać się na jeden koniec skał w półokręgu będących i patrzeć na niego z góry na dół. Spostrzeżę się natenczas rodzaj marmurowego sklepienia nieregularnego, sześć stóp mającego długości, z którego spodu woda wytryska z wielką mocą. Chociaż na powierzchni jeziora nie postrzeżę się żadnego tryskania, jednak przekonać się łatwo można o ruchu kręgowym wody z odwrotnego położenia w nią rzuconych i na spód jej spadających kamieni.

Zródło drugie—położone ze strony przeciwnej, w odległości nie wielkiej od wioski—wodzi jezioro daleko rozleglejsze, które warstwy marmurowe otaczają w kształcie końskiej podkowy. Brzegi jego nie mają tyle świeżości ani cienia, jak brzegi pierwszego; lecz, jak twierdzą, tejsze samej jest głębokości. Z jeziora tego wychodzi jeszcze strumyk dosyć znaczny, który tem bardziej nim się staje przez złączenie się z wodami trzech innych źródeł i wielu strumyków, z tejsze samej góry ku równinie wypływających.

Uważając ogrom wody, których dostarczają te jeziora i inne źródła na utworzenie rzeki Cettyny; widząc, iż cała wypływa z góry daleko mniejszej od tych, z których najznaczniejsze rzeki biorą swój początek; przypominając sobie, że wszystkie wierzchołki gór Illiryi są złożone z kamienia brèche zwanego; wnosi się łatwo, iż źródła, któreśmy zwiedzali, nie były prawdziwemi źródłami Cettyny. Chęć raczej nas bierze uważania ich, że tak powiem, jako rozszerzenie się rzeki podziemnej, której łożysko znajdowało się w najdawniejszych wiekach na tych wy-

sokielu i ciągłych równinach, które, przez długi przeciąg czasu przerywane, stały się gór wierzchołkami. Milord Horvej świeżo z okolic Belluno przybyły, gdzie urwiska gór zatrzymują często bieg rzeki, rozumiał, iż na pochyłości wzgórków gór: Koziak, Gnot i Dinara zwanych, poznał ślady podobnych zawałin. Nadzwyczajne przerwy warstw zdają się być działaniami, albo przez nagłe rozstąpienie się, albo przez ciągły wód wyliz. Ażeby sprawdzić to tak słuszne i tak dobrze wsparte mniemanie, przedsięwzięliśmy zwiedzić te jaskinie, które krążą wewnątrz gór naokoło jezior, o których jest mowa, leżących.

Mimo ich dzikości i ponurej ciemności niektóre z tych jaskiń zamieszkałe dawniej były przez ludzi, zwierzętami dzikimi podobnych. Widać tam jeszcze ślady murów niezgrabnych, przeznaczonych na obwarowanie przystępu do nich i uczynienie ich temże samem nieprzystępniejszemi. Ludzie twardzi, którzy w tak dzikich przemieszkwać mogli miejscach, musieli mieć zdrowie żelazne. Drapałem po kilka z tych jaskiń, nie dla własnej zabawy, lecz z chęci śledzenia składu budowli tych gór marmurowych. Między warstwami przewróconemi znajdują się przełamy i jaskinie, w których niepodobna się trzymać długo na nogach—aby tam dojść, trzeba się czołgać. W jednej z tych jaskiń podłoga i sklepienie przy wniknięciu do niej zewnętrznem obsiane są soplami kamiennemi, bardzo twardemi i kończastemi *stalactites*\*) zwanemi. Wyżej marmur przez przebywanie tam częste dawnych ludzi dzikich tak został gładkim, iż ja, czołgając się z usiłowaniem niezmiernem naprzód, bardzo się często daleko w tył ślizgałem. Z tych tajników przechodzi się do miejsc przestrzeńszych, ale równie jak tamte przerażających ponurym ścian okopieniem. Dzicy ludzie, którzy w wiekach przeszłych te lochy zamieszkiwali, często zapewne musieli się znajdy-

\*) Podług tego proszę poprzedzające, te same, słowa poprawić. W.

wał w niebezpieczeństwie złamania karku, lub też uduszenia się w gęstym dymie, pochodzącym z łuczywa, które w mieszkaniach tych piekielnych za pochodnie im służyło.

Ażeby mieć doskonale wyobrażenie budowy wewnętrznej części kuli naszej, trzeba jak wiesz, albo kopać głęboko w ziemi, albowi też drapać się z kamienia na kamień w wydrążeniach, czyli jaskiniach, choćby najstraszniejszych. Takim sposobem będzie można naturę odmalować tak, jak jest w rzeczywistości, i zobrać tem samem zapas materyi na utworzenie dobrych teoryj, albo też na zabicie przynajmniej fałszywych. Dotąd nie byłem szczęśliwym w moich badaniach: jaskinie, które widziałem w górach wapiennych, wszystkie są sobie podobne. Lecz zwiedzając góry kruszcowe, w których ludzie jeszcze nie kopali, spodziewam się, iż kiedykolwiek znajdę rzeczy mniej pospolite. Jakichżeby wybornych prawideł, tyjących się działań chemicznych natury, nie można w tych ciemnych czerpać przepaściach. Wybadawszy systema i urodzajowanie autorów najslawniejszych i porównyawszy kopalnie z opisami, które dają o ich początku, widzę, iż najlepsi nawet natury tłumacze źle ją zrozumieli. Śmiem więc zapewnić, iż na mierne udoskonalenie mineralogii wielkiego jeszcze należy dołożyć starania i do tego potrzebne są spostrzeżenia ludzi od wszelkiego uprzedzenia dalekich.

Między podróżami podziemnymi, zaiste ta, którą w największej źródle Cettyny odprawiliśmy jaskini, jest, jak sobie pochlebiam, jedną z tych, które miłośnikom ziemiopisarstwa fizycznego podobać się zdołają. Przy wchodzie nie można długo iść prosto; przymuszeni byliśmy do nachylenia się, a nakoniec do położenia się na ziemi i do czolgania się na brzuchu po ścieżce, bardzo

złej i błocistej; któraby najciekawszego nawet zdołała zatrzymać. Utwory wód spływających, choć w stosunku do małej rozległości miejsca, nie mogą być tak wspaniałe, jak w wydrążeniach na *Antiparos*, lub też w *Baumanshöhle*, są jednak bardzo rozmaite i mnogie.

Igrzyskiem najosobliwszem natury są naczynia kształtu konchy karbowanej lub łuszczkowatej. Jedna między innymi ma łuszcзки kształtu bardzo pięknego, pół stopy długości mające. Muszla ta cztery cale grubości, a dwie i pół stóp ma długości i znaczną może w sobie mieścić mnogość wody. Sztuka nie mogłaby nic piękniejszego na ozdobienie jaskini, albo strumyka, w ogrodzie utworzyć. Też same wody, które spadając z wysokości dwie stóp mającej to naczynie utworzyły, robią także doskonałe wzory fortyfikacyj, we środku wydrążonych, otoczonych murami i basztami trzy aż do czterech piędzi wysokości mającemi. Nie rozumiej, iżby imaginacya dopomagała mi w wynajdowaniu doskonałości w tych dziełach, bo to się zazwyczaj zdarza, gdzie ostatniej nie ma, natura tak je sztucznie ułożyła, iż niepodobna, aby, zadziwienie sprawując, znudzić mogły; więcej ona nawet w tem dziele używa doskonałości, niżeli w kształceniu kamienia matematycznego, który się znajduje niedaleko Bononii.

Postępując dalej, widzieliśmy jeszcze kilka małych jezior, których powierzchnia pokryta jest łuszczkami solnemi z ziemi wapiennej, *spath calcaire* zwanej. Sól ta plewką pokrywa powierzchnię wody, która potem ciężarem swym łamie się, na dół opada, i nowo tworzącej się miejsca ustępuje.

Bezpośrednio wznosi się pod okapem alabastrowym gntunek narości białości niewypowiedzianej, podobnej do śnieżnej. Te wszystkie tak zdają się wychodzić z ziemi, jak szparagi. Zjawisko to wyziewu pozorne—które

niegdyś zwiódło Tourneforta i niedawnemi czasy autora sławnego historii kopalni, Pesaro—bynajmniej nas w błąd żaden nie wprowadziło. Naturalista francuzki bieglejším będąc w botanice, niżeli w mineralogii, nie zasługuje, jak widzimy, na żaden zarzut, gdy wziął pozór za prawdę. Uczony Włoch tem bardziej godzien jest naszego uniewinnienia, on bowiem spuszcżając się na badaczów natury, bardzo lichy i bez starania rzeczy biorących, wspierał swoje zdania przynajmniej na czynach, chociaż w prawdzie nader niepewnych. Prócz tego dalekim on jest bardzo od utwierdzenia przyjątego w szkołach zdania, które—idąc ślepo za: odwiecznego Pliniusza zdaniem—przypisuje także kamieniom własność roślinną czyli wegetacyę. Rozumie on, iż pomiędzy wszystkieni marmurami ten rodzaj alabastru kamiennego jest jedynym tylko rosnącym kamieniem; co się zaś innych tyczy kamieni, utrzymuje, iż te tej niepodpadają własności.

Częste i widoczne zwałiska warstw marmuru, lub też kamieni kruchych, które się często w tych zwałiskach napotykJają, coraz bardziej nas w zdaniu utwierdziły, iż rzeka jakowaś podziemna ich podstawy zniszczyć musiała. Przechodząc się przez długi czas natrafiliśmy nakoniec na most naturalny, utworzony przez łuk na powietrzu z łożyska skał zawałonych pozostały. Pod tym mostem uchodząc wody z gór ościennych skupione wylizwały sobie w rozmaitych warstwach kanał szeroki podziemny. Tutaj milord Hervey chciał spocząć i tym końcem wysłał z odwagą niepospolitą Morlachów, za przewodników nam służących, dla uzbierania nowego zapasu łuczycwa, które nam do oświecenia dalszej drogi służyć miało. Most ten ma dziesięć stóp długości, a dwadzieścia wysokości.

Skacząc z jednej rozwaliny na drugą przybyliśmy na koniec do mostu, gdzie znaleźliśmy przyjaciela naszego spokojnie siedzącego. Żaden zapewne biskup kościoła starożytnego nie przeżył ciemniejszych i straszniejszych grobowców podziemnych, od tych, do których chęć oświecenia się biskupa Londonderry doprowadziła. Miejsce, w którym nas oczekiwał, jest oryginałem piekła, opisanego przez Dantę, i miejscem najprzypoitszem do dumania nad nocami Younga, jeżeli kto chce jeszcze je smutniejszymi i okropniejszymi znaleźć, niż są w istocie.

Nie byliśmy kontenci z wynalezienia łożyska, którym wody deszczowe spływają pod most ten marmurowy. Raczej nas to gniewało, iż—większy stopień widząc podobieństwa do bytności tu rzeki podziemnej—niemożliwy jej odkryć. Strony mostu tak są wysokie i spadziste, iż niepodobną prawie zdawało się nam być rzeczą, abyśmy mogli dalej iść na przód; jednakże ta przeszkoda bynajmniej nas nie wstrzymała: posuwaliśmy się jeden za drugim wzdłuż skały, której brzegi wyskakujące jeszcze nam schodzenie cięższem sprawiały, a na koniec widzieliśmy się już wstanie puszczenia się w dalszą podróż. Marmur, przez któryśmy przeskakiwali, składa się z tych samych cząstek, co i ten, który czyni podstawę Liburnii i wysp pogranicznych, których opis dałem w uwagach moich o wyspach Charso i Osero. Ciała małe, kształtu rurek, przeistoczone potem w ziemię wapienną, spath calcaire zwaną, daleko dzielniej w tych przepaściach, jako też na brzegach morskich rozpuszczeniu przez wodę opierać się mogą, niżeli reszta kamienia, który je utrzymuje, i dla tejsze przyczyny wznoszą się nad powierzchnią marmuru, w którym są spojone.

Spuszczając się kilka kroków po tych warstwach nachylonych, natrafiliśmy na kilka małych jezior, czyli raczej na studnie. Jest rzeczą jasną, iż te dziury pochodzą z ciśnienia wód wierzchnich, które—w czasie topnienia śniegu będąc ściśnione i szukając uchodu—warstwy skał rozdarły. Studnie te dały nam poznać, iż chodziliśmy na sklepieniu, pod którym wszystko było wodą napełnione: brzegi ich marmurowe mają dwie stóp grubości, zwyczajna to także jest grubość warstw na brzegach cieśniny Quarnaro zwanej.

Rzuciliśmy kilka kamieni białych w wodę czystą tych jezior, i ścigając je oczami przez minutę, nim jeszcze do spodu doszły, jużśmy je z oczu naszych stracili. Chcieliśmy się jeszcze przekonać z ruchu tych wód, które zatrzymane chropowatością skał bieg swój tracą i żadnego zdają się nie mieć odchodu: kilka kawałków kart, któreśmy w nie rzucili, uniesione będąc w jednymże kierunku, przekonały nas, iż te wody, chociaż pozornie ze wszystkich stron zamknięte, mają bieg rzeczywiście ciągły. Spodziewałem się, iż znajdę w tych miejscach odludnych ryby, lecz ich nie widziałem, może ich w samej rzeczy nie ma; może też pokazanie światła i szelest, który nasze rozmawianie sprawiło, owe ryby przestraszyły i porozpędzały.

Wyszliśmy z tej jaskini nader kontenci, ześmy ją dwa razy zwiedzili. Zwracając wtenczas znowu oczy na wysokie góry, które otaczają bieg rzeczywisty Cettyny, nie mogłem już wątpić o tem, iżby wierzchołki nie mogły być przed czasem bydź łożyskiem rzeki dawnej, zapewne tej samej, która dzisiaj częścią pod ziemią, częścią odkryta dalej w morze uchodzi. Ramiona tej rzeki złożyły tu zapewne w dawnych czasach owe kupy piasku grubego, który się zazwyczaj w tych górach znajduje.



Niedaleko wchodu do jaskini przygotowano nam objad. Miejscem na tę ucztę przeznaczonem był dawny cmentarz, niedaleko kościoła zawalonego leżący. Między nagrobkami mnóstwo znajduje się drzew, które przyjemny cień sprawują. Kamienie—pod którymi spoczywają popioły tych dawnych wojowników, których się jeszcze i teraz herby często wynajdują—znaczną są również mnóstwem, jako też i wielkością. Pod drzewami owemi widać więcej nad dwieście brył ciężaru niezmiernego, każda z jednego kawału marmuru tak, iż możnaby je poczytać za nagrobki wielkoludów. Niektóre z tych kawałów marmuru mają ośm i pół stopy długości, więcej nad cztery stopnie szerokości i tyleż wysokości. Za nadto oddalone leżą od gór, ażeby sobie nie wystawić trudności sprowadzenia onych na te miejsca bez pomocy sił (machin), przemysłnie zrobionych. Bryły te niezmiernie są po większej części kształtu równoległościannów prostokątnych (*paralleli-pipéde*) dosyć dobrze uładzonych; niektóre są kształtu dzikiego, lub bardziej wykwintnego; wszystko bez napisów, lecz natomiast uwitkami wypukło rżniętymi ozdobione.

Objad ten był kosztem Morlacha Wukowicza przygotowany, z największym zbytkiem w mięso obfity. Człowiek ten gościnnie nierozumi ani słowa po włosku, lecz doskonale zna prawdę gościnności. Jeden z nagrobków służył nam za stół, lecz osobliwsze jeszcze do tego postawione przed nami stoły, na których dwa pieczone spoczywały barany. Były to placki z ciasta przasnego, przeznaczone, by nam służyły razem za talerze i za chleb. Jedliśmy kilka z tych potraw z wielkim smakiem, lecz żadnym sposobem niemożliwym kosztować tych, które właśnie najulubieńszymi były Morlachów przysmakami. Połykaliśmy placki, które nam się smacznie zdawały,

w tem Milord Hervey, obróciwszy się do mnie, rzekł jak Askaniusz w Wirginiuszu:

„*Heus etiam mensas consumimus!*“

### List XXVI. (z *Wertiku.*)

W poprzednim liście wypisałem ci kochany przyjacielu! wyjątek z dzieła Fortysa, równie wymowny, jak ciekawy. Ja, który te wszystkie miejsca zwiedziłem, czego następni podróżni ślady znajdują w wyspie imienia mego, które tam zostawiłem, oddając sprawiedliwość spostrzeżeniom Fortisa, w tem tylko z nim różnię się: najprzód, że alabastru tam żadnego nie masz, tylko spath wapienny; potem, że ta plewka pokrywająca powierzchnię wody, o której on wspomina, nie jest spathem wapiennym, tylko karbonatem; nakoniec, że te rurki w marmurze, o których on wspomina, są tylko płodami morskimi, które, jak wszystkie inne w marmurze dalmackim znajdujące się, są przejęte i zamulone osadem wapiennym — i wtenczas dopiero postrzedz je można, gdy tenże namuł wodą zostaje splukany. Powstanie jego przeciw Tournefortowi jest niesłuszne i niebestronnie zrobione. Wymawia bowiem Włocha, który to samo Tourneforta przyjął zdanie, a nie uważa, że postrzeżenia w naturze żółwim idąc krokiem, to co w mniemaniu poprzedników naszych było mylnego, nie jest dla nich występkiem, ale podobnyż błąd w uczonym ośmnastego wieku jest nagannym i nie do wymówienia. Montaigne, ów sławny filozof francuzki, powiedział jeszcze za czasów swoich:

*La nature en pravoiant abondamment á tous les besoins de l'homme, a satisfait cependant le moins á ceux de la curiosité.*“

Każdy wie, że natura—odziewając się zaskoną skrytości, otaczając się tysiącem krętych manowców i ścieżek—ludziom przystęp do siebie bardzo trudnym zrobiła. Podobna do czulej matki, która niewidomą ręką hojnie dzieci swoich potrzeby opatruje, nie cierpi badań i postrzeżeń, a—statecznie zanurzając się w tajemnicach—samym wybranym gieniuszom i zaszczytom rodu ludzkiego niekiedy do łona swego pozwala przystępu. Nikt w tym wieku, w którym żyjemy, nie może wątpić o tem, że wszystkie postrzeżenia odwieczne kamieniom roślinność odmówiły. Wszystkie bowiem dowody, przez dawnych przytaczane filozofów na poparcie roślinności kamieni, nie tylko ich wniosków nie wspierają, ale owszem zbijają. Nie jest mojem zdaniem utrzymywać, że się nowe nie rodzą kamienie, ale te i utworzenie swoje i powiększenie winne osadom, lub agregacyom, czyli spojeniu; lub ogniom podziemnym, albo meteoryjnym. Innego kamienie początku nie mają i sprzeciwienie się tej rzeczywistej prawdzie, tylu dowodami i postrzeżeniami stwierdzonej, więcej na litość, jak na zbijanie zasługuje.

Po obejrzeniu źródeł Cettyny, w których śledzeniu odważny nasz Pińczyo nie chciał mi towarzyszyć, poszliśmy do wzgóрка drzewami zarosłego, gdzie milord Horvey na ucztę był zaproszony. Przypatrywałem się z największą ciekawością tym grobowcom, które w istocie wskazują szczątki narodu, jeżeli nie oświeconego, to przynajmniej dzielącego z oświeconemi chęć wyrwania zwłoków swoich z pod władzy niepamięci. Dużo miałbym w tej mierze powiedzieć, ale ponieważ groby, w tem miejscu widziane, są mniej od drugich dobrze zachowane i rzeźby na nich zatarte, przeto zachowam ci o nich na dal moje uwagi. Kościół na tej górze będący dawniej za meczet służył; sam zaś wznosi się na podstawach da-

wnych rzymskich grobowców, a teraz wali się i kiedy niekiedy służy za kaplicę, w której mszę odprawują. Położenie miejsca rozkoszne: pobliskie jaskinie i liczne źródła—to wszystko dowodzi, że to miejsce od najdawniejszych starożytności musiało być znacznym religijnym stanowiskiem. Wszędzie bowiem, gdzie tylko natura zwyczajnym nie postępowała trybem i w odmianach swoich postać niezwykłą i umysł ludzki zadziwiająco przybierała, ludzie prości—nawykawszy zjawiska brać za cuda—tam zaraz stolicę gusłów, zabobonów i wróżb zakładali. A jakież do tego zdolniejsze mogło się znaleźć miejsce? źródła tryskające, manowce skryte, których końca dójść nie można, rzeki podziemne—to wszystko na nieoświęconych ludziach dużo działać musiało. Mimo tego żadnej innej nie znalazłem starożytności nad kilka grobowców rzymskich, które służyły za fundamenta kościołowi a które chcąc przeczytać, musiałem do znacznej odkopywać głębokości.

Nocowaliśmy w domu Wukowiczów i niezmiernie strudzeni pracami dziennymi do późnego rana spoczywaliśmy. Nakoniec po śniadaniu i serdecznem z nimi pożegnaniu, odjechałem z tego gościnnego domu w towarzystwie syna gospodarskiego, któremu ojciec odjeżdżającemu rzekł: „nie powracaj synu do domu ojca, jeżeli tym pobratymcom moim włos z głowy spadnie.“

Porzuciliśmy nakoniec źródła Cettyny i parów, który sobie w pasmie gór wymyła; im więcej oddalaliśmy się od tej rzeki, tem kraj się coraz więcej podnosił. Okoliczne wioski na wzgórkach się oczom naszym pokazywały, gdy z nagle spotkaliśmy kilku Morlachów, odmiennie od zwyczajnego stroju ubranych i których twarze nie bardzo mi się podobały. Poskoczył ku nim młody Wukowicz i po chwili z nimi rozmowy, tamci się w inną udali

stronę. Ciekawy byłem dowiedzieć się, co to byli za ludzie. Niechciał nam zrazu tego nasz przewodnik powiedzieć; nakoniec z jak największą tajemnicą przyznał nam się, że to byli stronnicy sławnego w tych stronach hajduka Berdyły. Ale ponieważ to imię u nas w Polsce daleko mniej znaczące ma brzmienie, niżeli w tym kraju, muszę cię w tej mierze oświecić, że hajducy dalmaccy, nie zatrudniali się nigdy, jak nasi polscy, podpieraniem chylących się kolas ojców naszych.

Hajduk jest wyraz w sławackim języku używany i pochodzi może z arabskiego słowa „hajdud“ co znaczy łulacz. Dotąd po słowacku „hajdy“ i „hajde“ znaczą równie pójść i przyjść, jak też w małosyjskim. Z tąd poszły ukraińskie hajdaje i hajdamaki. \*) Pierwsze od ustawicznego naglenia wołów do łącia; drugie o. l. „hajde“ idźmy biorą swój początek. Tak hajduki, jak hajdamaki, osobliwie sicz, mieli swoje prawa i swoje prawa, które choć niepisane trwalej dochowane i wierniej od kodeksów wypełniane były \*\*).

Uważając odległość kraju, która pobrażę morza adriatyckiego od pobrażów morza czarnego oddziela, trudno jest zrozumieć, jakim sposobem bez żadnego połączenia i porozumienia się mogły narody tak od siebie oddalone na jednych prawidłach utworzyć stowarzyszenie. W tych obydwóch siczach i hajduków postanowieniach bezżenstwo jest najpierwszem prawidłem, a zatem stronienie od ko-

\*) Słowa hajdamak, kozak, sicz, nie są imiona stanowiące narody, bo mam wiele przyczyn sądzienia, że naród osiadły pierwiastkowo kozackim nazywać się nie musiał.

\*\*\*) Zakon maltański był istotnie siczą—i można tak śmiało ich nazwać siczą szlachecką, jak tamtych siczą gminu:

biet i wady, które z niego pochodzą. Jednakowy duch wojarski i chęć bohaterstwa skleiły te towarzystwa, w których po bezżeństwie, wzgarda śmierci, niedbanie o życie jest pierwszym prawidłem. Dowodem, że łupieztwo i roboje nie były pierwszym ustanowienia hajduków celem, jest obojętność dla bogactw: bo nie masz przykładu, aby największy majątek i chęć spokojności kiedykolwiek nakłoniły hajduka do odmienienia swego sposobu życia. Sama różnica krajów i posady stanowią jedyną odmianę między hajdamakami i hajdukami. Kraj żyzny i obfity, nieprzebyte okiem Dniepru płaszczyny pozwalały ostatnim swoje wyprawy licznie odbywać. Kraj zaś dalmacki nieżyzny, górzysty, przymuszał hajduków do odosobnionego życia. Kryjąc się po jaskiniach, panami byli ścieżek i manowców, z których wypadają; równie wieczną Turkom wypowiedzieli wojnę, jak nienawiści ku nim nieznali końca. Szkoda, że nieumiejętność i ciemnota tych ludzi nie dochowały nam tysięcznych dowodów odwagi i męstwa, i nie zostawiły nam śladu na piśmie dzieł, które w rękach drugiego Vertot dałyby nam historię, równie ciekawą, jak ta, w której uwiecznił czyny kawalerów maltańskich. Pierwszym powodem do zebrania tych towarzystw było bohaterstwo i chęć sławy; wrodzona narodom słowiańskiego plemienia; drugim religia; a chęć zbożacenia się, tak właściwa człowiekowi, zastąpiła w krótko miejsce obydwóch. W pierwszych początkach Sicz samymi tylko Turkami wypowiedziała wojnę, później obca polityka do swoich celów zwracała ich oręż; lecz hajducy dotąd nie odstąpili swego zamiaru i chyba potrzeba, prześladowanie i chęć zemsty od tego przedmiotu ich odrywały. Rozsypani po nieludnych górach, które wąskie adryatyckie pobrzeże od Turcyi oddzielają, pogrom ich

imięcia jest jedyną warownią, która ten kraj od tureckich zaślania napaści. Rząd wenecki— zgasłej wielkości, cień pozostały, nakoniec tak słaby, uznał potrzebę tego ustanowienia i, nie mogąc na tych pustych granicach utrzymać łańcucha wojskowego—sprzyjał hajdukom zachowując sobie, kiedy niekiedy dla zaspokojenia zażaleń potężnego sąsiada swego, własnej spokojności i polityce robić z nich ofiarę.

Królowie horwaccy najpierwsi uczuli potrzebę otoczenia się ludźmi tak odważnymi, a do trudów i obojętności na śmierć przywykłymi. Powierzili więc im straż swoich osób, i w nagłym niebezpieczeństwie natarcie tej odwodowej straży przynosiło zawsze zwycięstwo. Po przyłączeniu Horwacyi do królestwa węgierskiego, królowie węgierscy potworzyli z nich pułki; nakoniec, kiedy Stefan Batory osiadł tron polski, postrzegł ten król wojarski, że bez tej walecznej milicyi niemógłby się obejść w licznych wojnach, na które panowanie jego było wystawione: sprowadził do Polski waleczne Morlachów hufce. Ktokolwiek czytał historję i zna dzieje swego kraju, wie zapewne, jak te rotę dzielnie popisowały się pod Połockiem i jak wiele do licznych szczęśliwego bohatera zwycięstw się przyłożyły. Później zaniedbane zostało ich samo imię i to tylko nadawane było tym, którzy, jeżeli nie walecznością, to przynajmniej strojem, wzrostem, wiernością i siłą dawnych i prawdziwych przypominali hajduków.

Pokój ciągły, w którym kraje posiadające Morlachję zostają z Turkiem, sprawuje, że rząd nie pobłaża ich napadom w Turczach i tak ich ściga jak rozbójników. Natenczas obracają broń przeciw swoim braciom, i wtenczas poblizsze mieszkańce często są ofiarami ich zemsty prze-

ciw rządowi. Lud pospolity, choć na tem bardzo cierpi, ma dla nich zawsze szacunek i uszanowanie, a tem dowodzi, że w nich uznaje i dzieli z nimi bohaterstwo, które temu stowarzyszeniu się służyło za pobudkę. Nigdy nie zapomnę, że rozmawiając ze Słowianinem bogatym, który handlem i przemysłem swoim utworzył sobie był majątek przeszło milion reńskich wynoszący, powiedziałem słysząc o jego odwadze, iż ma hajducką duszę. Największa pochwała, więcejby mu ukontentowania nie zrobiła, ucałował mię z uczuciem i rzekł: istina brate—prawda bracie. Przytoczyłem tu ten przykład, żeby dowieść, jak nadaremnie działałby rząd władzący tym krajem, gdyby chciał sprzeciwiać się opinii, od tylu wieków wkorzenionej. Największe kary nie tu nie pomogą i mimo wielkie przykłady, które rząd austriacki robi z Morlachów, którzy u siebie przez gościnność hajduków przechowują, te zrobią raczej związki ich tajemniejsze i świętsze, ale nigdy zniszczyć nie potrafią. Owszem sędzę, że ustanowienie to w rękach rządu przezornego wszelkie dobro i pomyślność ściągnęłoby na Dalmacyę, któraby w tym razie mniej kosztownie i bezpieczniej ochronioną została od napaści tureckich, niżeli ościennie cesarskie granice. Do osłonięcia tych, bowiem, prowincye całe, utrzymywane w stanie wojny i tem samem od rolnictwa oderwane, użyte bydź muszą. Żeby się przekonać do jakiego stopnia imie hajduków jest Turkom straszne, dosyć jest krok zrobić w granicach tureckich. Tam liczba mogił pobitych Turków, wielkie pierwszych mieszkań tureckich od granicy oddalenie, mnogość zdarzeń i powieści o nich, ślady nakoniec spustoszenia o piętnaście i więcej mil w kraju tureckim widziane—to wszystko dowodzi, jak ich się Turcy obawiać muszą. Słowem, ustanowić na nich kary za rozboje przeciw rodakom popelnione, dać im co-



kolwiek opieki—pewien jestem, że tak urzędzeni hajducy, podobni do ojców swoich składałoby milicyę, krajowi bardzo potrzebną i żadnego kosztu nie przynoszącą.

**List XXVII. (z monasteru dragowickiego.)**

Nimesmy dojechali do Werliku, uderzył oczy nasze dom w pięknem położeniu leżący i od wszystkich innych zwykłych domów morlackich wykwiintniejszy. Dowiedziałem się, że był mieszkaniem sławnego hajduka Berdyły. Za czasów dawnej Tracyi był król nazwiskiem Berdyło co znaczy góral bo „berd“ znaczy górę w dawnym sławackim języku, a „berdyanie“ górale, może od nich bardy. Nowego tego Berdyłę rząd nadaramnie starał się schwytać i niemogąc się zemścić na jego osobie, dom jego rozrzucano, familię wygnano, słowem całą posadę zburzono. Nieprzytomny Berdyło nakazał wsiom pobocznym, aby natychmiast dom nowy został mu zbudowany, bo inaczej całą okolicę w perzynę obróci. Mieszkańcy wiedząc, że pogrożki Berdyły nie są daremne, wykonali jego rozkazy i ten dom, który widziałem daleko od drugich większy, był już trzecim na miejscu, a rząd widząc nieskuteczną zemstę swoją zaniechał dalszych kroków.

Nakoniec przyjechaliśmy do Werliku. Miasteczko piękne, małe, dosyć dobrze drzewami osłonięne, ale bardzo mało zaludnione, uważając wygodę jego położenia. Zbliżając się do miasta widać na wysokiej górze, parowami otoczonej, dawny zamek jeszcze od Wenetów opuszczony, a przez Turków, jak powiadają, zabudowany. Skała ta wapienna jest ze wszystkich stron niedostępna, wyjąwszy z strony miasta, gdzie przykryta do niego prowadzi ścieżka. Przy samem mieście po lewej stronie drogi znajdują się lawy, *sous marines* zwane, które się tak, jak szysty, (?) łupią, i przejęte są farbami dosyć żywymi.

Wody i źródła w Werliku są dosyć sławne i czystość ich jest niepospolita. Przyznają im własności lekarskie, ale widziałem bardzo wielu mieszkańców, którzy używaniem ich, osobliwie w gorączkach, stan swego zdrowia pogorszyli. Byłem u tych źródeł, wychodzą one z pod pagórka, na którym stoi dóm wiejski, mimo swego przyjemnego położenia, dosyć opuszczony. Cembrowania ich są zrobione z kamieni dawnym budowlom rzymskim służącemi. Uważałem te wody z jak największą uwagą, lecz nic mineralnego w nich nie znalazłem. Wody te zdają się być letkie, są przyjemne w smaku, żadnego gazu powietrznego nie trzymają w rozpuszczeniu; zdaje się jednak, że wody ich są zimniejsze, niż pospolicie źródlane. Chciałem robić ich rozbiór—i w tym celu kilka wodą napełnionych z sobą wziąłem butelek, ale podróże moje, tak pracowite, i wiele sprzeczności, których później doznałem, nie dozwoliły mi tem się zatrudnić.

Nocowaliśmy tego dnia u gościnnego kupca Włocha, od dawna w tem miasteczku osiadłego, który mię bardzo dobrze przyjął i wszelkie, jakie były w jego mocy, zrobił ułatwienia. Okolica Werliku jest sławna przez piękność kobiet i wyszukanie jako i wymysły ich strojów. Jakoż w samej rzeczy widziałem tu płeć daleko piękniejszą, niżeli w reszcie posad morlackich, niewyjmując wcale Kotaru i Zagorza. Twarze są powszechnie okrągłe, kibić piękna pospolita—i w ciągu dalszych podróży moich, znalazłem w nich wielkie do Bułgarek podobieństwo. Częste w domach morlackich przebywanie było już przebrało zbiór upominków, któremi nagrodziłem gościnność w tym narodzie wyrządzoną. Musiałem więc przed wyjazdem moim z Werliku i przed puszczeniem się w drogę na nowo się w te wszystkie cacka opatrzeć, które składają strój tak męczyzn jak kobiet, i ręczę, że w dawnych na-

szych ojców rotmistrzowskich rządach, więcej nie masz trzęsideł nad te, które zdołają całą osobę dziewczyny werlickiej.

Zamówiliśmy na bardzo rano konie, ale pluskwy jeszcze nas raniej obudziły. A zatem ze świtem wyruszyliśmy do klasztoru greckiego, Dragowicz zwanego, o pięć mil od Werliku położonego. Droga nasza nic nie miała ciekawego, wszędzieśmy widzieli pola uprawne i żniwo w nich zbliżone. Nie widzieliśmy jednak innego ziarna nad *holcus sorghum*, czyli wielkiego afrykańskiego prosa, które łodygą swoją i wielkością podobne jest naszej na stawach trzcinie. To ziarno uprawione jest pospolicie w Dalmacyi ponad rzekami, a to z powodu, że potrzebuje wiele wilgoci i, że w krajach, gdzie wyłowy są częste i małą przerwę czasu między sobą zostawujące, to jedno ziarno najzyskowniej uprawiane bydź może. Przebyliśmy Cettynę po moście kamiennym, tureckiej roboty, i żałowałam mocno, że nie zostało mi czasu do obejrzenia wyspy, na tej rzeczce leżącej, gdzie są ślady sławnej kolonii rzymskiej *Equum* zwanej, i gdzie l'abbe Fortis, knińskim podobne, wulkaniczne znalazł wzgórze. Porzuciliśmy Cettynę za sobą, w miejscu gdzie mniejsza rzeczka w nią wpada i idąc ponad nią zbliżaliśmy się nieznacznie do jej źródła żyźne przebywając łąki. Ten sam kierunek utrzymując dojechaliśmy do pasma gór, które, Dalmacyę od Turczyzny przedzielając, jest samo biegiem Cettyny i jej równinami od nadmorskich gór oddzielone. Weszliśmy nakoniec w jar, czyli padół w środku gór postacią do sieciowej matni podobny, z którego tryskało źródło tej małej rzeczki, otoczonej w około lasem rozkosznym. Nie widać tam innych drzew, jak orzechy włoskie, ileksy, jasiony i wiele gatunkach wierzb. Z pośrodku najgestszej kępy drzew, w najodleglejszem i najdzikszej miejscu

z nagłą, jak czarodziejstwem, spostrzegliśmy monaster dragowicki. Nie można wyobrazić zadziwienia, które tak nagle a niespodziewane spostrzeżenie w nas zrobiło, tem więcej, że w tej dzikiej gęstwinie prędzej sądziliśmy napastę na dzikie jakie zwierze, niżli na zamieszkałą posiadłość. Lecz taki jest duch, który przewodniczył wszystkim ustanowieniom monasterów greckich. Zawsze je znaleźć można w miejscach najdzikszych i położeniach romantycznych. Zdaje się, że te klasztory zachowały jeszcze dawny instynkt pierwszych religijnych towarzystw i zawsze szukały zasłony, lub dziczyzny, ich przed ludzkim ukrywającej okiem, i, która zamieniając ich monaster w prawdziwą odległość, wszystkim przybywającym każe ich brać za dawnych kościoła pustelników.

#### List XXVIII. (z domu Pinczena.)

Przyjęto nas w klasztorze z jak największą gościnnością; ihumen, czyli przełożony był człowiek bardzo ludzki, ale nieborak od kilku czasów napastowany był od febry i, niemając przy sobie tylko jednego zakon nika i to chorego do usługi, bardzo był niespokojny o nas i przejęty bojaźnią, żeby nam na czem nie brakło. Zaspokoilem go, jak tylko mogłem, wzięwszy na siebie staranie zatrudnienia się sam moim objadem i widziałem z ukontentowaniem, że więcej był zajęty bojaźnią, aby nikt się nie znalazł, coby się naszą zatrudniał kuchnią, niżeli własną febrą dręczony. Zaczęliśmy się więc krzątać koło naszego objadu i, gdy koło niego zwijaliśmy się w środku kuchni niezmiernie czarnej i okopconej, zdało mi się postrzedz, że piec do chleba był wymurowany ciousem z większem staraniem rznętym, niżeli reszta. Jakoż się nie omyliłem, bo uważałem, że wszystkie służyły

przedtem dawnym rzymskim grobowcom, po których rozrzuconiu, tu były przeniesione. Między nimi nawet rozpoznałem napis, który zapewne przypadkiem więcej, jak z umysłu, na właściwym znajdował się miejscu. Był to napis okrywający dawniej zwłoki piekarza rzymskiego, któremu ten piec chleбny służył za nagrobek. Był bardzo krótki i po imieniu i przezwisku nieboszczyka—nie następowały, jak tylko te dwa słowa: „*panem fecit.*“

Pierwszym naszym potrzebom dogodziwszy, poszedłem do przełożonego i oznajmiłem mu powody mojego tam przyjazdu, które nie były insze, jak, żeby pozyskać od niego wszelkie łatwości i uwiadomienia potrzebne do wniknięcia w granice tureckie, chcąc, jak dodałem, widzieć górę Prolog, która na same spojrzenie zdaje się być najbardziej wyniosłą w tym kraju. Przełożony, wysłuchawszy to wszystko cierpliwie, odpowiedział mi, że niebezpieczeństwa, na które się narażałem, były niezarachowane i, że bez eskorty podróż odprawiać w kraju tak dzikim i tak hajdukami napełnionym: było się wystawiać na śmierć nieochybną. Widząc jednak mój upor w tej mierze i nieprzełamane moje przedsięwzięcie, zaręczył, że wszystko zrobi, aby mi dogodzić, ale razem przyznał, że sam przez siebie nic zrobić nie może i, że wszystkie jego dla mnie przesługi kończą się na poleceniu mię szczególnem sardarowi czyli rządcy wsi, Bitulicz zwanej. Że gdyby ten nic dla mnie uczynić nie mógł, natenczas nie zostawało mi, tylko jechać do Imoskich, gdzie jeden z jego księży, tam zamieszkały, ułatwiłby mi sposób przejścia do Turek, które znalazłoby się zapewne nie tyle przeszkodami zagrodzone, jak z strony Prologu. Lecz, że w tym ostatnim przypadku już nie mogłem widzieć góry Prolog, bo musiałbym z Mostaru wracać się nazad, ponieważ to ostatnie miasto jest przynajmniej dwadzieścia mil niżej

Prologu położone. Po takich uwagach przełożonego—namysłania się moje nie były długie, podziękowawszy mu bowiem za jego rady, prosiłem go o przewodnika chcąc zaraz odjechać do Bitulicz; obiecał mi go, lecz nie prędzej jak nazajutrz po mszy, ponieważ nie miał nikogo w domu, a że nazajutrz miało następować święto uroczyste ich obrządku, przeto po skończeniu nabożeństwa miał nam dać kałogiera, któryby nas do wsi Bitulicz odprowadził. Wczwawszy więc cierpliwość na pomoc, poświęciłem resztę dnia na oglądanie okolic. Te mi nic ciekawego nie wystawiły, widziałem tylko wzgórek, na którym znajdowało się wiele starych grobowców, które pozbawione ozdób i napisów nic szczególnego nie wystawiały. Pora zaś była nadto późna, ażeby dokładnie można było sądzić o roślinach tej okolicy. Wody tej małej rzeczki, która bierze swój początek koło klasztoru, są napełnione wysmienitemi pstrągami i obracają kilka młynów przed ujściem swoim w Cettynę.

Nazajutrz po śniadaniu i doczekaniu się końca nabożeństwa pożegnaliśmy uprzejmego przełożonego, który, mimo wszelkie moje naleganie, żadnej nagrody za wyrządzoną gościnność przyjąć nie chciał. Przed puszczeniem się w drogę opatrzyliśmy dobrze broń naszą, a cała nasza karawana nie składała się jak z czterech ludzi i pięciu koni. Zaczęliśmy się drapać na pobliską górę ścieżką bardzo przykrą i wyniosłą. Po dwugodzinnej jeździe dostaliśmy się do wierzchołka, gdzie leży folwark kałogierów i ich stodoły opasane murem dosyć starannie zrobionym. Ztamtąd wierzch góry odmienia się w płaszczyznę i mieliśmy dosyć dobrą drogę aż do wsi Bitulicz. Tam przyjechawszy—najpierwszem mojem było staraniem zajechać do rządcy wioski, czyli sardara, któremu byliśmy zaleceni, lecz na nieszczęście niebyło go w domu i po-

wiedziano nam, że pojechał do manasteru Dragowióz i, że musiał inszą jechać ścieżką, kiedyśmy go nie spotkali. Będąc więc zawiedzeni w naszych nadziejach, wzięliśmy przewodnika chcąc jechać do mieszkania niejakiego Morlacha, Pinczem zwanego, i prawie na samym pograniczu tureckiem leżącego. Tu nas kałogier, służący nam za przewodnika, pożegnał, równie jak jego przełożony grzecznie się wymawiając od wszelkiej nagrody. Puściliśmy się więc w drogę z nowym przewodnikiem mając przed sobą wierzchołki niebotyczne góry Prologu i wysokie gór pasmo, służące Turczyźnie za granicę. Pomnażające się przeszkody i niebezpieczeństwa zdawały się podsycać moją ciekawość i lubo wszyscy utrzymywali jak rzecz niepodobną, żeby się przedrzeć tędy do Bosnii, jednak mię to nieprzykonywało. Byłem nader ciekawy dostrzedz końca tego niezmiernego, jednostajnego gór następnych (*sécondaires*) pasma, którem łąd okrąża się od Adryatyku. Chciałem właśnie oczami zprawić, jeżeli na drugiej gór pochyłości od Bosnii nieznajdę coś pierwotnego (*primitif*), lub ciekawego w mireralogii krajowej. Od samego Tryestu nieuważałem bowiem tylko nudzącą jednostajność w licznych górach, które przebyłem. Do tego, że żaden podróżny, ani badacz natury nie postali nogą w tym kraju, miałem nadzieję znaleźć tam nietknięte dla moich dociekań pole. A lubo Fortis doszedł był do góry Prologu, jednak nagłość, z jaką musiał się cofnąć, nie pozwoliła mu nie wspominać o składzie tej góry i nie mówi tylko o kilku napisach słowackich, które tem bardziej bodły moją ciekawość, że ich dotąd żadnych nie widziałem. W tych myślach byłem zatopiony, gdy z nagłą usłyszeliśmy stapanie koni i postrześliśmy kupę zbrojnych ludzi, z siedmiu lub ośmiu osób składającą się i za nami biegnącą. W mgnieniu oka skończyliśmy z koni i, broń naszą przygotowawszy, czekaliśmy

ich zbliżenia. Lecz jakie nasze było zadziwienie, widząc, że nasza bojaźń była próżna, i, że ci zbrojni ludzie nie byli nic innego, jak sardar z Bitulicz, który z kilku krewnymi biegł za nami swoje nam ofiarując usługi. Doniesli nam oraz, że przyjechawszy do Dragowicz, przełożony ich natychmiast odesłał nazad z rozkazem, aby starali się nas dognać i nam do końca towarzyszyli, co też oni wykonali pomordowawszy niezmiernie swoje konie. Podziękowałem mu za tę jego grzeczność i chcąc mu dać dowód mojej wdzięczności kilka cekinów mu ofiarowałem, lecz nadaremnie, odrzucił je bowiem ze wstrętem; widząc jednakowo, że ja na tem cierpiałem, przyjął je i rozdał między swoich ludzi.

Może, powtarzając tylekrotne dowody szlachetności Morlachów, znudzę czytelnika. Obawa ta byłaby słuszną, gdybym nie pisał dla Polaków. Jako bowiem syn prawy słyszy z radością wyliczanie przymiotów ojca; tak my Polacy przykonywając się o szlachetności naszego początku i o cnotach tego narodu, którego jesteśmy osadą, powinniśmy czuć wdzięczność i poszanowanie dla tych, którzy enotami swojemi ojczystą kolebkę naszą okrasili. Tam szukać nam należy szczytków obyczajów, których u nas nie został się tylko cień, lub podanie, tu wziąć przykład i dowód, że istotna miłość ojczyzny na wiernem ojczystych obyczajów zachowaniu zależy i, że naród tą prawdą przejęty, osłoni się tarczą, która nietylko go w całości zachowa, ale nawet stępi razy najpierwszych świata podbicieliów..... Morlach jest zawsze Sławianinem i następna wieków kolej w nieodrodnej zastanie go postaci. Uważając nakoniec to samo bezstronnem okiem, czyliż cudzoziemiec światły, miłośnik ludzi może obojętnie pa-

---

\*) Cekin jest więcej jak jeden czerwony złoty.



trzed na cnotliwy naród, który zaszczyt plemieniowi ludzkiemu przynosi. Filozof zmordowany zepsuciem gminu, w którym żyje, odosobniony, przyjemnie oczom swoim odpocznie, gdy spojrzy na kąć może szczególny na świecie, gdzie zysk podły nie skaził jeszcze szlachetności duszy, gdzie ludzie, uznając w każdym człowieku brata, są bez żadnego osobistego widoku gościnnymi, ściśle słowami dochowującymi, podległymi rodzicom i starszym, czuлыми o honor swoich towarzyszek, wdzięcznymi za najmniejsze dobrodziejstwa, posuwającymi odwagę do zbytku, czczącymi, jak bóstwo, zwyczajają przodków, i strasznymi nieprzyjaciółom swoim. Takimi są — Polacy! przodkowie nasi i mimo tego poczytani są za barbarzyńców przez ludzi, którzy ich w niczem nie warci. Spyta się może kto: dla czego?..... dla tego, że czytać nie umieją.

Smutna jest rzecz wystawić sobie, że w tym kręgu cywilizacji, który ludzie starają się przebiegać, zdaje im się, że prostej linii odbywają kierunek i, że najwięcej uszli, gdy się najmocniej oddalili od punktu, z którego zaczęli swoją podróż, to jest od łona natury. Takim idąc ludzie obyczajem, obracają się tyłem do natury tak, jak dzieci niewdzięczne, co porzucają matkę, bez której starań zdają się mózdz obejść. I to jest, co nazywamy szukać cywilizacji, jak bardzo dobrze uważał Jefferson, prezydent stanów zjednoczonych. Chęć udoskonalenia (*perfectionibilité*) każe ludziom przebiegać z wielkim móżdżem drogę przykrą i obwodową, którą zaczyna się od natury i na niej się kończy. Punkt największego oddalenia się, którego ludzie dojść mogą, nie jest tylko, *perigaeum*, czyli miejsce największego wyniesienia krągowego; i ten razem jest stopień do którego świat terazniejszy na pół cywilizowany dostał się, najmocniej się od natury odda-

liwszy. Potem nieznacznie człowiek ułudzony prostością kierunku, gdy rozumie coraz więcej się oddalać, zaczyna powracać poniewolnie do tego punktu, z którego wyszedł, aż póki szczęśliwym zbiegiem światła, rozumu i doświadczenia nie postrzeże, że bez przyczyny od niego się oddalał. Nakoniec do powszechnej matki twarzą się obraca i żałuje, że tyle pracy bezpotrzebnie sobie zadał, ułudzony zaufaniem w swojej sile, uniesieniem się przykładem drugich i nieszczęsnem uleganiem tej chęci zmiany, która mu jest wrodzoną. Z tych więc względów większa część wyboczeń i omyłek ludzkich jest nieznośną, bo jest z rodzaju tych, którychby się człowiek nie dopuścił, żeby się był mniej od natury oddalił. Więc ludzie nigdy szczęśliwymi nie będą, póki w sprzeczności i wojnie ustawicznej z naturą upoczywie trwać zechcą. Cechą i wróżbą tego szczęśliwego zwrotu jest powrócenie prostoty obyczajów. Lecz do tego dojść nie można, bez wskrzeszenia patryarchalizmu na świecie; bez ujednoistnienia ojczyzny z religią i póty, póki odosobniać nie przestaniem polityki narodów od moralności, opinii od praw i razem sprawiedliwości od możności dokazania. Ale powróćmy do naszych cnotliwych Morlachów i skończmy życzeniem im nauk i wiadomości, ale nie kosztem szanownych ich cnót, ojezystych obyczajów, słowem patryarchalnego obchodu życia nabytych, bo inaczej nauki, choć tak ludziom potrzebne, byłyby i nadto drogo zapłacone i nienagrodziłyby straty niepowetowanej.

### List XXIX. (z Białobrzegu.)

Przyjechaliśmy wieczorem do domu Pinczena Morlacha, tam zajechawszy spytałem się tego poczciwego Sławaka, czy zechce nas na noc przyjąć? lecz ten, nagle roz-

gniewany, porzucił mnie nic nie odpowiedziawszy. Nie domyśliłem się przyczyny jego gniewu, już myślałem odjeżdżać, gdy przewodnik mój zatrzymał mnie ostrzegając, że najmocniej gospodarzowi uchybiłem powątpiewając o jego gościnności. Natychmiast więc poszedłem do domu, gdzie cała familia gospodarska czekała na moje przybycie. Od tego czasu nie było przerwy wszystkim grzecznościom, których doznawałem i niektóre małe upominki, rozdane między przytomnych, tak wszystkich wesołością napełniły, że cały wieczór przeszedł na piewach i dumie o królewiczu Marku.

Mieszkanie Pinczena było na skale wapiennej, która tak, jak poblizsze góry, wodami i trzęsieniami ziemi była całkiem rozrzuconą. Gaik złożony z klonów, rodzaju *acer monspesulanum*, otaczał wszystkie gospodarskie budowle i tam się przekonałem, że ten rodzaj drzewa, który u nas jest tylko krzewiną, na właściwym sobie gruncie do znacznej dochodzi wysokości. Znajdowały się bowiem niektóre, co na grubość więcej stopy średnicy, a na wysokość blisko dwadzieścia i pięć stóp miały. Jeden tylko cel mając przed sobą, to jest wciśnienia się do Turczyzny, wziąłem na bok gospodarza domu i wyłuszczyłem mu powody, które mnie do niego przyprowadziły, dodałem oraz, że sądziłem, iż on sam zdolny jest służyć mi za przewodnika do Turcyi. Zdziwiony tem niespodziewanem mojem wyznaniem, okazał wiele nieufności i podejrzania—rozumiejąc, że jakaś ukryta przyczyna, której skutki ściągnęłyby na niego i na jego familię zemstę rządu, była mi pobudką do tej podróży. Zaczął więc utrzymywać, że jest zupełne niepodobieństwo przedarcia się do Turcyi i już byłem zwątpił, gdy nagły i niespodziany przyjazd sardara z Bitulicz i jego proźby znagliły go nakoniec do ofiarowania mi swoich usług. Ułożyliśmy więc,

że na zajutrz wyjedziemy i to na kilka godzin przededniem, dla uniknienia wielkiej karawany, która co czwartek przychodzi do Białobrzegu, stanowiska wojskowego. Ta karawana zchodzi z góry Prologu najgorszą w świecie drogą, i przeszedłszy przez krainę: Tarnowopolie zwaną, gdzie sławny Berdyło roku przeszłego był jedną (osadę?) rozbił i wszystkich Turków ją składających pozabijał, przychodzi nakoniec do Białobrzegu i tam swoje zamienia towary.

Wyjechaliśmy przededniem na godzin kilka i szliśmy przez ścieżki i urwiska gór, których okropność nocna pomroka pomnażała. Szliśmy piechotą konie za sobą ciągnąc, które co krok upadały. Przededniem przyjechaliśmy do Białobrzegu, gdzie jest komora cesarska i mały garnizon wojskowy. Tam zjeżdżają się wszyscy dalmaccy mieszkańcy pod rządem cesarskim zostający, dla odbywania swoich handłów i zamian z Turkami, którzy ich we wszystko opatrują, sami zaś przybyli Turcy zamknięci są w okole dużym i przez odstępny kołów umawiają się z przybyłymi kupcami w swoich handlowych robotach.

Nie będzie tu od rzeczy wspomnieć o handlu dalmackim i dać poznać jak wiele ta ostatnia kraina na nim traci. Handel tu jest dwojakiego rodzaju. Jeden zasadzający się na nabyciu towarów pierwszej potrzeby dla Morlachów, drugi zaś przechodowy dowóz. Trzeba przyznać, że te obydwa są bardzo szkodliwe dla stanów dalmackich, tak z przyczyny wychodzenia pieniędzy z kraju najlepszych, jak też przez brak produktów krajowych, któreby zamianę równie pożyteczną obydwoim narodom zrobiły. Dalmacya i wszystkie prowincye dawniej Wene cyi, graniczące z Turkami, tak z przyczyny nieurodzajności ziemi, jak z przyczyny braku rąk, mimo małej swej ludności, nie mogą wystarczyć ledwo połowie wyżywienia swego, czyli konsumpcyi. Reszta żywności jest

zakupywana w Turczach pieniędzmi gotowemi i najlepszem złotem. Ci zaś z mieszkańców, którzy nie są w stanie opatrzenia potrzeb własnych, idą szukać roboty do Turków, gdzie się z nimi bardzo dobrze obchodzą, i najem ich do roboty ziarnem, lub rzeczami pierwszej potrzeby opłacają. Po ziarnie i żywnościach następują towary niemniej potrzebne, jak np. płaszcze czerwone z kapturami, które Turcy „kabanica“ nazywają. Bez nich żaden Morlach obejść się nie może. Są one wprawdzie z grubego sukna, ale tak szczelnego, że deszcz przez nie nie przecieka, a doskonałą swoją farbę ponsową, nigdy nie blakującą, winne są rękodzielniom adryanopolskim, które w robieniu jej szczególną mają tajemnicę. Taniósć tych płaszczów; własność, którą mają opierania się deszczowi, sprawia, że są bardzo poszukiwane i, że żadna rękodzielnia europejska nie mogłaby za tę samą cenę ich dostarczać. Do tego rodzaju towaru trzeba przydać koce z wełny białej niezmiernie kudłate, bez których także bardzo mało kto obejść się może. Bydło tak do rolnictwa jak też do rzezi, konie, mycki czerwone czyli fezy, nakoniec broń, jedyny Morlachów zbytek, którzy zawsze turecką nad inną przekładają. Można także przydać i tytuń, który choć jest zabronionym, jest jednak łatwym do przekradzenia w kraj, gdzie nie masz komor na pograniczu, więcej jak pięćdziesiąt mil polskich rozciągającym się. Teraz zastanowmy się nad tem, czego może Dalmacya udzielać Tureczyźnie, a znajdziemy trochę oliwy, którą porbrzeża morskie tego kraju wydają, bo we środku żadnego drzewa oliwnego nie masz, trochę wina, proch, kule, cienkie sukna, szkła, paciorki i różne cacka, co po większej części kraj w obcych zakupować musi rękodzielniach. Z tego wszystkiego wniesć można, że właściwie Dalmacyi towary składają się tylko z wina i oliwy, z któ-

rych jeszcze ostatnia, uważając jak niejednostajnie się udaje, nie jest częścią handlu, na którą pewnie spuścić się można. Nakoniec tak jednego, jak drugiego Turcy w bardzo małej kwocie potrzebując, sprawiają, że cały ciężar tego handlu spada jedynie na Dalmacyę. Sądzą jednak, że sól, gdyby nadbrzeżne solarnie były dobrze urządzone, w Dalwacyi równoważność handlową mogłaby utrzymać.

Co zaś do handlu tranzytowego, ten nie tylko, że nie jest z zyskiem dla Dalmacyi, ale śmiało utrzymywać można, że jest z zupełną jej stratą. On to wprowadza sumy niezmierne do Turek i to mnóstwo cekinów weneckich, które są powszechnym tego kraju pieniądzem i, które przechodząc przez Dalmacyę, nie więcej ją tuczą, jak głodnego zapach przemijającej go potrawy. Tędy bowiem przechodzi to mnóstwo wołów, które Włochy zakupują w Turczach—przewożąc je na okrętach umyślnie do tego robionych po włosku „*mangiera*“ zwanych. Gdyby ten rodzaj handlu był pożytecznym dla Dalmacyi, dałoby to się widzieć w Sign, które jest najznacześniejszem tego handlu stanowiskiem i przez które większa część wołów przechodzi. Ale miasto Sign jednak jest tak ubogie i jeszcze prawie uboższe, jak inne miasta dalmackie, które dołączają do handlu tranzytowego jeszcze inne szczegółowe targi. Owszem, to przybywanie i ubywanie ustawiczne pieniędzy porywa z sobą małe krajowe sumy i kapitały, które, gdyby Morlacy na polepszenie rolnictwa w własnym kraju obrócili, mniej może pożytku, ale pewniejszyby odnieśli. I tak chęć zbyteczna zysku, utrzymana tym tranzytowym handlem, pozbawia jeszcze kraj tych małych środków, któreby jedynie go polepszyć i byt mieszkańców szczęśliwszym zrobić zdołały. Rozumiałby może ten, kto kraju nie zna i o nim po drugich sądzi, że mnóstwo kupujących powinno przynajmniej ulepszyć stan

miast, ale dużoby się i w tem mylił. Wszystkie bowiem zamiany nie robią się inaczej, tylko z karawanami kwarrantaną odosobnionemi i które przez czas pobytu swego w Dalmacyi, znając zakazy rządu, niepozwalają kupcom, je składającym, z obrębu im przeznaczonego wychodzić.

Więc Dalmacya będąc w potrzebach swoich prawie podległą Bosnii, jest razem otworem czyli drogą, którą Bosniacy ściągają do siebie kapitały, potrzebne do zaspokojenia chciwości i łupieztwa rządców, któremi Stambuł kraj ten nieszczęśliwy opatruje. Ale też z drugiej strony Bosnia i Hercegowina może, kiedy chce, Morlachię o głód przyprawić; wazelkiej żywności odmówić i panować nad nią tym wpływem i wyższością, którą ma zawsze kraj bogaty nad krajem sąsiednim ubogim i ze wszystkich stron otwartym. Z tego więc wniesić należy, że kto tylko będzie posiadać Dalmacyę, cień sam panowania nad tym krajem zatrzyma, póki nie będzie panem Bosnii i Hercegowiny—i, że chcąc z tego kraju jakikolwiek zysk mieć—nie stratę, całkiem się uzyskaniu tych dwóch prowincyj poświęcić powinien. Nawet, co do obrony krajowej, ta jest prawie niepodobna i sama tylko Turków nie-dołężność może posiadanie tego kraju spokojnem uczynić. W utrzymaniu Dalmacyi dwojaki koszt ponieść potrzeba: najprzód, trzeba mieć dosyć wojska, ażeby się obronić przeciw obcym, tak z strony morza, jak z strony granic tureckich; powtóre, jeżeli kraj ten nie przypadnie w udziale słowiańskiemu narodowi, trzeba mieć jeszcze dosyć siły do utrzymania krajowców, którzy niechętnie obcym podlegają. Do utrzymania tam siły zbrojnej i załogi w Kataro podatki krajowe nie będą nigdy dosyć wystarczające i opatrzenie w żywność niezmiernie trudne i drogie, osobliwie kiedy kto nie będzie panem Adryatyku, lub Bosnii. Wenecya, ta odwieczna pani Adryatyku,

nie zachowawszy tylko cień dawnej swej wielkości, łagodnością swoją i nawyknięciem rządziła spokojnie Dalmatami i, szanując we wszystkim ich zwyczaje, potrafiła zyskać nawet po swoim zgonie w sercach Morlaclków żal swego zniknięcia. Ten dobry naród, nie zgłębiając przyczyn, brał łagodność rządu za wrodzoną jego dobroć; nie zaś, jak było w istocie, za skutek słabości. Ale rząd obcy, któryby chciał, idąc torem innych krajów, wprowadzić zapis wojskowy, czyli konskrypcyę, do reszty wyludni kraj ten, z siebie mało zamieszkały, i poblizsze tureckie prowincye zbiegami napelni. Cesarz austryacki, po ustąpieniu mu tych prowincyi przez Francyę, wstrzymał się od tego kroku będąc pewien, że sam odgłos zaciągu wojskowego wsie w pustynie obróci i nieda mu tylko kilku wybrańców gwałtem w nadmorskich miastach zaciągnionych. Z tego więc względu Dalmacya i Kataro będą zawsze ciężarem dla narodu, który je posiadać będzie, skoro Bosnia i Hercegowina nie będą do niego należeć, a tem więcej jeszcze, jeżeli nie będzie panem morza. Ta jest postać, w której w oczach moich Dalmacya się pokazała. Wiem, że byłoby wiele rysów do tego obrazu przydać; ale ani statystyka ani polityka, nigdy nie były celem, ani przedmiotem moim i, gdy te nauki nie weszły nigdy w szczupły obręb moich znajomości, zostawuję to rozwadze świątelszych odemnie a przestaję na tem; co uważałem.

**List XXX.** (z okolicy starego *Gardunum*.)

Wytrzymawszy wybadywania oficera, chcącego dociec przedmiotu naszego tu przyjazdu i oraz powodu naszego przedsięwzięcia, wyznaliśmy mu, iż mamy chęć zwiedzenia niektórych napisów kamiennych, znajdujących się na granicy. Dał nam przeto trzech żołnierzy, którzy nam



mieli towarzyszyć, mówiąc oraz, iż wątpi bardzo, abyśmy mogli ominąć karawanę i bandurów tureckich. Na nie-szczęście mniemanie się jego sprawdziło. Zaczynając bowiem drapać się na górę, wznoszącą się przed nami, spostrzegliśmy spuszcającą się pomału z niej karawanę. Mimo tego jednak, dalej naszą podróż odprawialiśmy zostawując ścieżkę, którą szła karawana na lewej stronie, a sami kryjąc się w chrustach. Roślinność, czyli wegietacya na tej górze, okrytej krzakami rodzaju pospolitego i innymi roślinami, była bardzo wielka i najlepiej się okazywała na łądogach traw, wysuszonych, które były bardzo bujne. Postrzegliśmy po prawej stronie grobowiec bardzo dobrze i z wielkiem staraniem z kamieni czworograniastych wystawiony naczelnikowi tureckiemu, zamordowanemu tu w dawnych czasach przez hajduków. Przebyliśmy nakoniec trzecią część góry i tu nas żołnierze, towarzyszący nam, opuścili, mając raz na zawsze zakaz surowy wdawania się z bandurami, których dzikość wyuzdana mogłaby naruszyć bezpieczeństwo granic. Będąc przeto samotni, naradzaliśmy się nad środkami, do jakichby się w naszym położeniu udać należało. Zdaniem Morlachów było, abyśmy się drapali na wierzchołek góry blizkiej i zostawili po lewej stronie Bukową-Drogę dla zaboczenia ztamtąd, gdzie się znajdują bandury i jak daleko się rozciąga karawana w Tarnowem-Poliu. Widzieliśmy w rzeczy samej bardzo wyraźnie bandurów w liczbie trzydziestu, wartujących wzdłuż granicę i karawanę, która się od wierzchu Prologu aż do dołu rozciągała. Przedsięwzięliśmy przeto zajęć częścią południową Prologu, która się zewnątrz obwodu straży tureckiej znajdowała, i obraliśmy sobie wierzchołek góry: Gradyna zwanej, leżącej w miejscu, gdzie granica dalmacka wsuwa się w Turczynę. W słowackim języku wszelkie mogiły kamien-

ne, zazwyczaj w miejscach wywyższonych znajdujące się, noszą nazwiska Gradyny. Nie wiadomo, czyli one służyły dawnymi czasy za straż wojskową, czyli też za grobowiec, lub nakoniec za granicę. Lecz to jest pewna, że Gradyna w słowaeckim języku ma znaczenie rozwalin gmachowych, chociaż wprawdzie wszystkie te, które widziałem, bynajmniej nie wskazywały pozostałości starej budowli; ale raczej były stosami kamieni w podobieństwie mogił ułożonych. Kto zna dawne dzieło francuzkie: „*Des ceremonies religieuses des differents peuples,*“ niech w pierwszym tomie, w opisie religii lamy tatarskiego, obaczy poprzedzających pod tytułem: „*Trophées, ou les Lamas font leur adorations*“ to znajdzie tem większe do gradyn sławackich podobieństwo, że tak, jak tamte, są na wierzchołkach najwyższych i równie ze stosów kamieni się składają. Ażeby tam prędzej dojść, przedarliśmy się do granicy tureckiej za pomocą gęstych drzew, które nas przed strażą turecką ukrywały. Tym czasem mierząc okiem niecierpliwem, jak daleko mieliśmy jeszcze do wyniesionego wierzchołka Gradyny, usłyszałem kłótnie między moimi Morlachami, i pytającemu o przyczynę powiedziano mi, iż sardar z Bitulicz, towarzyszący nam, na wielkie naraża się niebezpieczeństwo zapuszczając się w ziemię turecką: brat bowiem jego — zabity przez agę bandurów, stojącego garnizonem w wieży góry Prologu, z przyczyny kłótni o granicę, zniewolił sardara z Bitulicz do szukania sposobności obkupienia krwi braterskiej zemstą, u nich tak szlachetną. Rozmyślał nad nią przez cały rok i znalazł nakoniec sposób zemszczenia się bardzo zręcznego. Wkradłszy się bowiem między skały, oczekiwał tam czasu, w którym się tamten od swego orszaku oddalił i, natarłszy na niego, trupem go położył. Tym sposobem zadosyć uczynił najświętszej powinności u Morlachów, która to jedy-

nym u nich jest środkiem do ulagodzenia cieniów zmarłego. Ta powinność tak jest u nich święta, iż zemsta u Sławaków znaczy „osweta,” to jest oświecenie się, a mścić się, „oswetit se,” to jest stać się świętym. Nasz przeto poczciwy sardar zapewne spodziewać się mógł, iż może stać się ofiarą nowej zemsty, i to właśnie było przyczyną, że współrodacy jego radzili mu, aby nie narażał nadaremnie życia na takie niebezpieczeństwo. Rzecz nader pewna, iż równie swoją osobę, jako też i nas, na wielką wystawiał życia niepewność; lecz niepodobna było przekonać go o tem—i nasze proźby, równie jak i naszych Morlachów, były bezskuteczne. Odpowiadał nam zawsze, iż ostatniaby to było niegodziwością opuszczać nas—mając sobie od przełożonego z Dragowicz powierzone czuwanie nad bezpieczeństwem osób naszych—i, że prędzejby się dał posiekać w sztuki, niżeli wróci nazad do domu. Widząc tedy jego upór musieliśmy się skłonić do odprawienia dalej podróży naszej spuszczać się na los. Na koniec, niezmiernie znużeni przykrością drogi, przybiliśmy do Gradyny. Drapaliśmy się po tym tumutusie (?) i wiedzieliśmy, że nad nami wznosi się jeszcze góra wyższa, łaskiem obsadzona małym, która sprawiła, że Proleg naszym zniknął oczom. Była to góra Stermizza, która podług zdania mego, jest punktem najbardziej wyniesionym w Dalmacyi: widać ją bowiem o mil dziesięć a nawet i dwanaście; ludzie nasi mówili nam, iż nie znają drogi, któraby ich z tego miejsca do Prologu prowadziła dodając oraz, iż niedaleko od tego miejsca znajduje się wioska, do której kilku z nich chciało się udać dla szukania przewodników, gdy tym czasem nam radzili: obrać sobie inny wzgórek, gdziebyśmy, nie tak łatwo mogąc być odkrytymi, nasze konie popaść zdołali. Na koniec, te wszystkie sprzeczności z cierpliwością znosząc, musie-

liśmy, chcąc ugasić pragnienie nasze, czekać na krople wody, które z rozpadniętej skały wysączały się. Dwie godziny śmiertelne zesły, nimeśmy znowu Morlachów naszych z powrotem zobaczyli, którzy nakoniec przybywszy donieśli nam, że mimo największych nagród, które obiecywali, nie mogli nikogo zniewolić, któryby nam za przewodnika służył—i, że wszelkie ich groźby będąc nieskuteczne, uznali za rzecz najlepszą wrócić znowu nazad końcem odebrania od nas nowych rozkazów. Rozpaczając nad tem nieszczęśliwym zdarzeniem, które wszystkie moje ułudy przyjemne i pracy od kilku dni podjęte w niwecz obracało, chciałem sam iść do wsi dla szukania przewodników, lecz postrzegłszy, że już wiecór nadchodził, zmieniłem moje przedsięwzięcie. Do tego przymuszony byłem szukać drogi, prowadzącej do Sygnu, o cztery godzin jazdy jeszcze od nas oddalonego; z całym nieukontentowaniem i przykrością jaką nieudanie się przedsięwzięcia sprawić może. Nakoniec zaczęliśmy się puszczać drogą najgorszą. Pół trzeciej godziny nam zeszło, nimeśmy się na równinę dostali, a w godzinę dopiero potem postrzegliśmy brzegi Cettyny. Przeprawiliśmy się przez nią na promie, a tu poczciwy sardar z Bitulicz i dobry Pinetzen z nami się pożegnali. Wszystkich im do końca przezemnie ofiarowanych nagród przyjąć nie chcieli; mały upominek, z prochu i kuli złożony, jedyną był rzeczą, którą oni z ukontentowaniem odemnie odebrali i rozstaliśmy się z nimi związawszy się pobratymstwem. O czuły i cnotliwy narodzie! dla czego nie możesz wyczytać słabego hołdu, który oddają dobroci serc twoich? Nie stałbyś się przez to lepszym; lecz uczułbyś może ukontentowanie, które oddanie sprawiedliwości czynię zwykło.

Może znudzę czytelnika powtarzając pochwały Morlachów; lecz jeżeli Polacy mają cierpliwość czytania co-

dzień podróży, które naszemu uwłaszają narodowi, czemużby sprawiedliwość, pobratymcom oddana, miała im się przykrzyć?

Čettyna była dawnemi czasy granicą cesarstwa tureckiego i rzeczypospolitej weneckiej. Na drugim brzegu, który zawsze należał do rzeczypospolitej, wznoszą się koszary, które dawniej zajmował pułk jeden jazdy. W czasie mojej tu bytności stały w nich wojska cesarskie.

Przybyliśmy o północy do Sygnu, gdzie nas u czcnego bardzo obywatela umieszczono, który wedle możności swojej jak najlepiej nas przyjął. Nie pamiętam już imienia tego człowieka gościnnego; lecz to wiem, że był jednym z najmożniejszych miasta tego obywateli. Tu pożegnałem się z poczciwym Pincycem, którego mi uprzejmy hrabia Rorelli z Zary był przydał za przewodnika. Był to jego komisarz, był ze wazech miar człowiek dobry, ale przy małym wzroście bardzo śmieszny; do tego jeszcze, chcąc udawać odważnego, był największym tchurzem i nożył zawsze przy boku pałasik krótki, w srebro oprawiony, podobny do tych, które się zazwyczaj w Węgrzech dzieciom daje. Za najmniejszym rozgniewaniem się, do czego był bardzo skłonnym, dobywał go z pochwy i najśmieszniejszą było rzeczą widzieć to małe stworzenie porywające się na ludzi tak wysokiego wzrostu, jak są Morlacy, którzy na niego z palitowaniem patrzyli.

Obywatele tutejsi używają stroju znaczniejszym Morlachom właściwego. Składa się bowiem z opiętych spodni nakształt węgierskich; z kaftanika tejże barwy, obszytego sznurkami podobnego koloru; z kontusza bez wylotów, po staropolsaku na opaszki zrobionego; z kołpaka nakoniec — z aksamitu czarnego — na głowie; i butów czerwonych. Pospolity, w ich odzieniach jest kolor ciemnoniebieski i karmazyn, i jedynymi oni tylko są z Morlachów,

u których pałasz turecki przy boku, oprawiony w srebro, zastępuje miejsce noża. Strój obywatelów Sygna odpowiada ze wszystkiem opisowi odzienia dawnych Polaków, znajdującemu się w Strykowskiem— a to tem więcej, że długie z włosów kosy noszą tak, jak my, przed przyjąciem strojów tatarskich. Niewiasty tutejsze nie są piękne i mniej w stroju swoim mają wykwiutności, niżeli w innych Dalmacyi okolicach. Nic nie znalazłem godnego uwagi w Sygnu i tem mniej zatrzymuję się nad opisem tego miasta, że w swoim wędrownik Fortys najmniejszego nie opuścił szczegółu.

Spocząwszy dwa dni w Sygnu, puściłem się w dalszą podróż w towarzystwie młodego Lowrycza, brata godnego bardzo młodzieńca, co zszedłszy w kwiecie swojej młodości zostawił krytykę podróży Fortysa, która, oboć pisana wprawdzie stylem nieco uszczypliwym, zasadza się jednak na zarzutach dosyć słusznych. Wdzięczność mu raczej winniśmy zato, że z przywiązania do kraju swego wytknął naganne bardzo błędy w podróży, który zwykle, jak wszyscy, podjął się opisywać zwyczaję narodu nie znając jego języka. Także Lowryczowi winniśmy opisy szczegółów jaskini Cettyny, w których, żywą ujęty imaginacją, niemniej cudów upatrył, jak wiek cztertnasty w studni świętego Patrycyusza i historję o sławnym hajduku Soczywoy. Równie przez przywiązanie do kraju wystawił swoim kosztem piec wysoki kuźnicany, używając do roboty żelaza rudy, składającej się z gliny przejętej żelazem, w której dostrzedz można małe krzysztaly ośmiościenne, (fère octaèdre), które w podmorskich lawach tego kraju pospolicie się znajdują. Lecz po śmierci jego rękodzielnia ta ze wszystkiem upadła i z przyczyny zaniedbania starań i braku funduszków opuszczoną została.

Droga, którą nas prowadzili, była płaszczyzną dosyć żyzną, składającą część doliny, przez Cettynę wydrążonej. Po godzinie jazdy spostrzegłem po prawej i lewej stronie wzgórki, okryte dawnymi grobowcami, ale mniej godnymi uwagi, od tych, któreśmy przy źródłach Cettyny widzieli. Oglądając je postrzegłem, że kamienie większej ich części bardzo pracownie rzniete były i zapewne rzymską jakowąś budowlę składać musiały. Lecz, co najbardziej mnie w zdaniu mojem utwierdziło, była rzeźba, którą znalazłem: wypukła, wielkości znacznej, wystawująca konia z siodła ogołoconego i przez człowieka trzymanego. Rzeźba ta, przez wieki szanowana, z jednej tylko strony nieco zepsuta była, kształt to tego konia, uchwalał go od zniszczenia. Bo zdaje się, że ludy, które tu Rzymianom zastąpiły miejsce, przez zemstę i nienawiść ku Rzymianom usadziły się żadnego na tej ziemi dawnych jej podbicieliów nie zostawić śladu. Przyczyna, dla której sądzę, że ta rzeźba była zachowana, jest ta, że jak później powiem, na grobowcach narodów, co na gruzach tronu Cezarów panowanie swoje tu założyły, najwięcej końskich widać wyobrażeń.

Im więcej posuwaliśmy się naprzód, tem bardziej zbliżaliśmy się do rozwalin miasta starożytnego Gardunum zwanego, znaczną Rzymian w tym kraju będącego osadą, a które na wierzchołku góry, wznoszącej się nad równiną, bardzo przyjemnie leży. Ponieważ już dzień był na schyłku, zostawiliśmy do jutra zwiedzenie Gardanum(?) i nocowaliśmy w domku wiejskim, należącym do jednego z urzędników w powiecie Spalatro.

### List XXXI. (z *Sygna*.)

Spocząwszy tu przez noc udaliśmy się ku górze, na której wznoszą się ruiny starożytnego miasta Gardu-

num. Towarzyszył nam młody Lowrycz, który mi powiedział, że zna proboszcza wsi tamęcznej, zajmującej miejsce starożytnego grodu. Zaczęliśmy wstępować, a—doszedłszy już do wierzchołka—zbliżyliśmy się ku kościołowi małemu, z gruzów dawnych budowli wystawionemu. Zastaliśmy proboszcza mszę odprawującego, chociaż nikogo nie było, któryby jej słuchał, Nie miał nawet chłopca służącego mu do mszy i sam sobie zapytania czynił, i na nie, głos odmieniając, odpowiadał . . . . .

. . . . . Skoro tylko postrzegł, żeśmy tam weszli, natychmiast mszę swoją przerwał dla zapytania się nas o przyczynę naszego przyjścia, którą gdyśmy mu wyłożyli, biegał nam z wielką niechęcią pokazać po mszy wszystko to, cokolwiek było godne widzenia warując sobie oraz, aby mu jeden z nas służył do mszy. Musieliśmy na wszystko cierpliwie przystać—i chcąc najlepiej, najgorzejśmy się z tego wszystkiego wywikłali.

Zaledwie cę mszą ukończoną była, burza nas straszna napadła, ale nie mogąc tracić nadaremnie czasu, gdyż nam z każdej chwili potrzeba było korzystać, nakłoniliśmy księdza do wyjścia. Ten, wielce zniechęcony, włożył na siebie oponczę i szedł za nami kończąc resztę pacierzy, z których jedne odmawiał, drugie śpiewał. Spostrzeżliśmy zaraz słupy dawne granitowe, miernej średnicy, i dawną kośnicę, której sklepienie dosyć dochowane było. Cały kościół, wszystkie domy okoliczne, jakoteż i zagrody ogrodów wystawione były z kamieni, składających dawne budowle, których okruchy jeszcze dotychczas powierzchnię ziemi pokrywają. Nakoniec przyszliśmy do probostwa, gdzie pokazano nam nad drzwiami początek pięknego i długiego napisu rzymskiego, którego



reszta okrywała się pod belkami, za podporę posiadłec pierwszego pietra służącemi. Nigdy nie miałem czynności z człowiekiem bardziej nieumiejętnym i grubianem większym od naszego proboszcza. Niezmiernie długiego potrzeba nam było czasu, nimeśmy go do tego przywiedli, że nas zaprowadził na górę i odgarnął kupę jęczmienia, nareszcie napisu spoczywającego. Nakoniec za pomocą wielkich mu poczynionych obietnic skusiliśmy jego chciwości i zaczął zboże na górze odgartywać. Lecz to żadnej nam korzyści nie przyniosło, gdyż kamień położony był w poprzek, końce tylko wierszów czytać było można, początek zaś widoczny był na dole, a środek powtórnie pokryty był belkami. Musieliśmy przeto odstąpić od naszego przedsięwzięcia i udać się do miejsca, gdzie, jak nam powiedziano, niedawnemi czasy znaleźć miano posagi bożków pogańskich. Widzieliśmy w samej rzeczy ostatki starej budowli wielkiej, której gruzy z murów, ziemią okryte, składały gatunek wału, który jeszcze kształt tych budowli okazywał—był to rodzaj czworogranu, którego dwa kąty były zaokrąglone a dwa inne proste. Z strony, która służyła za podstawę kątom prostym, postrześliśmy cztery piwnice czyli miejsca do schronienia się służące, równie mające sklepienie i w równej od siebie leżące odległości. Były one próżne, wyjąwszy tę, którą przed kilku dniami dopiero odkryto, i gdzie znaleziono mnóstwo bałwanów pogańskich i rżnięcia wypukłe (bas-reliefs), które Morlachy podług ich chwalebego zwyczaju w sztuki połupali. Piwnica ta z wielkiem staraniem zbudowaną była i na wielkich głazach zawierała znaczną liczbę rzeźb potłuczonych, z których największa część faunów, albo bożków leńnych wystawiała. Kiedy wyrzucam Morlachom barbarzyński ich sposób postępowania ze szczątkami tych starożytności, zapewniali mnie, iż one

już połupane z tej piwnicy wydobyli; co nawet zdaje się wielkie mieć podobieństwo do prawdy. Zresztą nigdy nie mogłem dociec przeznaczenia tej budowy, ani celu miejsc tych schowań skrytych, ani też nakoniec przyczyny, dla którejby szczątki te bałwanów pogańskich na kupę zwalono. Wszystkie po większej części, (wyjawszy kilku mniejszego znaczenia, z marmuru będących) z kamienia wapiennego, niezgrabnego, zrobione były. Wzywam miłośników starożytności do rozwiązania 'tego zadania, jako też do przebieżenia reszty rozwalin dawniej miejsce starożytnego miasta Gardunum pokrywających, a śmiało zapewnić mogę, że trudów swoich żałować nie będą. Ja bowiem, prócz małej mojej starożytności znajomości, doświadczyłem jeszcze większych trudów przez tulewę, która braku mego wiadomości, uważną cierpliwością zastąpić nie dozwoliła.

Nim skończę ten opis zdaje mi się, iż nie będzie od rzeczy poznać czytelnikowi przyczyny, dla których Morlacy tak strasznymi są nieprzyjaciółmi starożytności. Prócz powodów, które wspólne wszystkim narodom zabobnym, mają jeszcze szczególne do tego przyczyny. — To jest prócz nadziei znalezienia skarbów, prócz zabobnu, grubej ciemnoty a może nienawiści pierwszych mieszkańców ku Rzymianom, mieli jeszcze inną do tego przyczynę, może od tamtych sprawiedliwszą. Powodem tym była chęć uwolnienia się od trudnych bardzo pańszczyzn, do których Wenecyanie bez najmniejszej zapłaty tych biednych przymuszali wkładając na nich obowiązek przewożenia do brzegów morza owych starożytności zabytków. Z tych więc przyczyn osądzili, iż najkrótszą jest drogą do pozbycia się tego kłopotu, połupać je w kawały i zniszczyć, albo je przed oczyma wędrownika usunąć. —

Okolo południa wróciliśmy do domu, aż do j koszuli umoczeni, i równie nie kontenci z tego, cośmy widzieli w Gardunum, jako też z niegościnnego nas w domu proboszcza przyjęcia. Po obiedzie pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami, i wyjechaliśmy w towarzystwie tego samego deszczu, który nam się tak dobrze był zrana przysłużył. Przepawiliśmy się przez rzekę na promie, żegnając się z dobrymi przyjaciółmi naszymi u Sygna, którzy nam aż do tego miejsca towarzyszyli — Udaliśmy się potem ścieżką, która szła przez grobowce, na pół odkryte i sposobem tureckim stawiane. Był to, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, cmentarz turecki. Nie wielkie staranie, z jakim te grobowce są wystawione, okazuje także, że to były nagrobki ludzi ubogich. Puściliśmy się w dalszą podróż po drodze górzystej i po mału zaczęliśmy się zapuszczać w bory, które nam się zdawały być bardzo obszernymi.

### List XXXII. (od Cettyny.)

Tam nas czekał najpiękniejszy i najciekawszy widok dla podróżnego, żądnego poznania nie tylko krajów, ale nawet początku narodów w nich osiadłych. Ludzie uczeni, którzy chcecie przejrzeć w nocy wieków zeszyłych, i ustanowić pewnie rozmaite ludów rozrody, nie wspierając się tylko w waszych wnioskach na ciemnych wyjątkach z dawnych pisarzy, którzy wszystkie inne narody mieniąc barbarzyńcami, i żadnych z niemi związków nie mając, na bajecznych przystając powieściach w niedoskonałych rękopismach opisy nam tych ludów zostawili. Porzućcie mówię wasze systemata, na wypisach ciemnych zasadzone, może nawet niewiernych i źle dochowanych, a jeszcze gorzej wytłumaczonych, jak zrozumianych; wstąpcie

do odludnych borów, okrywających przedwieczne grobowce, które zajmują cały kraj od Czystego aż do Lowrycza i tam dochodźcie początku ludów, w kraju tym zamieszkałych, i razem dziejów religijnych, ich wiary i zwyczajów.

Ztąd wypływa uwaga, która nieszczęśliwie zdaje się być nadto sprawiedliwa. To jest, że większa część tych pisarzy, którzy przyjęli na siebie staranie tak dla rodzaju ludzkiego ciekawe, jak jest początek pierwszych rodów, byli ludźmi, którzy albo dowcipem zastępowali brak wiadomości im potrzebnych, albo też, nadzwyczajnej pamięci swojej dając nam dowody, rozsądek podróży i stosunki, jak niepotrzebne, odrzucili. — Rozległa erudycya, ów skutek wybujałej pamięci, prawie zawsze kosztem prawdziwego gieniuszu nabyta, zdaje się szczęśliwie dowodzić, że własności duszy, jedną jak ciała idąc koleją, wzrastają jedne kosztem drugich. Pytajmy się tych uczonych: jaki jest nasz początek? odpowiedzią swoją nam dowiodą, że czytali — i tego, co czytali, nie zapomnieli. Takim więc uczeni rządząc się obyczajem zatracili w nocy wieków i przeszłości te słabe iskierki, któreby nas może do prawdziwego ludzi rozrodu były doprowadziły; i tak to tlejące światło, które jeszcze zajaśnić mogło w oczach prawdziwego gieniuszu, zupełnie zatracone i powtórnie zatopione zostało w morzu niesmakowitej erudycyi, wypisów niewiernych, niezrozumianych, źle wytłumaczonych, a czasem zupełnie fałszywych. Tam, pod berłem pedantyzmu, leżą przywalone tysiączne użyteczne i ciekawe prawdy, póki za pomocą prawdziwego gieniuszu i filozofii nie staną w przykonywającej w oczach ludzkich postaci.

W tym wizerunku okazała się oczu moim większa część dotąd przez uczonych w tej mierze czynionych usiłowań, i choć te mają w celu pasmo dochodzeń niezmier-

nie trudnych i pracowitych, jednak przyznać potrzeba, że większa część przeszkód, w tym celu doznawanych, pochodzi z zaniedbania wielu źródeł, z których moglibyśmy czerpać, jeżeli nie istotne prawdy, to przynajmniej stosunki, któreby nas do nich doprowadzić mogły. Jakoż w rzeczy samej zaniedbujemy nie tylko wiele dowodów i stosunków, których nam natura hojnie dodaje, ale nawet zarzucamy je wspierając się jedynie na dziejach uczonych, na owych płodach nieuctwa, zaufania w sobie łatwości i przesądów. Sądziłbym więc, że ktoby się chciał zatrudnić dziejami i początkiem narodu, powinniłby razem wypracować i przejrzeć dzieje ludu, któreby mogły mieć jakikolwiek stosunek, lub podobieństwo do tego, którego historią się zajmujemy. Potem należałoby, filozoficznie język jego rozbijając, nie tylko oswoić się z dyalektem, ale nawet z pierwiastkowym i matczynym językiem, w którym pierwszy wziął się początek, potem należałoby się (zająć) krajopisarstwem i położeniem krajów, nie tylko przez ten naród teraz osiadłych, ale nawet tych, które przebiegał w rozmaitych swych wędrówkach. Na koniec trzeba by zasięgnąć pomocy tych znamion nie startych i powszechnych, które wedle najświeższych i najtwarzszych fizyków i naturalistów naszych postrzeżeń, a mianowicie pana Wircy, którego dzieło w tej mierze może uchodzić za klasyczne, zdają się nieprzebyte—i łatwo postrzeżone stanowią granice między rozmaitemi pokoleniami rodu ludzkiego przez pilne ich kątów twarzowych (*angle facial*) uważanie. Poradziwszy się tego, trzeba innych jeszcze zasiągać źródeł, a temi są obyczaje, obrzędy religijne, starożytności krajowe—pilną mając bacność na charakter narodu, który mamy opisywać—i na zmiany, którym mógł podlegać. Jaki wpływ na niego mogły mieć związki jego z sąsiadami, tak w ostatniej swojej posiadzie. Jak też dawnych przechodach, również, co za odmia-

ny na nim działać mogło obce panowanie; rząd wojskowy lub religijny, życie pasterskie lub rolnicze, położenie posady; wpływ klimatów tak tego kraju, w którym ostatecznie osiadł, jak też tych, które przebiegał, nim doszedł do miejsca swego przeznaczenia. Ostatecznie do wsparcia wszystkich tych postrzeżeń przyłączyłby dowody, które w pisarzach znaleźć można do tej liczby nieprzypuszczając, tylko tych, których wierność w opinii jest doskonale uznana; ale nie wspominam o tych, którzy wystawną i wielomowną crudycją nie mają innego celu, jak tylko napawać próżność pisarza i ukryć gadatliwość, rzetelny brak gieniuszu; słowem rozumiem przez to, aby z szacownych pisarzy wyjątkami, wesprzeć postrzeżenia zrobione pierwiej i stosować je do uważnego roztrząsania języka narodowego, jego religii, moralności, stanu politycznego, składu ciała i t. d.

Do łatwiejszego zrozumienia tej teorii sądziłbym, że przystosowanie przykładów dałoby poznać całą jej prawdę i użytek. Ale oddaliłem się nadto od mojej podróży, do której opisu powróćmy.

Grobowce tak częste w tej części Dalmaacyi, Bosyni, Hercegowiny są jedynemi starożytnościami, śladującemi pobyt ludów, które kraj ten posiadały. Ale czy to przed, czy po podbiciu Rzymian stawiane były te pamiętniki zeszyłych rycerzów? jest to zapytanie, na które trudno odpowiedzieć. Gdybym jednak chciał się rozwiązaniem onego zatrudnić, nieznajdując ścieżki, któraby mię do prawdy doprowadzić mogła, przestałbym na podobieństwach onej wiedząc z doświadczenia, że czasem się uda dorozumieć tego, czego wiedzieć nie podobna. Ludy, których pozostałe grobowce nas zadziwiają, musiały byđź posiadzicielami tych krajów przed przyjściem Rzymian, nim one jednakiiej kolei, jak reszta, świata podpadły

W miarę, gdy ci zwycięzcy osadzali kolonie na brzegach Adryatyku, w Luburnii i wzdłuż rzeki Nartwy, rodacy, czyli mieszkańcy oddalając się od morza, które ich temi nieprzyjemnemi nabawiło gośćmi, szukali schronienia w środku ziem i wszelkich sposobów, aby uniknąć sąsiedztwa, rzadko przyjemnego, gdy los w podbicielu go darzy. Może też rzeka Cettyna, przez Rzymian za granicę wskazana, służyła, jak mamy tyle przykładów w komentarzach Cezara, za linię demarkacyjną, naznaczoną ludom zwyciężonym—wskazując im zaporę naturalną i nieusposobioną (?) ich napadom. Postrzeżenia miejscowe dały mi powód do tego wniosku, i widziałem zawsze grobowce, noszące znamiona najwyższej starożytności, więcej zbliżone do morza. Te zaś, które wewnątrz krajów nabyłem, były oczewiście nowszemi i lepiej dochowanemi. I tak te, które przy wryłach czyli zdrojach Cettyny widziałem, są niezmiernie przez czas zepsute i zatarte, a prócz jednego lub dwóch, na których podróżny Fortys zdawał się postrzegać ślady rzeźby, które sam uważałem byż późniejszymi, na innych nie podobnego nie widziałem. Nakoniec zaczynając od wsi Czysła i nie wspominając o mniejszych grobowcach, gdzie niegdzie rozrzuconych, najdawniejsze zdają się byż te, które się rozciągają aż ku Lowryczu i Lokiniczu, i toż samo zachowują znamie aż do dwóch mil drogi w dolinie, już w Herzegowinie będącej, Doliniany zwanej. Pokazają się znowu w Stolcach, ale te już są odmienne, jak o tem niżej powiemy. Rozumiem więc, że te ludy oddalając się od osad rzymskich, tem więcej cmentarze swoje oddalały, że widzimy w staraniu z jakim umarłych grzebli wszelkie dla nich poszanowanie i chęć zachowania ich w pamięci. Rozumiałbym jeszcze, że starowne postrzeżenie miejsc tych grobowców, i razem gruzy osad rzymskich, mogłyby

nam dać sprawiedliwe wyobrażenie zakresu, który oddzielał posady rzymskie od ludów krajowych, na pół zwyciężonych. I tak poczty najczęściej wysunięte posad rzymskich są: *Scardunum*, *Burnum*, *Aequum*, *Gardunum*. Potem też rzeka, odmieniając swój bieg i zwracając się kolaniem ku morzu, musiała przestawać służyć za granicę, która innemi idąc punktami brak zapor naturalnych zastąpić musiała—i tak mamy po lewej ręce Imozków, Runum, potem zalaną Naronę i t. d. Niechęć przez to utrzymywać, aby Rzymianie nie mieli innych stanowisk, więcej wysuniętych i głębiej w kraj zapuszczonych, niż te, które wymieniłem. Ale śladu żadnego onych nie znalazłem.

#### List XXXIII (o grobowcach słowiańskich.)

Nim przystąpię do opisu grobowców i rzeźb na nich będących, nie będzie od rzeczy dla użytku czytelnika zastanowić go nad rodzajami pomników, które wędrownik zwykł napotykać w tym kraju. Pilnie one zważając—trzy onych rodzaje uważać zdawało mi się, to jest najprzód najdawniejsze; powtóre także dawne, ale przez Turków i chrześcian używane i osobnemi przydatki odmienione; trzecie tureckie i chrześciańskie, tak przed nami synów Mahometa, jak też po ich wyparciu. Znamięna pierwszych są nadto widoczne, aby nie były natychmiast poznanemi i niemi się później zatrudnimy. Chrześciańskie zaś i tureckie grobowce są podobne tym wszystkim, które gdzie indziej widzieć można. Używano bowiem do ich budowy obojętnie tak gruzów dawnych pomników rzymskich, jak też kamieni i głazów, które zamykały popioły dawnych kraju mieszkańców. A jeżeli dziwno zdawać się może podobne okopiaka znajdować



w czystem polu; to zdaje się do sądenia, że dawniej w tem miejscu musiał być jakiś kościół, wieś, lub posiadłość, które przy napaści Turków zniszczone zostały. Lecz, gdy się zdarzyło, iż Turcy, lub chrześciance przez lenistwo w dawnym grobowcu składali zwłoki swego ziomka, natenczas starali się dawne rzeźby, jako pogańskie zatrzeć, lub wcisnąć wszelkimi sposobami zmiany, któreby ich wiarę i naród okazywać mogły: i tak np. na całym powyższym głazie znajdował się wizerunek jakiego bohatera, trzymającego w jednym ręku włócznię, a w drugim broń jakąkolwiek, natenczas starano się z całej osoby krzyż duży zrobić, do czego wyciągnięte ręce i poziomie trzymane nie małą dawały łatwość. Turcy zaś wszelkimi sposobami starali się wcisnąć księżyc, lub zawój, jeżeli mężczyzną grzebli; różę zaś, jeżeli kobietę—lub jakąkolwiek rzeźbę, ale dowodzącą zawsze ich smaku i zwyczaju.

Powiedziawszy to wszystko, cokolwiek ułatwić może dalsze podróznich postrzeżenia, zatrudnimy się teraz opisem samym przez się dawnych grobowców. Między temi trzeba rozróżnić najprzód te, którym Sławianie nadają imię Gradyna, czyli małe miasteczko; które nie są nic innego, jak tylko mogiły, czyli raczej stosy kamienne, koniczną formę mające. Tych są dwa rodzaje, jedno z nich znajdują się na wierzchołkach najwyższych gór—i, do czego służyć mogły, jest dotąd niepewno. Widzimy jednak we wszystkich opisach religii Tibelanów(?) w najnowszych podrózach, że aż do tego czasu swoje ofiary i nabożeństwa na podobnych odbywają mogiłach chorągiewki w nie zatykając. To porównanie tylko natracam—to jest mojem zdaniem, którego wyluszczać i dowodami wspierać nie jest tu miejsce, że wszystkie narody, od wschodu pochodzące, tam czerpały początki swych dogmatów.

Po tych następują te, które się znajdują na czystym polu lub w lasach; w tych ostatnich postrzedz można, iż niezawodnie służyły za groby i o tem się przekonać widząc te, które wyzierają po prawej stronie na drodze prowadzącej do Lowryczu. Są to mogiły, mające kształt naszych, zrobione z kamieni łupanych, podobne do tych, które się znajdują w Troadzie i w Tracyi. Jedna z nich ma sześćdziesiąt stóp obwodu, a wysokości około dwudziestu. Na jej wierzchołku stoi grób miernej wielkości, we środku wydrążony, z wielką robioną pracą, lecz bez zwierzchniej pokrywającej go części. Kształt jego zupełnie się różni od wszystkich innych starożytnych grobowców, które się w tautych znajdują okolicach.

Potem następują dawne grobowce, składające się tylko z głazów czworogranych podługowatych różnej wielkości, częstokroć jedne na drugich pokładzone w kształcie stopni, czyli gradusów. Te mniej lub więcej są wielkie i nie tak pracowicie rznięte, jak inne.

Nakoniec przedstawiają się oczom wędrownika najznaczniejsze, mające kształt bryłowatego czworogranu podługowatego, którego wierzch wystaje, jak dach, nad środkową częścią czworogranu; zapewne dla doskonalszego naśladowania pokrycia domu. Zresztą zdaje się cały grobowiec bydź naśladowaniem budowli.

Tego rodzaju grobowce najpilniej są rznięte, i nad temi ostatniemi najbardziej się wędrownik powinien zastanawiać.

Niechaj to czytelnika nie zadziwia, że nie daję mu dokładniejszego w tej mierze opisu. Do doskonałego bowiem wyluszczenia tak ciekawnego przedmiotu brakuje mi na potrzebnych do tego źródłach. Prócz tego, trzeba by mieć dokładną wiadomość obchodu religii Sławian, Celtów Eर्सów, za których pomocą spodziewałbym się znaleźć

jakąkolwiek analogię, lub stosunek nakoniec wszystkiego tego, cokolwiek ściągają się do theizmu ludów dawnych. Nie mogąc się przeto odwołać do takowych źródeł, potrzeba je było kazać jak najdokładniej odrysować. Lecz brak czasu i zdatności były przyczyną, iż przedstawiam tylko czytelnikowi też przedmioty w tym samym sposobie widzenia, w jakim one się oczom moim okazywały.

Między rzezbami, którem uważałem, przedmioty wyrażone były następujące: najprzód polowania, które wystawiają jeźdźców, przecie zupełnie nagich, na koniach bez wędzideł, jak Numidy, w ręku pociski trzymających i w największym biegu konia jeleni ścigających—a czasem jeleni przez pokurcze ściganych. Przypominam sobie nawet, iż widziałem rzezbę, wystawiającą charta: jelenia za tylną nogą chwytającego. Polowanie to doskonale daje nam naśladowanie zabaw owych narodów północnych, przez syna Fingalowego opiewanych. Podobieństwo to tak jest uderzające, że gdyby chciano polowania takowe, wielbione przez tego bohatera, mieć kiedy rysowaniami toby trzeba tam jechać, aby dostateczny ich wzięść wizerunek.

Czasem a nawet często bardzo widać pod temi polowaniami tańce kobiet, trzymających się za ręce, i w tym samym, jak dotychczas Morlachy, tańczących sposobie. Taniec ten zowie się po sławiańsku „koło.“\*) Kobiety przebrane są w suknie długie i obcisłe, ściśnięte u góry paskiem, więcej etyopskim, jak widać w jaskiniach Teby niżeli rzymskim.

Po tem widać bitwy, lecz zawsze pomiędzy jeźdźcami, z których jeden ściga a drugi ucieka pociski za sobą naksztalt Partów rzucając. Ci jeźdźcy trzymają w ręku łuk naciągnięty ze strzałą, lecz najczęściej mają pocisk. Znajdują się także, lecz bardzo rzadko, jeźdźcy na ko-

\*) Kołomyjka. (?) W.

niach, a u ich nóg wlerne pokurcze spoczywają. Są jeszcze inne, na których nie widać polowania, lecz natomiast znajdują się naokoło czterech boków grobowca tańce lub koła. Po tem następują inne rzeźby, a te podług mego zdania są hiroglifami. Są to ptaki do Ibisów podobne, psy, figury zwierząt nadzwyczajnych, i nieznanych potwór, węże, linie różnie pokręcone, linie przecinające się w różnych sposobach, zygżaki mogące wyobrażać pioruny, thyrzy, krywy, albo laski angurowe, czyli wieszczków, rzeki a najczęściej księżycy, słońce, gwiazdy i t. d. Nie trzeba z temi mięsząc wyobrażeń szczególnie do ozdoby służących, które postrzegacz światły łatwo rozróżnić może: są one bowiem uszeregowane, i noszą cechę prawnego rodzaju symetrii, czyli porządku.

Trzeci rodzaj, który rozróżniłem od innych, zajmuje w sobie herby i różnego gatunku rycerskie znaki, w których znalazłem wiele wspólności, co do analogii, między sławiańską a polską heraldyką, której zbliżenie później uznałem z familiami Bossnii. Znalazłem w pięknym rękopiśmie w rękach hrabiego Stratico w Zara będącem, najdokładniejsze onych rysunki. Zajmuje w sobie to dzieło imiona i herby znaczniejszych Bossnii familii, przed napadem jeszcze Turków będących. Postrzedz tam można w rzeczy samej wiele początków herbów najdawniejszych domów: Polski, Czech, Szlązka i Morawii; jako n. p. półmiesiąca i gwiazdę nad nim lub pod nim; trzy dźidy, z których jedna stoi prosto, a dwie się krzyżują; strzały z poprzecznymi laskami; ręce trzymające pałasze i t. d.

Do tych trzeba by jeszcze przyłączyć figury całkowite, które zazwyczaj zajmują powierzchnię zewnętrzną brył równoległo — bocznych, które popioly tych walecznych bohaterów przyciskają. Te są jedyne szczegóły, które je-

stem w stanie czytelnikowi przedstawić dodając jeszcze tylko do tego, iż okolica grobowców zajmuje dolinę, zamkniętą między dwoma pasmami gór, pokrytymi lasem dębowym, mającym około dziesięć godzin drogi rozległości. Czasem stoją oddzielnie, czasem kilka ich w kupie wzgórek jaki sypany, lub naturalny, okrywają.

Podług tego, com tu przytoczył, dopiero dwa czytelnikowi przedstawiają się zapytania. Najprzód jakie to były ludy, pomiędzy narody barbarzyńców liczone, które je wyścignęli w kunsztach dotąd im nieznanych? Wszystkie bowiem te pomniki, chociaż wprawdzie noszą cechę niezgrabności, wyobrażają nam jednak zawsze naród, który nawet z dosyć odległych miejsc umiał sprowadzić niezmiernie bryły skał, one kształcić, przyozdobić rzeźbami i tak wielką w przedmiotach rzniętych. wystawić obfitość, iż liczba onych okazuje w tym narodzie jakowyś porządek w myślach, który go wynosi nad poziom barbarzyńskich rodów. Powtóre, czyli to było dogmatem religijnym, zwyczajem narodowym, lub jakim nadzwyczajnym powodem, co ich skłoniło do rozmnażania tych grobowców w jednym miejscu i w jednym kierunku wzdłuż drogi, która się ciągnie na dolinie?

Nie będzie to zapewne rzeczą obojętną dla tych, którzyby chcieli rozwiązać to zapytanie, kiedy powtórzę jeszcze to, com może wyżej już powiedział, że cały ten las jest dębowym i bukowym, że okazuje największą staranność i mógł być jednym z tych gajów świętych i tajników, w którym pogańska zabobonność lubiła swe tajemnice przed oczami gminu ukrywać. Inne jeszcze zapytanie przedstawi nam się samo z siebie, to jest: czyli ludy, które stawiały te pomniki zwłokom swych przodków, są przodkami tego narodu, który dzisiaj zamieszkał Dalmacyę? — znajdując to nad moje siły, oddaję rozprawę

uczonych, którzyby się tem zatrudnić i rozwiązaniem tak ważnego zapytania na naszą wdzięczność zasłużyć chcieli. Czyli to byli Allany, o których wspomina Scylacyusz(?) nie daleko od tego miejsca zamieszkali; czyli to byli potomki dawnych Ersów, Celtów, albo Gaulów, zwyciężonych w tych okolicach przez Greków, i których łupy zdobyły świątynie w Delfach? zdaje mi się, iż doskonale postrzeżania dawnych grobowców Szkocyi i Skandynawii i porównanie ich z naszymi mogłoby dopomóc do tego zbliżenia, jeżeli się jakieskolwiek znajduje,

**Liść XXXIV, (także o grobowcach.)**

Opuściwszy Cettynę, bardzośmy mało drogi pierwszego dnia odbyli z przyczyny tych grobowców, których różność co moment ciekawość naszą uderzała, i do ustawnego zatrzymania się była przyczyną. Nakoniec, gdy już noc nadchodziła, przymuszeni byliśmy szukać schronienia w kupie domów, które się znajdowały po lewej stronie drogi, wzdłuż bowiem tej smutnej pamiątek doliny, w której zdawało się, że śmierć swe założyła siedlisko, stały domostwa rozsypane tu i owdzie po wzgórkach. Obraliśmy sobie nocleg w domu najporządniejszym, lecz w którym na nieszczęście cała familia dręczoną była febra, bardzo częstą w tej okolicy, a osobliwie w czasie jesiennym panującą. Dano nam pomieszkanie oddzielne, lecz, gdy to domostwo nie miało komina, a wieczór bardzo był chłodny, woleliśmy sobie wielki ogień przed domem zrobić i cały wieczór przepędziliśmy na wyliczaniu dzieł bohaterских i przypadków sławnego hajduka Berdyły. Wieczór ten bardzo był dla mnie ważnym z przyczyny, że chciałem się wystarać o zezwolenie i pomoc tych ludzi do czynności wielkiej dla mnie wagi a o któ-

rej dopięciu bardzo powątpiewałem. Chciałem bowiem ujęty ciekawością koniecznie zobaczyć wewnątrz jednego z tych grobowców, których powierzchowność mię tak bardzo uderzała. Lecz to było rzeczą bardzo trudną, i prawie niepodobną uważając, jak jest święte, nietykalne i w poszanowaniu u Morlachów miejsce spoczynku śmierci; a bez ich pomocy niepodobną było dla mnie rzeczą dopięć mego zamiaru uważając wielkość głązów, do których ruszenia dziesięciu ludzi pomocy trzeba mi było przynajmniej. Wiadomo jest, że sławny podróżny Le Chevalier znalazłszy w przyładku Sunium w Grecyi ciekawego grobowiec, mimo wszelkich obietnic nie potrafił skłonić Sławian jemu towarzyszących do otworzenia tego przedmiotu swej ciekawości, który podług ich przekonania zdawał im się być rzeczywiście grobowcem jednego z ich ziomków. Jeżeli się tamtemu nie udało z ludźmi nad morzem osiadłymi i pospolicie mniej zabobonnymi, trzeba mi się było tem więcej spodziewać, iż tem bardziej nie będę mógł tego dokazać wewnątrz kraju; a to tem bardziej, iż powszechna u nich panuje opinia, że to są popioły ich przodków.

Chcąc jakimkolwiek sposobem dójść do moich zamiarów, postanowiłem korzystać z zapalu, w jaki było ich prowadziło kilkogodzinne zwycięstw nad Turkami, przez sławnego Berdyę odniesionych, wyliczanie, a widząc wrodzoną nienawiść ich ku Turkom najbardziej wznieconą, korzystając z tej chwili—mówiąc im, iż postrzegłem pomiędzy owemi grobowcami, które w ich oczach przeriezałem, wiele bardzo rzeźb tureckich, dodając że najłatwiej możnaby je, po półmiesiącu na nich rzniętym, od innych rozróżnić—powaga, z jaką im to rzekłem, mocno tych prostych i poczciwych ludzi w zdaniu mem utwierdziła i wyznać muszę z rodzajem wstydu, który chęć

odkryć wymawia, że ich—szczęśliwie w błąd ten wprowadziwszy—do mego ulubionego nakłonił celu. Widząc albowiem, że mój podstęp mi się udał, mówiłem im po chwili, iż bardzo ciekawy byłbym widzieć, jaki te psy Turcy mieli zwyczaj chowania ciał umarłych? Zaślepieni niepawiścią im ku temu narodowi wrodzoną, omaniemi memi podstępami, zapomnieli o największym u nich zwyczaju narodowym, i obiecali mi na drugi dzień wykonać to wszystko, cokolwiek żądać będę. Ucieszony tem ich przyrzeczeniem i widząc, że mi się szczęśliwie powiodło, udałem się do spoczynku. Lecz wyznać muszę, iż z ukontentowaniem, jakie mi to sprawiło, połączony był żal, że byłem im przyczyną do zapomnienia o najświętszem i najdawniejszem ich religii prawie, czei i poszanowania dla umarłych, którego dotychczas byli bezemnie dochowali.

Na drugi dzień wstaliśmy ze świtem i, rozdając całej familii małe i stosowne dla każdego podarunki, a najwięcej chiny, której najmocniej potrzebowali, pozyskałem serca wszystkich. Potem przypominawszy im obietnicę, którą mi przeszłego uczynili wieczorą, natychmiast postrzegłem gospodarza oddalającego się w celu zachęcenia swych rodaków, aby wspólnie zemną udali się na dolinę. Jam ich wyprzedził i wnoszę, iż namowienie ich nie mało gospodarzowi memu kosztowało pracy, albowiem długi czas na nich czekać musiałem. Jak na nieszczęście mała bardzo była liczba grobowców z półmiesiącami, a nie można się było spodziewać, aby się innych dotknąć powazyli. Nakoniec długo po owych pysznych błakając się grobowcach, potrzeba się było skłonić i jeden z nich sobie wybrać dla poświęcenia go mojej ciekawości. Widząc zbliżających się Morlachów moich, zdawałem się wyczytywać z zewnętrznej ich postawy zmianę ich woli, i



w rzeczy samej zaczynano mi przekładać, iż rzecz tak nadzwyczajna, jakaby było przerzucanie grobów, niezawodnie ściągnie nieba zemstę na tę okolice; i że to wystawiłoby na nich pomorek, grad i wszelkiego rodzaju kary, a nawet mogliby się stać obrzydłemi swym rodakom; a tem samem największe na swe głowy ściągnąć nieszczęścia. Cała wymowa moja była nadaremna, i kilka razy przekładać im musiałem, iżbym nigdy nie śmiał namawiać ich do tego, gdybym nie był pewnym, że to są grobowce tureckie, że—równo jak oni będąc Słowakiem—strzegłbym się zapewne najmocniej zachęcać ich do naruszenia popiołów ich przodków, lecz najdoskonalej wiedząc, że to są grobowce ich sprzysięgłych nieprzyjaciół Turków, nie wahałem się ani chwili do zachęcenia ich do tego przedsięwzięcia. W tem jeden przerwał mi, że skoro tylko zechcę przyjąć na moją głowę i na mój ród nieszczęścia, któreby ztąd wynikać mogły, tedy oni się na to skłonią; jeżeli zaś nie, tedy pomocy ich spodziewać się nie mogą. To, gdy im najchętniej, jak sobie łatwo każdy wystawić może, przyobiecałem; przystąpiliśmy do rozpoczęcia naszego dzieła.

Głaz, przywalający ten grobowiec, był czworokątnym stałym, sześć stóp długości, wysokości pięć a szerokości cztery stopy mającym. Grobowiec ten bardzo miał wiele ozdób półmiesiąca i gwiazdy, część odpowiadającą głowie.—i wszystkie te ozdoby zdawały się być zrobione dla otoczenia, albo raczej zamknięcia tego księżycy i tej gwiazdy. Bryła ta spoczywała na kamieniu płaskim, długości ośm, a szerokości pięć stóp mającym. Przewróciwszy te dwie bryły, znaleźliśmy pół stopy ziemi płonnej, potem piasek drobny, głębokości pół trzeciej stopy mający, a w tym postrzegliśmy szczątki kości, co było przyczyną do mniemania mego, że mi się przedsięwzięcie moje

nie udało, grobowiec ten albowiem dowodził mi, że później już musiał być otwierany. Nakoniec dostaliśmy się do kamieni płaskich, z wielkiem staraniem z sobą połączonych. Grób ten mógł mieć siedm stóp długości, a trzy stopy szerokości. Musiał on być grobowcem familijnym: znaleźliśmy bowiem w nim cztery szkielety prawie całkowite, które przodem obrócone były ku wschodowi; lecz prócz czystości i staranności, z jaką te grobowce zrobione były, nie znaleźliśmy nic osobliwego. Postrzegaliśmy tylko po tych szkieletach, iż to musieli być ludzie niezmiernie wielkiego wzrostu, a na ich czaszках widać było dosyć głębokie blizny. Taka była korzyść badań moich, z których daleko szczęśliwszego spodziewałem się skutku. Mniemałem, iż znajdę tam zapewne jakoweś bronie lub też ślady religijne, po których mógłbym dociec ciekawości narodu, lecz nic z tego wszystkiego nie ujrzałem. Należałoby zaiste powtarzać toż samo na innych grobowcach, a wtenczas dopiero, możnaby się było przekonać o sposobie, jakim owe ludy swych chowali umarłych.

**Liść XXXV. (z Imoskich.)**

Cały dzień szliśmy wzdłuż doliny ścięśnionej. Góra wielka, Bichowa zwana, zostawała po prawej stronie a rozsypane, po obydwóch stronach drogi, grobowce co krok nas zatrzymywały. Nakoniec, gdy się już zmierzchać zaczęło, doszliśmy do kamienia grobowego niezmiernie wielkości, okrytego rzeźbami i to było pół drogi do Imoskich. Pomieszkania nie było bliskiego w tej okolicy, nocleg bardzo był jeszcze od nas oddalony a do tego zmrok więcej jeszcze, jak znużenie, ciekawości naszej nieprzebytą stawił przeszkodę. Rzecz jednak uwagi godna, jak wiele moralne własności mnożą siły fizyczne czło-

wieka. Wiele razy w podróżach moich niesłychane przychodziło mi znosić trudy, skoro tylko miałem uwagę jakim przedmiotem zajęta, tom nieczuł znużenia; w przeciwnem zaś położeniu najmniejsza praca przy trudach i tęskności nieznośną się zdawała.

Grobowiec najznaczniejszy, zwany jest przez mieszkańców tamecznych Mramorem, co w języku terażniejszym zepsutym znaczy marmur. Gdy grobowiec ten zdaje się być jednym z najpyszniejszych, wniesć można, iż przyznaczony być musiał zwłokom znacznej bardzo osoby i, że imie to Mramor właściwem było imieniem bohatera, albo też zepsutem onego przestoczeniem. Albowiem, jakaby mogła być przyczyna do nazywania odrębnie kamienia tego marmurem, gdy te grobowce bez żadnej różnicy z tegoż samego wyrobione są kamienia, i na teje samej, co i tamten, stojące przestrzeni. Czyliż nie znajdujemy w całej Dalmacyi imion: Brybir, Kegar, Kramor, Lukar, Berdar, Kotar, Mosor, Karin, które oczywiście właściwszemi są językowi erskiemu, lub celtyckiemu, niżeli sławiańskiemu, a zdają się w imionach właściwych brać swój początek. Natychmiast umyśliłem powrócić tam nazajutrz, a tym czasem w dalszą puściłem się podróż. Przybyliśmy po północy do domu mającego nam służyć za nocleg, leżącego na pochyłości gór, graniczących z płaszczyną Imoskich. Należał on do bogatej familii, a gospodarz właśnie był bratem ihumena kałogiera, któremu zleceni byliśmy przez przełożonego z Dragowicz. Posłano natychmiast po niego, a tymczasem sporządzono mi łóżko w tej samej izbie, gdzie spała familia. Właśnie wtenczas ukończone było winobranie, a bujne grona zdożyły cały pułap i ustawicznie nas po oczach były. Izba dosyć była niska, i z tej przyczyny wolalem spać w sieni, gdzie pomiędzy liczne-

mi beczkami i dzbankami, jak drugi Sylen, zasnąłem. Zapewneby każdemu innemu, któryby więcej odmieńnie do wina był przywiązany, ta Bachusa świątynia była przyjemniejszą. Co do mnie, innego zysku z niej nie miałem prócz mocnego bólu głowy, do czego najbardziej przyczyniało się zepsute powietrze, które tak wielka liczba wina robiącego sprawiała; i przekonany jestem, że gdybym mimo zimna wielkiego niebył drzwi otworzył, nicomylnie byłbym węglókwasem uduszony.

Nie mogąc wrócić nazajutrz dla zobaczenia kamienia, Mramor zwanego, przymuszony byłcm posłać tam przy mnie będącego Polaka, a tymczasem zwolna w dalszą udawałem się podróż ku Imoskim w myśli odpoczęcia przez kilka dni w tem mieście. Przełożony ihumen, dowiedziawszy się o przybyciu mojem, w nocy mię jeszcze odwiedził, i był moim do miasta przewodnikiem. Spuściliśmy się na dolinę Imoskich, któraby dosyć mogła być urodzajną, gdyby nie była wystawioną na częste rzeki wylewy. Ta przechodzi wzdłuż onej, potem zwraca się ku południowi robiąc tu dwa bagna wielkie, łączące się z bagnami rzek Norynu i Nartwy. Początek doliny zajmuje jezioro błociste, o ktorem będę mówił przy opisie jezior Imoskich. Reszta doliny składa się z ziemi roślinnej, zmieszanej z namulem gliniastym, bardzo urodzajnym. Lecz na nieszczęście rodzi się tu tylko proso afrykańskie wielkie, czyli *holcus shorgum*, z przyczyny nieustannych wylewów, na jakie zawsze jest wystawioną. Trzebaby sądzić, że grunt tak wilgotny nie może być dogodnym dla wina, chociaż wprawdzie winnice w tym domu, gdzie nocowałem, były posunięte w tej okolicy, i są jedynemi w tym kraju, gdyż, jeśli się nie mylę, dopiero w Mostarze widziałem na nowo winnice. Przeszliśmy rzekę po moście kamiennym i w przeciagu dwóch

godzin przejechaliśmy dolinę, i widzieliśmy się u spodu innego pasma gór, na którego pochyłości stoi miasteczko Imoski. Wierzchołek onego zajmuje zamek. Ponieważ miałem stać w klasztorze czernców a tenże znajduje się na dole góry, zatrzymałem się tutaj i odłożyłem na drugi dzień zwiedzenie miasta. Klasztor dosyć jest przyjemnie położony, kościół mały, i daleko mniejsze, niż w Dragowicz, pomieszkanie. Składa się bowiem tylko z jednej małej izby, którą z nimi razem dzielić musiałem. Ku wieczorowi powrócił będący przy mnie Polak i przyniósł mi opisanie kamienia, Mramor zwanego, które wyznać muszę, następnych dni zgubiłem.

#### List XXXVI. (z *Imoskich*).

Nazajutrz udałem się do miasta, ukazałem zwierzechności moje papiery niewspominając jednak nic o przedsięwzięciu udania się do Turczyzny. Zwiedziłem klasztor zakolantów czyli bernardynów, który mimo tego, że nieukończony, dosyć jest obszerny. Tam widziałem jednego z tych awanturzystów, którym niewiadomo z jakiej przyczyny nadają tytuł honorowy emisaryuszów. W czasie mojej podróży codziennie pomnażała się w całym tym kraju liczba tych nieprawych pomyślności ludów nieprzyjaciół i burzycieli spokojności, co niemalą było przyczyną do zmniejszenia przyjemności mego pobytu w tym kraju, i przymuszało mię do ostrożności podróżnemu, zajętemu badaniem natury, nieznośnych.

Część Dalmacyi, Bossynia, Herzegowina, Montenegro, przesmyki Cattaro i Ragusa na ów czas pełne były nasłańców od kilku dworów, którzy jedynie własnego szukając zysku, udając, iż służą swemu zwierzchnikowi—szukali tylko oszukiwać ludy i robić z nich ofiary łatwości. Psuli moralność tych poczciwych ludzi, mię-

szali ich spokojność, rozsiewali pomiędzy nimi wszystkie występki, które tylko popełniali i spieszyli się jeszcze do swych dworów po nagrodę za złe, którego nabroili. Ostatni ten, o którym mówiłem, zwał się Włatkowicz i był kanonikiem kapituły horwackiej zagabryjskiej; lecz zanadto czyniłby mu było honoru, gdybyśmy się nad nim zastanawiać chcieli. Wróćmy do naszej podróży.

Idąc na górę, na której położone jest miasto, widać po lewej stronie niezmierną przepaść, którą nazywają jeziozem i która rozciąga się od połowy góry aż do samego zamku. Nic smutniejszego ani przeraźliwszego, jak widok, który nam przedstawia niezgłębiony ów jar, tak dalece, iż spojrzawszy w niego zawrotu głowy dostać można, lecz i o nim obszerniej będę mówił opisując inne. Miasto bardzo się z tą okolicą zgadza, przedstawia bowiem wizerunek najnieprzyjemniejszy, jaki tylko sobie wystawić można. Domy bez najmniejszego porządku, tu i owdzie rozsiane; posada zupełnie zburzona przez trzęsienia ziemi; urwiska skał, jedne na drugich leżące, obnażone z zieloności, otoczone z jednej strony przepaściami i jarami straszliwemi, zabudowane po części na tych, które się same zasypały, stojące na sklepieniach nowo powstałych i grożących zapadnięciem, zasypane gruzami domów zburzonych, zdają się iść w zawody z rozwalinami góry; do tego mieszkańcy, którzy znudzeni próżniactwem ustawnym, zdają się podwajać smutek i okropność, jakie podobne tylko siedlisko na podróżnym wzbudzać zdoła. Taki to wizerunek przedstawia nam widok miasta Imoskich, co codziennie powiększa liczbę miast tych nieszczęśliwych, których natura swym dotknęła wyrokiem. Do tego rozwaliny na wierzchu góry zamku, po większej części otoczonego straszną przepaścią, której głębokości oko zmierzyć nie śmie; wieże zburzone, baszty każdego czasu za-

waleniem grożące, schody zapadnięte; kilka armat, których łoża pogniły, na miejscu rynny zaniedbanej wijącą się klematydę; pokryte trawą, po pas dziedzińce, służące samym tylko węzom za schronienie. Ten jest obraz twierdzy Imoskich, dawniej założonej przez nieszczęśliwych panów Bossyni \*). Gród ten musiał być punktem obrony bardzo ważnym, teraz zaś przestawszy być użytecznym, przyda się jeszcze jakiemu twórcy romansu wieku naszego, *mającemu przywilej wielką część ludzi dorosłych tem barwić nieustannie, czem dawniej nas bywosze niańki nasze usypiały*. Może tam bezpiecznie wprowadzić kilka tysięcy strachów, duchów, widzów, a zaręczam mu, że pomieszczą się i dobrze się wydadzą.

Do wystawienia zamku tego użyto większą część marmurów z rzymskich budowli pochodzących, co dowodzą niektóre napisy w murach zachowane, które wprawdzie znajdują się za wysoko, aby one przeczytać można; lecz niedosyć wyniesione, ażeby owych nie spostrzedz. Równie tego dowodzą te, które przeniesione zostały z tego miejsca do Wenecyi. Lecz niewiadomo mi jest, z kąd pierwotnie wzięte były, nim zostały w murach zamkowych oprawione; wnoszę sobie, że przeniesione były z rozwalin starożytnego Runum, niedaleko ztamtąd leżącego. Za rządu weneckiego stał garnizon mały w tej twierdzy, teraz zaś jest opuszczona, i widać tylko kościół doglądany przez jednego księdza, który w towarzystwie sów i puszczyków, jedynych i godnych tego siedliska towarzyszków, przyjemnie czas swój przepędza. Zamek ten wystawił Lubomir *ban* czyli *pan* Bossyni w trzynastym, jeśli się nie mylę, wieku, o czem nas przekonywa napis nad drzwiami położony: „*Toy grad Lubomir zistroit.*“ Bardzo dobrze byłem przyjęty od zwierzchności miejskiej, która mi wszel-

\*) Tak autor częściej używa.

ką pomoc, jakiej tylko żądać mogłem, dać obiecała. Lecz ja—zawsze wracając się do ulubionego przedsięwzięcia mego: posunięcia się aż do Mostaru—staralem się wszelkimi sposobami z nich wybadać, czyliby niepodobna mi było zwiedzić Bossynię, lecz wszyscy jednomyślnie na to przystali, iż rzecz ta niepodobna jest do wykonania, że nie mają żadnego z tamtym rządem związku i, że nakoniec podróży tej nikt jeszcze z nich nie odprawił. Widząc przeto, iż żadna mi z tej strony nie zostawała nadzieja, aby nie powiększyć przeszkód, pomniąc na to, że—zwierzywszy im się niepotrzebnie—mógłbym tem samem trudności sobie powiększyć, nie odkryłem im przedsięwzięcia mego. Prosiłem tylko o kartę drożną i o konie aż do Vergoras, jako też o rozkaz wszystkim sardarom wiejskim, ażeby mi tam, gdziebym potrzebował, stójki dostarczano. Pożegnawszy się potem z nimi, powróciłem do klasztoru zatrzymawszy się wprzód nieco na górze dla nasycenia się widokiem rozległym jaki przedstawia góra Imoskich, która na nieszczęście przypomina tylko mieszkańcom koniec, który im grozi. Powróciwszy do klasztoru, odwiedzony zostałem przez urzędnika z Imoskich, który mi jako największą tajemnicę odkrył swe przedsięwzięcie sprowadzenia z kopalni Bossyni kruszcu, który chciał kazać topić w Spalatro, lub w Sygnu i pokazał mi oraz kilka próbek. Był to gatunek rudy krzemienistej, mający w sobie części miedziane i ołowiane. Miał także kilka kawałków, listowatej galeny, rodzaj kruszcu ołowianego, prawie zawsze w srebro obfitującego. Zapytywałem się go o sposób, jakim on chce w tem postąpić? lecz, gdy nie chciał mi go wyznać, rozstałem się z tym człowiekiem tak ucieszonym i wróżącym sobie duże ztąd zyski, iż wątpić nie mogę, ażeby kiedykolwiek nie stał się ofiarą swej ulubionej mary.



## List XXXVII. (z Imoskich.)

Pozbawiwszy się nakoniec natrętnych, zaczęliśmy się umawiać między sobą o sposobach, jakiemiby najlepiej nam się przedsięwzięta wyprawa udać mogła. Stało nakoniec, iż posłać potrzeba po człowieka, którego polowa familii zamieszkała była w Mostarze, gdyż ten jedynie zdawał się być zdającym na przewodnika do tego miasta—tym czasem zaś w największej należy zostawać spokojności. Niezmiernie ucieszony łatwością, do jakiej mi mój poczciwy kałogier dopomógł, z największem ukontentowaniem udałem się do spoczynku mając głowę napełnioną marzeniami przyszłej mojej wyprawy. Nazajutrz, nie doczekawszy się mego anioła stróża, ułożyłem sobie obejrzeć górę Imoskich. Góra ta sama z siebie składa się z skały, jednostajnie wapiennej, wskrós wewnątrz rozpręczonej, o czem nas przekonywają cząstki oxydu żelaznego, wszędzie wewnątrz góry znajdującego się, który daje skale rozpadnionej, lub w ułamku, postać czerwoniawą, połączoną z popielatością marmuru, co niezmiernie posepność przydaje obrazowi. Zazwyczaj w innych skałach powierzchnie tylko kamieni przeistaczają się i rozpręcać zwykły, tu zaś to dzieje się z wewnętrzną góry częścią i jej podstawą. Nie trudno to będzie zrozumieć, gdy pomniemy na to: że cała wewnętrzna część góry jest wydrążona przez płynące w niej wody i, że to wszystko, co widzimy, nie innego nie jest, jak tylko rodzaj skorupy, która natychmiast zapada się, skoro ciężar skał zewnętrznych za bardzo cięży na sklepienia. Uważając jar okiem niezmierny, nad którym zamek jest zbudowany, widocznie się w ym rozpręgu skały przekonałem, że to nie jest nic innego, jak nieforemny gatunek marmuru „*bréck*“ zwanego. Taki więc jest skład góry Imoskich

która tak wielkich, ciągle po sobie następujących, doświadczyła zapadów i chociaż wprawdzie trzy tylko, jeszcze będące, widziałem, wiele jeszcze śladów dawniej zasypanych widzieć można. Z pozostałych jeszcze jest najprzód stare jezioro, które zdaje się górą od jej połowy aż do wierzchołku zajmować. Dosyć jest szerokie, głębokości niezmiernej, ma miejscami aż do stu stóp szerokości, u spodu jego woda jest żółtawo zielona. Nie idzie kierunkiem prostym, ale załamując się obejmuje północną część zamku. Po prawej stronie drogi prowadzącej do zamku widać takowy mały zapad, który się znowu napełnił; teraz na ogród obrócony został. Posuwając się dalej ku północy, natrafiamy na jezioro nowe, mniejsze daleko od starego, równie niezgruntowane, jak tamto; lecz bardziej okrągławe: jezioro to ma kształt lejka, spadziłość jego brzegów nierównie jest raptowniejszą, lecz nie idzie tak prostopadle jak pierwszego, głębokości zaś aż do powierzchni wody będzie miało około stu stóp. Spuszczając się na dół z największą trudnością: drapiąc się na rękach i nogach, obróciwszy się plecami do przepaści z bojaźni zawrotu głowy. Nic nie zdoła wyrównać okropności tej pustyni. Zdaje się, że człowiek jedną nogą stoi już w Acheronie i wtenczas chyba przypomnieć sobie może, że liczy się jeszcze między żyjącymi, gdy—podnosząc w górę oczy—ucieszy się widokiem sklepiącego się nad nim nieba. Woda zielonawa, stojąca powierzchnią drżącą, składa spód tej straszliwej przepaści. Najmniejszy kamyk, który się z pod nóg naszych odsuwał, toczył się aż do samej wody, a—wstrząsając onę—sprawił mocny ruch w powietrzu, którego skutkiem było dwum minutowe rozleganie się hałasu, który coraz zmniejszając się nakoniec zdawał się ginać w podziemnych pieczarach, całego człowieka okropnością swą przerażając. Aby to wytrzy-

mać można, potrzeba się powoli do tego, nie często zdarzającego się, zjawiska przyzwyczajać. I tak, kiedy przyszedłem pierwszy raz do tej przepaści i stanąłem na jej brzegu, słyszałem przez kilka minut hałas podziemny, który daleko zamną się powtarzał w sposobie grzmotu, coraz się więcej oddalającego. Wyznać muszę ze wstydem, że nie będąc przyzwyczajony do podobnego rodzaju łoskotu—pierwszą myślą, która mi się przedstawiała, było, że się pod mojami nogami załamuje góra i do nie małego moich przewodników, Morlachów, pobudziłem śmiechu, gdy postrzegli mnie dosyć nagle w tył cofającego się, czyli, mówiąc po wojskowemu, pozycyę odmieniającego. Takie to wrażenie przestachu i bojaźni sprawił pierwszy raz na mnie ów nadzwyczajny łoskot i zdaje mi się, że każdy inny, równie jak ja nieprzyzwyczajony do tego i nieprzestrzeżony wcześniej, nie byłby odemnie odważniejszy i równieby, jak ja, o cofaniu zamyślał. Ażeby mieć wyobrażenie tego podziemnego grzmotu, trzeba sobie wystawić głuchy szelest—odbijający się w niezmiernych sklepieniach, powtarzający się sposobem konającego echa, po którym następuje największe milczenie; nakoniec, kilka razy wznawiający się na przemiany, szelest ten, coraz bardziej słabieje. Zdaje nam się wyraźnie, że kamienie odłamują się w tych podziemnych pieczarach i padając w wodę sprawiają ruch w powietrzu, który znowu inne ułomy odwala. Ta jest podług mego zdania przyczyna owego jęku, o czem bardziej się jeszcze przekonuję, gdy przypominam sobie, że ten szelest nie jest jednostajny za każdym ciśnieniem kamienia, bo wstrząsienie powietrza nie zawsze tą samą dzieje się mocą; lecz stosuje się do ruchu powierzchni wody i do oporu, który znajduje w powietrzu.

Jest jeszcze trzecie jezioro większe nierównie od  
Biblioteka Polska Podróże Sapiehy. 21

tych, o których mówiliśmy. Leży więc ku północy, na początku doliny i u samego spodu góry. Żałuję mocno, że nie mogłem go widzieć; przez obydwu bowiem dni, które badaniom owym poświęcić mogłem, ciągle trwająca deszczu ulewa aż do koszuli mię przemaczała. Powiedziano mi tylko, że potok ten sam, który czyni granicę między Dalmacją a Turcją, w nie wpada i, że otoczone jest bagnem, z którego płynie rzeczka mała, zajmująca głąb' doliny Imoskich i toż imie nosząca. Powiedziano mi także, że obfite jest w ryby, i sam nawet na moje oczy widziałem wielkie bardzo węgorze, które, jak mię zapewniano, w tem jeziorze złowione były. Lecz równie i to podpada zawałom. W roku 1780. poszło dziewięciu rybaków na łowienie węgorzy i, zrobiwszy połów dosyć znaczny, wyszli na ląd dla wyciągnięcia sieci z wody, co zrobiwszy wzięli się do sporządzenia sobie części swego połowu, gdy raptem zawalił się brzeg jeziora i oni wszyscy zniknęli. Powiadają, że ten załom znajduje się ze strony góry i, że w tem miejscu jest teraz mała onego odnoga, której spód jest nową przepaścią. Zresztą cała góra napelniona jest takowemi zapadami, już po części zasypianemi, które, aby mieć o nich dobre wyobrażenie, porównać można do dawnych i zasypianych wyziewów czyli kraterów gór ognistych. Pośród nich rodzą się teraz drzewa, pozakładano nawet już ogrody—i sam do dwunastu takowych naliczyłem;

Tam to trzeba jechać dla przypatrzenia się i badania sposobu, jakim się załomy i zapady dzieją w naturze. Jak później warstwy poziome stać się mogły pochyłemi, lub wcale prostopadłemi, jak rzeki mogły zaginać w owych szparach i zniknąć z nad powierzchni ziemi, a przez to stać się wewnątrz nową przyczyną zjawień natury, wydrążeń, załomów nowych i jaskiń, które, potem przez wo-

dę lub trzęsienie ziemi zostawszy odkrytymi, stają się później przyczyną nową ziemiopisarzom (gieologom) zadziwienia i trudności. Tutaj to zobaczyć można, co samo z siebie zdołają wody bez pomocy trzęsień ziemi lub podziemnych ogniów i zdaje się, że górę Imoskich przeznaczyć musiała natura na doświadczenie małe, co to jedną silnią swoją, oddzielnie od wszystkich innych, wziętą, dokazać potrafi. \*)

Ażeby już wszelkie oddalić powątpiewanie o naturze kamienia składającego górę Imoskich, powtarzam jeszcze raz, że składa się z marmuru spowinowaconego z owym, który jest wspólny wszystkim góróm Dalmacyi. Że ten, który wystawiony jest na powietrze, nie przeistacza się, ale raczej twardnieje; ten zaś, który się znajduje wewnątrz góry, jest przeistoczony zupełnie i rozprężony prawie tyle, ile tego dostrzegłem w szczelinach świeżych. Najprzód udziela się żelazo i daje marmurowi powierzchnię rdzawą czyli czerwoniawą. Bryłki kamienia, rozprzegając się, jak ziarna, niszczą skały spojenia, potem odłączają się kawałkami właśnie tym samym sposobem, jak niszczą zwykły wierzchołki gór rozprzegających się. Nadaremnie byśmy się kusili, gdybyśmy chcieli wyszukać tu warstw, albowiem tak wielu ta góra podpadała już zburzeniom, iż nie podobna nawet myśleć, ażeby się jakiegokolwiek ich ślady znaleźć mogły.

#### List XXXVIII. (z *Otocza*).

Powróciwszy do domu, dowiedziałem się o przybyciu Bośniaka, którego starano się namówić do przeprowadzenia mnie w Turczyznę. Zaproszono go na wieszczę i, podług zwyczaju tamtego kraju, umowę tę odłożono do ukończenia uczt. Wyznaję szczerze, że mam się mocno

\*) Porównać. co w tym względzie ks. Hugon Kollątaj o sile wody pizze.

lękał wypadku tej namowy, i byłbym zapewne dużo zmar-twionym, gdyby mi się to przedsięwzięcie nie było lepiej od pierwszego udało. Lecz szczęśliwie wszystko mi się podług żądania powiodło.

Uznano więc za rzecz koniecznie potrzebną, ażebym się przebrał po bośniacku, ażeby wspomniony przewodnik dostarczył mi potrzebnych ubiorów i, abym nakoniec dla uniknienia podejrzenia nie kazał tych strojów robić w Imoskich, a to dla łatwiejszego ukrycia moichczamiarów. Poradzono mi między innymi rzeczami i to, żebym mego młodego towarzysza Wilsona, który zawsze był przy mnie zostawał, z rzeczami odesłał i, żebym wśród dnia wyjechał z Imoskich i udał się do Rnowicz. Z tam-tąd znowu, żebym ze zmrokiem powrócił nazad pod same Imoskie gdzie miał na mnie z końmi i z częścią ubioru mego czekać. Nakoniec, jako rzecz najpotrzebniejszą, kazano mi ogolić głowę. Tak przeszedłszy już przez wszystko i ułożywszy się między sobą jak najlepiej, szczę-śliwieśmy się rozstali.

Zadziwić to zapewne mocno będzie czytelnika, że dla dopięcia wyprawy tak małej wagi używałem tajemni-cy, lecz najlepiej to wyjaśnię, gdy powiem, że kraj, w któ-ry miałem się zapuszczać, wystawiony był na nieustanne najazdy hajduków, bandurów tureckich i wszelkiego ro-dzaju hultajów, a—co daleko było niebezpieczniej zrażony był wysłańcami i podżegaczami wszystkich narodów, którzy rozumiejąc, że ja przybyłem w celu przeciwnym ich inte-resowi, mogli byli wszelkie na mnie robić zasadzki, czego nawet później doświadczyłem i kilka razy sama opatr-ność od ich zasadzek mię uwolniła. Mogli się równie i między hajdukami znajdować tacy, którzy—mając krew-nych lub przyjaciół w Imoskich—mogli byli jako ofiarę imże wydać, a oprócz tego jeszcze nie mając ani firma-

nu, ani pasu od zwierzchności tureckiej, *Bajurli* zwanego, za pomocą których, bezpiecznej odprawiają się podróże w tamtym kraju, przymuszony bym był oddać się na łaskę pierwszego z Turków, którego bym napotkał. Z tych więc przyczyn, sądzono, że zbawienie moje zależało jedynie na doskonałym przebraniu się i jak najlepiej dotrzymane tajemnicy. Najprzód więc kazałem sobie ogolić głowę i, wzięwszy stójkę od rządu mi daną, wyjechałem na drugi dzień z rana z Imoskich i, aby udadź, że zapuszczam się dalej w Dalmacyę, jechałem drogą prowadzącą do Vergoras. Właśnie to był czas, w którym niezmierne w tamtym kraju padały deszcze. Ulewy codziennie na nas spadały, i tego nawet razu nas nie oszczędziły. Przebyliśmy Werlicę po moście kamiennym i przybyliśmy do wsi Otoz, gdzie przymuszeni byliśmy zatrzymać się dla osuszenia się z deszczu, który nie leniwie nam dokuczał. Zsiadliśmy u sardara, czyli najstarszego wsi, który nas przyjął z całą powagą, jaką mu nadaje urząd jego. Ten uchodził za jedyne go lekarza w całej okolicy, dziesięć mil mającej okręgu. Okazałem mu rozkaz rządu w Imoskich, który mu zalecał dawanie mi wszelkiej pomocy, jeźlibym jakowej potrzebował—rozumiejąc, iż człowiek, podobny piastując urząd, powinienby umieć przynajmniej czytać. Lecz omyliłem się mocno w oczekiwaniu mojem, gdyż on wzięwszy z rąk moich z największą powagą i usiadłszy na lisztwie okna, jednego tylko w całej chacie będącego, zostawił nas w zupełnem zaćmieniu, i trzymając na wywrot papier zaczął mróczyć pod nosem. Mimo nieco wątpliwości w jakiej zostawałem, nie podobna mi było wstrzymać się od śmiechu, wystrzegając się jednak najmocniej, abym jemu nie dał tego poznać. Było to wcale nową dla mnie rzeczą, widzieć w Morlachu fanfaroną, lecz ponieważ to czę-

sto bywa nierozdzielny udziałem lekarskiej sztuki, a zatem jego urzędu, mniej mnie to uderzało. Nakoniec po czytaniu, przez kwadrans nie źle udawanem, złożył bardzo poważnie papier i oddał mi go, mówiąc: wszystko jest na usługi wépana. Nabawiwszy się przez niejaki czas nieumiejętnością lekarską owego człowieka, chciałem się w dalszą udać podróż. Lecz to było rzeczą niepodobną, albowiem deszcz zamiast przestawać, coraz się poprawiał i z tej to też przyczyny pozbawiony zostałem ukontentowania zwiedzenia szczątków dawnej owej osady rzymskiej.

#### List XXXIX (z granicy tureckiej.)

Tymczasem, gdy się już zmierzchać zaczęło i nadchodziła godzina zejścia się z przewodnikiem moim pod Imoskich, potrzeba było mimo największego deszczu jechać. Rozstałem się przeto z moim młodym towarzyszem Polakiem, zaleciwszy onemu, ażeby mnie oczekiwał w domu sławnego Perwana z Kokoryczu, niegdyś gospodarza l'abego Fortis. Obwinąwszy się w kabanicę czyli płaszcz turecki, kupiony u naszego lekarza, puściłem się, zupełnie na los obojętny, przekonany będąc, że podróżni, dzieci i pijacy mają zawsze anioła stróża, który czuwa nad ich losem korzystniej, niż rada.

Zaledwie com wyjechał, burza—o której mniemałem, że już ustala—coraz się bardziej powiększała i przymuszony byłem—nawet dla błyskawic i piorunów, które nieustannie konia mego przerażając, nie dawały mu nawet postępować—schronić się do chatki zamieszkałej przez młodego człowieka, którego właśnie rodzice świeżo byli odumarli. Ten mnie przyjął z wielką gościnnością, kazał mi zrobić wielki ogień dla wysuszenia mnie i, aby mnie rozweselił,



wziął swoją gusłą (gatunek lutni morlackiej) i zaczął mi opiewać wyprawę syna króla Jerzego, jednego z najślawniejszych narodu jego bohaterów. W tem weszła młoda dziewczyna, która była jego zaręczona, lecz z przyczyny żaloby nie mogła się z nim pobrać. Przedstawił mi ją prosząc, abym mu pozwolił kilka zanucić piosnek, na co gdym najchętniej dozwolił starając go się owszem do tego zachęcić, wziął swoją lutnię i zaczął głosem nieco płacziwym następującą spiewać piosnkę oczów z kochanki nie spuszczać:

1) Twoje czoło jasne, gdyby róża świeża, a biała jak mleko. Jej dotknięcie memi ustami jedynie mojej miłości ulżyć może.

2) Kiedy chcąc mówić, boskie twe otwierasz usta, zdaje mi się, że widzę otwierające się podwoje do gwiazdzistego nieba.

3) Twoja boska twarz, gdyby róża świeża, a biała jak mleko. Jej dotknięcie memi ustami jedynie mojej miłości ulżyć może.

4) Kiedy chcąc mówić boskie twe otwierasz usta, zdaje mi się, że widzę otwierające się podwoje do gwiazdzistego nieba.

To jest tłumaczenie, lecz bardzo niedoskonałe tej piosnki, do którego przyłączam tu oryginał. Byłbym ją wierszami wytłumaczył, lecz te mi się nie udają, a odwiedzenie nawet Parnasu i wszystkich źródeł poetom świętych niezbogaciło mię w tej mierze, tylko febrą.

Majesz widne celo  
Z włosy nakrywionym,  
Jako równe pole  
Z trawy obrośnione;

I masz cudno lica  
 Od barwi, od mleka,  
 Onclej spodali  
 Moim ranom lika.

\* \* \*  
 Twoje liepe oczy  
 Jako draniolcie,  
 Prsysięgalby bohu  
 Da su dwie zwiadzice.

Twoje liepe usta  
 Kach dasprogowane,  
 Pare da se wrota  
 Od neba otwera. (\*)

Trzeba było nakoniec jechać i rozstać się z tymi poczciwymi ludźmi, dzień bowiem już był na schyłku, a przewodnik mój miał na mnie oczekiwać przy młynie. Wołałem więc tam przyjechawszy na niego, a nieznalazszy go tam udałem się w dalszą podróż do Imoskich.

Noc była ciemna, deszcz padał; obawiałem się, ażebym nie chybił przewodnika mego, a nie śmiejąc go wołać, aby nas nieusłyszano, zacząłem śpiewać przez całą drogę i to mi się dobrze udało. Przewodnik bowiem, posłyszawszy mój głos, przyszedł do mnie i zaprowadził mnie w bok drogi pomiędzy krzaki zleciwszy, abym tu spokojnie jego oczekiwał. Przybył nakoniec ojciec przełożony klasztoru, i—wziąwszy mego konia—dał mi swego. Ubrano mię w żupan bośniacki i zszarzany zawój, zostawując resztę stroju mojego na ten czas, gdy będziemy na wierzchołku góry, od którego znajdowało się niedaleko pomieszkание przewodnika mego. Ojciec przełożony dał nam swe błogostawieństwo, . . . . . i . . . . . butelkę wódki i pieczeni zimnej kawał i czule się z nami pożegnał życząc nam wszelkiego szczę-

(\*) Tłumaczenie prozą nie jest dosłowne, a przytoczenie wiersza oryginalnego zapewne nie wolne od pomyłek. W.

ścią. Wiele bardzo na tem cierpiałem rozstając się z tym poźciwym człowiekiem i wcale nieinteresowanym, któremu najżywszą winien byłem wdzięczność za pomoc w dopięciu tego, czego najgoręcej pragnąłem.

Zaczęliśmy więc drapać się na górę Imoskich poza miastem; lecz ścieżka tak była zepsuta, że zsiadwszy z konia musiałem iść drogą, którą w dzień zaledwie podobną było przebyć. Powierzchnia kamieni, zmyta przez wody, zrobiła się niezmiernie gładką, a prócz tego zlaną będąc deszczem — tak mocno była ślizga, iż co krok padałem. Nakoniec po wielu trudach przybyliśmy na wierzchołek góry, gdzie zatrzymaliśmy się przy samym wietrzchu przepaści zamek otaczającej, o której wyżej już wspominałem. Tu zostawił mnie mój przewodnik samego mówiąc mi, że wkrótce do mnie powróci. Zostawiony sam ze dwie godziny w ponurej ciemności na samym brzegu strasznej przepaści i zmoczony do koszuli, pierwszy raz zacząłem się zastanawiać nad nieroztropnością, z jaką się narażałem na wyprawę, której niemylnie stać się mogłem według wielkiego podobieństwa nieszczęśliwą ofiarą. Prócz tego chybiłem był po części w przedsięwzięciu mojem czynienia uwag i doświadczeń rozmaitych, nie mając potrzebnych fizycznych narzędzi. Do tego sam ubiór mój nie pozwalał mi nic brać z sobą takowego, co by mnie podejrzanym zrobić mogło. Byłem bez instrumentów, ksiąg, sposobności robienia prób, i bez karty kraju. Nie mamy bowiem dotąd żadnej, na którą możnaby się spuścić i onej powierzyć — i żadnego kraju opisanie nie jest tak zaniedbane, jak Bosyni i Dalmacyi, bo kartę przez obywatela Casas zrobioną, która towarzyszy jego dziełom, raczej w śnie urojoną, niżeli doskonale zrobioną nazwać można. Do tego dla bezpieczeństwa odprawiać miałem podróż w no-

cy, co tem bardziej niedozwalało mi robić postrzeżenia — a tej ostrożności odstępować nie mogłem w kraju, gdzie tyle jest chwili bezpiecznej, ile jej hultaje na odpoczynek obrócić zechcą. Wszystko to niemało przyczyniło się do niepokojności, jaką sama przyszłość i wypadków niepewność nabawić mogły, a tem samem zmniejszały ukontentowanie, jakim chwilę wprzód przejęty byłem. Nie znałem prócz tego przewodnika mego, spuścić się więc zupełnie musiałem na sumienie człowieka nieznanego, którego powierzchowność wcale nie była zaspakajająca. Dosić dobrze w prawdzie byłem uzbrojony: miałem bowiem trzy pary ukrytych koło siebie pistoletów, lecz na cóż mi się zdać mogła ta broń w kraju, w którym najmniejszej nie miałem podpory i gdzie w każdym mieszkańcu mogłem znaleźć zbójcę? Taka to niestałość żądań ludzkich, że oddawszy się tym rozmyślaniom żałować już zacząłem, wyznając, że się narażał na tę wyprawę, której wprzód z takim chwytalem się zapalem. Lecz pierwszy krok już był zrobiony, a przybycie przewodnika mego zupełnie mi siły i odwagę przywróciło. Ten przyniósł mi wszystko z sobą, cokolwiek tylko do przebrania się mego potrzebnem było i tak, mimo największej deszczu ulewy, natychmiast do tego przystąpić musiałem. Cały mój ubiór był zmoczony; ten jeszcze zamienić musiałem na daleko mokrzejszy. Zimność deszczu i zamoczenie nabawiło mnie takim drżeniem, że mnie to wprowadziło w mniemanie, iż dostałem febry. Ale praca i wódka uleczyły mnie i otrzeźwiły wkrótce, i tak udaliśmy się w dalszą podróż oddając się zupełnie dobremu losowi.

### Liść XL. (od Dwana.)

Po pół godzinnej drodze, zaczął miesiąc przebijać się przez gęste obłoki, które na nas ulewy spuszczały. To

poprawiło nieco drogę naszą i po godzinnej drodze przebyliśmy na koniec nad granicę, która obydwą przedziela państwa. Rzeka — czyli raczej potok Suchaja zwany, służący im za granicę, — niezmiernie była wezbrała, sądziliśmy przeto, że nie będziemy mogli ją przebrnąć. Z tej więc przyczyny radził mi mój przewodnik, ażebym się zatrzymał dla zobaczenia, czyli nie ubędzie cokolwiek wody. Chętnie na to przystałem, choć do tego podobieństwa nie było, i położyłem się na brzegu rzeczki oczekując chwili, w którejbyśmy dalej podróż naszą odprawić mogli. W ten czas nigdy przezemnie dotąd niewidziane okazało się oczom meteorologiczne zjawisko. Była to tęcza miesięczna w całej swojej okazałości, Księżyc bowiem znajdował się w środku chmur najgęstszych dżdżystych, i im to właśnie winniśmy byli nadzwyczajne to zjawienie, Kolory wprawdzie były słabe lecz wybitne, można było wyraźnie poznać kolor zielony i żółty; czerwony był pomarańczowym, a niebieski wpadał w zielono-niebieskawy, końce zaś tęczy zdawały się być podkątą mniejszym od czterdziestu pięciu gradusów. Kolory te na przemian stawały się żywszemi, lub słabszemi, w stosunku nadzwyczajnego drżenia wody, które, w miarę większego lub mniejszego onej tarcia w sobie cząstek, łamało częstokroć linie kolorowe, zamieniając kolor żółty na pomarańczowy, a zielony na czerwony. Zdaje mi się, iż ta tęcza miesięczna, po tej, którą uważano w Edyburgu w Szkocyi na początku wieku, była najdoskonalszą.

Nasyciwszy się nadzwyczajnym i oraz jedynym dla mnie widokiem, a przewodnik mój wzięwszy to zjawienie za dobrą wróżbę, radził mi, ażebyśmy przeszli rzeczkę. Siadliśmy więc na koń a oddawszy się zupełnie losowi, weszliśmy w rzekę. Kopie nasze pływały i po biodra byliśmy w wodzie — na koniec szczęśliwie przebywszy tę rzekę, zobaczyliśmy się na granicy tureckiej. Posuwając się

naprzód, weszliśmy w niezmiernie gęsty las, Kto nie był w tych krajach, nie może sobie wystawić przykrych tamecznych ścieżek, którym imie dróg nadają. Aby doskonałe o nich mieć wyobrażenie, trzeba sobie wystawić ścieżki, któremi uganiają się górale w Alpach za dzikimi kozami, z tą jedynie tylko różnicą, że tamte po większej części są pierwiastkowe skały gołe, z ziemi obnażone, których cząstki kątowe i krystalizowane dobrze utrzymują nogę, Przeciwnie zaś na tych, które są wapienne, przez wodę zlizane, a nądto jeszcze z wierzchu wilgotne, co krok się noga umyka. Zdaje mi się, że Turcy z polityki raczej, a nietylko z lenistwa opuścili na pograniczu drogi, ażeby je zapewne tem nieprzystępniejszemi zrobić w czasie wojny. Rzeczą to jest pewną, że na całym pograniczu Dalmacyi ani jednego zdatnego nie znalazłem miejsca, któredyby działa, nawet małe, można wprowadzić do Turcyi. Nie mówię ja tu nic o kraju przy brzegach Narenty leżącym, tego bowiem nigdy nie zwiadałem. Tymczasem w dalszą puściliśmy się podróż drogą najgorszą i bardziej jeszcze deszczem nieustannie lejącym popsutą, który wielkie porobił kałuże tak dalece, że częstokroć brnęliśmy po kolana w wodzie. Sprzyjający nam dotychczas księżyc zniknął i spuścił na nas zmrok największy. Nie mogąc przeto myśleć już o jeździe wierzchem, zsiadłszy z koni, szliśmy piechotą, co nie tak dla nas było przykrą rzeczą, jako raczej ciężar płaszczów naszych, czyli kabanic, które, będąc walmiane i na pół cała grube, zupełnie przemokły, najwięcej nam dokuczały.

Nakoniec na uzupełnienie naszych nieszczęść zaczęliśmy błądzić i z największą trudnością zaledwie znaleźliśmy naszą ścieżkę. Po sześć-godzinnej drodze, najgorszej w świecie, nie mogąc już dłużej dla niezmiernych trudów wytrzymać przełożyłem memu przewodnikowi, że

niepodobną mi jest rzeczą iść dalej i, że siły moje ustały. Z porady jego oddaliłem się od ścieżki, a znalazłszy równinę, którą była tylko mniej głęboką kałużą, padłem na nią, nie mając nawet siły utrzymania się na nogach.

Z wierzchu płucał nas deszcz a ze spodu woda z kałuży podmywała, lecz tak mocno byłem znudzony, iż czułem rodzaj rozkoszy mimo najniebezpieczniejszego położenia mego. Zaledwośmy się pokładli, usłyszeliśmy głos kilkunastu osób, tą samą idących ścieżką, którąśmy niedawno opuścili, którzy, coraz się bardziej ku nam zbliżając, ogień krzesali. Przewodnik mój niezmiernie się przeląkł, mówiąc, że to są hajduki i miał dosyć słuszną przyczynę tej obawy, bo niebyliśmy się mogli bronić z przyczyny zamkniętej broni. Szczęściem jechali nie postrzegłszy nas, a co było dla nas najszczęśliwszem, że—lubo miałem przy sobie mego konia ogiera—żaden z koni naszych nie zarżał, bo temby nas wydały. Odetchnawszy z owego przestachu, jak na najlepszem zasnąłem łóżku, a przewodnik mój równo mnie ze dniem zaledwo mógł zbudzić. Czułem mocny ból głowy, lecz nierównie ciężej było wstać z ziemi. Wszystkie członki moje były, że tak powiem, ztętwiałe od zimna i wilgoci, że ani kolana zgiąć, ani stąpać nie mogłem. Starłem się jednak robić sobie gwałt, a nie mogąc żadnym sposobem dla słabości sił wsiąść na konia, chwyciłem go za cugle i prowadząc go za sobą w dalszą puściłem się podróż. Przybyliśmy wkrótce do doliny, w którąśmy się spuścili zostawując po prawej stronie wieś Studenowrył, czyli źródło zimne, otoczoną lasem a przed nami rzeczkę, która bierze swój początek w tejże dolinie, zalewając potem całą równinę: Duwno. Musieliśmy dwa czy trzy razy wplaw przeprować się przez tę rzeczkę, której wodę bardziej jeszcze deszcz powiększył—i—dosiągnąwszy doliny—widzieliśmy przed sobą płaszczyznę

niezmiernie, rozległą i urodzajną, którą wielkie pasmo gór zdawało się o podal ograniczać. Zostawialiśmy po lewej stronie inne pasmo gór, mniej oddalonych od tych, które się nam z przodu przedstawiały, a u spodu tychże położone było miasto tureckie Duwno, któremu wieże meczetów przyjemną dawały postać. Po prawej stronie mieliśmy ciągiem pasmo gór, na których stała wieś Studenowrył. Pasmo to ciągnęło się aż do równiny. Uda-  
 liśmy się jego kierunkiem drogą zaczynającą się nieco  
 1. oprawiać, zostawując po prawej stronie kilka wiosek, które zajmowały spód góry i o cztery lub pięć strzałów od tejże oddalone były, a po lewej uprawiane pola i cmentarze, na których stały chatki służące chrześcianom za kościoły, gdzie msza się odprawuje, gdy ich tutaj muich jaki odwiedzi. Zdawało mi się zdaleka i zapewnić nawet mogę z kształtu kamieni, które zdaleka widziałem, że znajdowały się między niemi grobowca dawne, lecz za nadto z sił osłabiony byłem i dużobym popełnił nieroztropności, gdybym się był dlatego zatrzymywał. Tak mocno znużeni byliśmy z przewodnikiem moim, że, po półgodzinnej jeździe, spostrzegłszy, że parę najlepszych pistoletów zapomniał na miejscu, gdzieśmy nocowali, żaden z nas nie miał ochoty ani też siły wrócenia po nie. Mijaliśmy nakoniec pasmo gór, któreśmy mieli po prawej stronie i wkrótce za sobą zostawiliśmy Duwno, właśnie w tem samem miejscu, gdzie góry powolnym spadem giną w równinie. Kraj, przedzielający nas od Duwna, zdawał się być równiną bagnistą, ale żyzną, w środku której widać było jezioro. Pytałem się przewodnika mego, czyli ta woda, która nam się jeziorem wydawała, zawsze tu zostaje, czyli też jest przypadkową to jest z deszczu. Zapewnił mię, że to, co widziałem, jest jeziorem, i, gdy m go się zapytał o nazwisko jego, powiedział mi, że



zowie się jeziorem duwieńskim. Uwierzyłem mu, spodziewają się, że jest człowiekiem, na którego powieści można się było spuścić i ta dobra wiara sprawiła nawet, wyznać muszę, że wiele rzeczy, o których mógłbym być od mieszkańców się dowiedzieć, nie dopytywałem się. Lecz postrzegłszy się potem w dalszem obcowaniu z nim, że—zbywając się moich zapytań—plótł, co mu się przewidziało, a zatem, że jego powieści na żadną wiarę niezasługiwały, nie mogę z pewnością zapewnić czytelnika o bytności jakiego jeziora w tem miejscu. Wyznać trzeba, że nader jest smutną rzeczą dla podróżnego, osobliwie w kraju, gdzie nie można o wszystko samemu się pytać: nie mieć innego sposobu nad powieści przewodników, którzy—po większej części nie bardzo dla obcych będąc szczerými—wystawują wędrownika na posądzenie o niedokładności, a tem samem odejmują mu jedyną nagrodę jego trudów i niebezpieczeństwa, a tą jest czytelników wiara i ufność w jego opisach. Zapewne, że jest krzywdzącem dla rozsądku podróżnego przykładanie wiary do wszystkich powieści, które słyszy, ale gdy inny niepozostaje mu środek, jak pytać się tamecznych, trudno się jest bajek ustrzedz zupełnie. Mój przewodnik, na przykład, nigdy się nie wahał odpowiadać na moje zapytania, nie uważając, gdyby mu przyszło wymyślić jakie nazwisko, lub jedno za drugie przytoczyć.

Zostawiwszy Duwno za nami, przybyliśmy do doliny podobnej do przełamu skały, bardzo szerokiego, w pasmie gór wielką równinę duwieńską zamykającym. Łatwo można wnieść, że ta równina musiała niegdyś być jeziorem, które przerwało pasmo gór, które mu się przez długi czas, jak tama, opierało.

**List XXI.** (z wsi turecko słowiańskiej.)

Nakoniec przybyliśmy do małej wioski, leżącej w tył le pasma gór, któreśmy z drugiej strony okrażyli — i rozgościliśmy się w nikczemnej bardzo karczmie, jeżeli tak można nazwać dom pusty, dotykający się pomieszkanią wiejskiego bogatego Bosniaka tureckiego, zowiącego się Kopczyc. Ojciec jego zbudował był dom, że tak powiem, gościnny dla podróżnych, gdzie ich bezpłatnie przyjmował i wszystkie ich potrzeby darmo opatrywał. Syn jego, a terazniejszy pan tej majątności, nie był w domu. Familia jego, której był głową, tak była liczna, iż ilość onych przypominała familię Fabiuszów, albowiem w stanie była sto przeszło rycerzów wystawić. Dom Kopczyców, przed najazdem jeszcze Turków, zawsze uchodził za jedną z najpierwszych Bosynii familii i przypominam sobie nawet, że w rękopiśmie, o którym w liście z Zary wyżej wspomniałem, najpierwsze dom ten zajmował miejsce. Ow ród liczny obrał swe siedlisko na górze Wraniec, gdzie kilka jeszcze innych domów ma sobie podległych.

Tymczasem zaledwieśmy przybyli, rozłożył mój przewodnik wielki ogień na złym bardzo kominku, lecz jedynym w tym domu i rozesłał po całej izbie słomę do spania. Ja zaś, piekąc się koło ognia, zaledwie był w stanie w kilka godzin się rozegrzać, tak dalece byłem przejęty zimnem. Resztę dnia strawiłiśmy na obsuszaniu się i byliśmy cały ten dzień najspokojniej przepędzili, gdyby nie przytomność nagle jednego Turka, który koniecznie chciał mię przymusić do kupienia od niego konia, którego chciał się pozbyć; tak mocno był natrętny; że z największą trudnością, spoiwszy go należycie wódką, zaledwie zdołaliśmy jego zaspokoić. Uwolniwszy się nakoniec

od tego napastnika, zasnąłem. — Uczulem na drugi dzień obrzydliwość widząc się obsypany robactwem z owych sukien, przez mego przewodnika szczerze mi pożyczonych. Zdawało mi się, że łatwo będę mógł złemu zapobiedz wiedząc, że powinien mieć dwie lub trzy koszul w zawiniątku mojem, lecz w jakąż wpadłem rozpacz nie znalazłszy żadnej. Młody mój towarzysz, rozstając się jeszcze w Dalmacyi ze mną, przez zapomnienie wziął ze sobą, a miałem jeszcze kilka dni drogi przynajmniej do Mostaru. Lecz trzeba było nakoniec w potrzebie doznać wytrwania i cierpliwości, i tak wyjechaliśmy jeszcze przed świtem. Wioska, którąśmy opuścili, nie nam tak dalece nie przedstawiała ciekawego. Osada tamieczna składała się z chrześcianów i kilku Turków z Duwna, którzy czasem przepędzali tutaj lato w swych domach wiejskich. Jestto zawsze jedno tylko miejsce w Europie, gdzieby kobiety uważały koszulę za strój tylko świąteczny; w innych dniach tygodnia nie noszą koszul, lecz ubiór wełniany niezmiernie barwy grubej przybierają. Ponieważ obawiał się mój przewodnik narażać mnie i siebie na spotkanie się jakie niebezpieczne, wolał przeto podróż naszą w nocy odprawiać, a tak uwagi moje nad krajem równo ze dniem rozpoczynałem.

Ze świtem ujrzałem się w lasku bukowym, który leżał na spodku góry, Wrana-małą zwanej, należącej do Kopcyców plemienia. Jestto góra wapienna, mniejsza nierównie od Wielkiej-Wrany, po lewej ukazującej się stronie. Lasek ten napełniony jest grobowcami, okrywającymi popioły Turków, dawniej tam przez hajduków zamordowanych. W tem właśnie miejscu sławny hajduk Soczawicza (?) całą turecką rozbił karawanę.

Przybywszy do wierzchołka tejże góry, zaczęliśmy się z wolna spuszczać i wnet ujrzelśmy się na łące, która

usłala spód doliny równo odległej z morzem i ciągnącej się od północy ku południowi. Po dwugodzinnej blisko jeździe, zatrzymaliśmy się u źródła małej rzeczki w celu spoczęcia nieco i popasienia naszych koni. Z tamtąd udaliśmy się w dalszą podróż i po godzinnej jeździe przybyliśmy do stanowiska dawnych grobowców, podobnego do tego, któreśmy w Lowryczu opisali. Różni się jednak tem, że kamienie ostatniego są nierównie lepiej dochowane od pierwszego i nie tak zburzone, jak tamte. Jeszcze i tem od tamtych się różniły, że nie widać było na nich owych tańców i polowań, ale natochmiast wiele bardzo postrzegałem linii w różnym względzie się przecinających, znaki symboliczne, nie znajdujące się u tamtych i mogę powiedzieć że podobnego rodzaju grobowce pierwszy raz w ów czas i ostatni widziałem. Przejrzawszy te grobowce, godzinę jeszcze całą wzwyż wspomnioną jechaliśmy doliną. W tem nagle ujrzeliśmy inną dolinę w poprzek pod kątem prostym przecinającą pierwszą, którąśmy wprzód przebiegli byli. Dolina ta dwieście przeszło stóp niższą była jeszcze od pierwszej, tak dalece, że gdyśmy się na nią spuścili, tamta zdawała nam się być górą. Trzeba sobie wystawić raptowne zatrzymanie się nad jaką przepaścią, ażeby jasne i dokładne mieć wyobrażenie, jakie wrażenie na umyśle czyni nie spodziewane spotkanie się z tak dalece niższą krainą. Pochyłość pierwszej pokryta była sośniną, a jeżeli się nie mylę, modrzewiem. Spuściliśmy się w miejscu, gdzie się spadziłość zaczyna, i potem, zwracając się kilka razy, bierze swój kierunek ku morzu przyjmując do swego łona nieco niżej Narentę czyli Nartwę. Tutaj zupełnie się kraj zmienia, tak co do przyjemności położenia, jakoteż co do rodzaju ziemi: pierwszą, zupełnie będąc wapienna, przedstawia nam widok smutny i mimo zieloności drzew, które wierzchołki gór otaczały, farba tych skał popielatawa dodawała obrazowi te-

mu postać nierównie smutniejszą i nieprzyjemną. Lecz jaka różnica tej doliny do tamtej. Ziemia spłodzona przez wyziewy wulkanów podmorskich, roślinność bujna, drzewa przyjemnie się rozkładające — piękności które za każdym krokiem w głąb' jej zrobionym, coraz się bardziej powiększają; słowem: pyszna ta dolina, Doliniany zwana, przedstawia podróznemu najpiękniejszy obraz, i wyznać muszę, że we wszystkich moich w tym kraju podróżach piękniejszej, bardziej zachwycającej okolicy nigdzie nie widziałem. Nie postrzega się z początku tak wielkiej różnicy law; widać bowiem tylko lawy koloru czerwoniawego, wszystkim wielkim jarom Dalmacyi właściwe i jednostajnego rodzaju z lawą, którą widziałem na Wratniku w Kroacyi; widać tam jeszcze prócz tego gatunek marmuru, czyli raczej jaspisu, który podług zdania mego jest tylko lawą złożoną z dwóch gatunków zupełnie od siebie odrębnych, to jest w rodzaju jaspisu mięszającego się z spatem wapiennym, nie wiele z kwasami burzącym się.

Puściłem się w dalszą drogę w celu badania dalszego, lecz niespodziewana ulewa raptownie mojej ciekawości położyła tamę. Ponieważ droga samym spodem szła doliny, uważałem tylko kamienie, które woda z wierzchołka gór urywała, albowiem ani czas, ani położenie moje w tym kraju niedozwolily mnie zbaczać z drogi i zagłębiać się w przyboczne góry.

Może mi kto zarzucać będzie niedbałość, lub lenistwo, widząc mnie opuszczającego wiele śladów ciekawych i dochodzeń pożytecznych. Lecz, żeby mnie w tej mierze doskonale osądził, radziłbym mu zatrzymać swój wyrok do zupełnego zastanowienia się nad krajem, w którym podróże moje odbywałem i, żeby się wprzód przekonał, że nie tak jest łatwo odbywać podróże geologiczne w Bosyni, jak jest naturalistom paryskim przechadzać się po

górze Montmartre, albo glenewskim po skałach góry Salève. Zaiste! gdy wędrownik wszędzie znajduje przeszkody, a nigdzie pomocy, gdy przebywa w kraju, gdzie nigdzie prawie nie masz żadnej sprawiedliwości, gdzie życie jego zupełnie zależy od łaski mieszkańców, jedna tylko roztropność i ostrożność największa, zasadzona na znajomości obyczajów kraju, jest poręką jego bezpieczeństwa. Może w kilka lat, gdy okoliczności się zmienią, gdy, jak wszelkie jest podobieństwo, kraj ten pod inne pójdzie panowanie, rząd stały pozwoli uczonym bezpiecznie kraj ten przebiegać, a wtenczas widząc z jakim bezpieczeństwem dogadzają swojej ciekawości, zastanawiać się może będą nad krótkością moich badań i spostrzeżeń i przepiszą to może niezastanowieniu. Ale niech się postawią na mojem miejscu, niech przypomną sobie czas pobytu mego w tym kraju, że—nie mając żadnej pomocy, ani podpory—wszystkie wiadomości, które zebrałem, mogą się stósować do powieści Plauta:

*„Tot per impotentiam freta.“*

Ponieważ, jak wyżej powiedziałem, nie mogłem w tej dolinie uważać tylko kamienie przez wodę staczane, starałem się przynajmniej nie brać tych, które w samym korycie doliny znajdowano, bo te mogła nawet z miejsc dalekich woda przynieść. Przystawałem więc na tych, które na bokach gór znajdowałem. Między temi, mimo ulewy, która niezmiernie mi dokuczała, uważałem to, co następuje. Najprzód lawy porfiryne w horyzontalnych warstwach leżące; potem drugi onych rodzaj, którego skład tak był podobny do granitu, że można się było na tem omylić. Cząstki w tej skale dobrze były krystalizowane, ale dziurkowatości niejaki i wnęki podługowate w przewoitem szeregowały ich miejscu, to jest między lawami. Nakoniec dalej te wnęki w skale, czyli dziurkowatości,

zaczęły niknąć, lawa zdawała się być bardziej ściśniona, i gdyby nie nadzwyczajna okrasa i farby, które przepłatanio przybierały żyły tej skały, (gdyby) istota—która zastępowała w tym kamieniu miejsce feldszpatu i która tak, jak on, krystalizowaną była—(niebyła) koloru była szarawego, sądziłem (sądziłbym) nareszcie, że to musiał być istotnie granit, gdyż znalazłem w krótkie wielkie ułomy kamienia, Dolomite zwanego od imienia sławnego naturalisty, który, jak pospolicie uważałem, jest zawsze pośrednim między górami pierwszego i powtórnego tworzu.

Nakoniec zaczęło się zmierzchać i trzeba było dogodzić nareszcie żądaniom mego przewodnika, który niechętnie się zatrzymywał, i powtarzał mi zawsze, że jak się spóźnim, to kwatery nie znajdziemy. Co w istocie nie byłoby bardzo pomyslnem, uważając slotę, która się na całą noc zabierała. Stanęliśmy koło godziny ósmej w wieczór we wsi bardzo przyjemnie położonej w środku doliny, i szukaliśmy schronienia w domie tureckim, gdyż w tem miejscu chrześcian nie było. Z początku się opiekano, nakoniec gościnność narodowa przemogła i przyjęto nas uprzejmie. Zdaje się nawet, że to pierwiastkowe wahanie gospodarza nie było szczere i tylko dla dania czasu kobietom do wyniesienia się z domu zrobione. Jakoż gospodyni z swojej się wyniosła komnaty mnie jej ustępując, a ja—będąc deszczem wskrós przejęty i niezmiernie zmordowany—prosiłem zaraz o ogień i słomę, gdyż tego jedynie tylko potrzebowałem. Lecz, gdy podchlebiałem sobie, że będę mógł spocząć, odebrałem nagle odwiedziny całej wsi i zważyło się ze trzydziestu Turków, którzy całą moją komorę zabrali i na moich tłumoczkach posiadali. Tu dopiero tysiączne zaczęły się zapytania jedne śmieszniejsze od drugich, którym ja, lub mój prze-

wodnik, zmuszeniśmy byli odpowiadać. Nakoniec, gdy coraz więcej wybadywania się pomnażały, zacząłem się obawiać, ażeby nieroztropność mego przewodnika nie wydała i niebezpieczeństwem (nas) nie nabawiła. Widząc więc że niebezpieczeństwo się pomnażało i, że odwlekać już nie było czasu, powiedziałem po sławiańsku, że byłem z Dubrownika ubogim tamecznym kupcem, że tulając się za handlem po obcych krajach ojczystego nawet zapomniałem był po części języka. To ich trochę zaspokoili, lecz potem po osobistych wybadywaniach o mnie zaczęły się nowiny polityczne, i nie można wystawić sobie śmieśności pytań, którym kolejno zadosyć czynić musiałem. Tak osobliwe ci ludzie mają o reszcie Europy wyobrażenie. Lecz, co mi najwięcej dokuczalo, była kabanica czyli płaszcz mój, który cały dzień namokłszy na sobie zawsze trzymać musiałem a zrzucić nie mogłem, gdyż byłbym pokazał broń moją, której oni są niezmiernie ciekawi i żądni i oraz mały kramik z różnemi cackami i kobiecemi ozdobami, który miałem zawsze przy sobie na przypadek, gdybym nie mógł inaczej uchodzić, jak za kupca. Lecz przykróść mego położenia wkrótce się pomnożyła. Gospodarz, rad naszemu przybyciu, niezmierny ogień rozpalil; pokój był mały, nas było ze trzydziestu, dosyć, śmiało rzec mogę, że w żadnej łaźni się tak nie wypociłem. Widząc nakoniec, że się to niekończy, wyszedłem z izby, wziąłem staruszka gospodarza na bok i podziękowawszy za gościnność, którą mi dał, prosiłem go, żeby mnie uwolnił od tej całej zgrai, gdyż niezmiernie byłem zmordowany. Obiecał mi to i tak dobrze się koło tego zwinął, iż za pół godziny byliśmy już wolnymi. Udałem się więc do spoczynku, bardzo szczęśliwy, że się od tych niezbytich uwolnił gości, a razem, że gadliwość mego przewodnika nie naraziła nas na jakie nie-



bezpieczeństwo, a najwięcej z mojej roztropności, żem ukrył moją broń i towary, gdyż inaczej całą noc nie mielibyśmy spokojności.

### Liść XLII. (ze Złotej.)

Nazajutrz, mając dużą podróż przed sobą, ruszyliśmy dosyć wczesnie rozdawszy całemu domowi małe upominki, które wszystkim były dość do smaku. Ale—ponieważ zwyczaj sławiański niesie, że trzeba coś dać w zamian upominku darowanego, inaczej ten, zamiast przyjaźni dowodzić, stałby się obrazą uchodząc za jałmużnę, której samo imię obrusza pysznego Bosniaka—musiałem w zamian przyjąć mnóstwo owoców. Próżno się wymawiałem, że nie miałem miejsca, gdzie ich podzielić; tak mię niemi obławowano, że musiałem ich połowę zostawić. Ponieważ także byłem dał upominki kobietom, ciekawy byłem, czy te powszechnemu ulegną zwyczajowi, a to tem więcej, iż uważałem, iż te, chociaż nie śmiały wchodzić do mego pokoju, jednak dosyć wolno się okazywały. Już byłem nawet nadzieję stracił, ale bez przyczyny, gdyż wkrótce się przekonałem, iż przepisy islamizmu, które tyle narodów przeistoczyły, nie potrafiły naruszyć wytrwałości Sławian w dawnych zwyczajach. Już byłem siadł na konia i wolnym krokiem od domu odjeżdżałem, gdy nagle usłyszałem kogoś za mną biegnącego i odwróciwszy się postrzegłem dwie ładne i młode kobiety z zasłonami podniesionemi, wołające na mnie żebym zaczekał. Gdy to ledwo zrobił, każda z nich parę jabłek w zanadrze mi włożyła, ale to tak prędko zrobiły i tak zręcznie twarze swoje odwracały, że ja—niespodziewając się podobnej grzeczności—zaledwo miałem czas ich ujrzeć.

Turcy, w Bosyni zamieszkali, są może jeszcze jedyni

z Otomanów, którzy — obcy miękkości, temu narodowi właściwej — zachowali jeszcze odwagę i bitność dawnych Muzułmanów, zaszczerpioną na waleczności Sławian. Ci Turcy z imienia tylko ale istotnie jeszcze Sławianie, tak są do swych dawnych zwyczajów święcie przywiązani, że alkoran i jego przepisy nie potrafiły ich w niczem naruszyć. Zaiste znajdzie tu czytelnik nie mały dowód przywiązania Sławian do zwyczajów narodowych, które w oczach postrzegacza światłego za ślad znamienny od innych narodów ich różniący, służyć może: gdy mahometanizm, ta wiara, która winna swój postęp lechceni namiętności człowieka, która ze stu narodów różnych — pochłonawszy ich zwyczaje i prawa — nie zrobiła, jak jeden, nie mogła dotąd bosyniańskich Sławianów naruszyć. Ci, podbici przez władzę przewyższającą, w chwili, gdy świat cały drżał przed jej postępem, okupując się od niewoli i od najdzikszego postępowania zwycięzcy, przed którym musieli ulegać, przynaglени byli i zmuszeni przemienić krzyż na zawój. Tu znajdujemy dowód oczewisty, że duch narodowy jest skutkiem jednostajności zwyczajów; że ta jednostajność zwyczajów robi pewną zgodność w towarzystwie nadgradzając skutki szkodliwe różności opinii, lub ducha stronności. Ta mówię jednostajność — bez pomocy porozumienia się wzajemnego, (co jest najczęściej niepodobna pod berłem samowładztwa) jedną wskazując drogę i ten sam dając kierunek ludziom, którzy się osobiście nie znali i nigdy się może widzieć nie będą — kładzie swoją cechę na wszystkich ich działaniach.

I tak Turcy Bosnii są wszyscy prawie jednożenni, wielożeństwa rzadki między nimi przykład, nie są tak, jak Turcy rodowici, zawiśni płci pod ich władzą będącej i kobiety rzadko chodzą z zakrytymi twarzami. Nakoniec, nie

widać w nich tej dumy i buty innym muzułmanom właściwej, którzy w obcowaniu z innymi zamieniają osobistą nadętość za ich wzgardę. Słowem są całkowitymi Sławianami w obejściu się domowem, w sposobie udzielania drugim gościnności, nakoniec w patryarchalnym postępowaniu z swemi niewolnikami.

Najpiękniejszy ród w Europie jest Bosniaków w powszechności. Kobiety są u nich także nader piękne, osobliwie w okolicy Dolinian. Są to pospolicie białogłowy dużego wzrostu, pięknej kibici, najpiękniejszej płci, w ubiorach swoich krasę białą lub czerwoną nad inne przekładając. Ale co ich najwięcej wyszczególnia i odosabia od innych, to jest czystość i ochędostwo, którego trudno mieć wyobrażenie. Choć daleko więcej oddają się gospodarstwu, niżeli Turkinie, jednak na końcu dnia roboczego można je widzieć ubrane w odzież płócienną, której białość oczy zajmuje. Powiedzieć tu można w ogólności, że kobiety w Turczach więcej w powszechności mogłyby celować w ochędostwie, gdyby nie zwyczaj pospolity sypiania w odzieżach. Lecz i ta uwaga Bosyniaczkom nie służy, gdyż wszystkie ich ubiory są z płótna lnianego, lub konopnego. Noszą pospolicie zasłony z płótna rzadkiego, włosy ich są trefione i zaplatane, niektóre warkocze spadają naprzód, ale większą ich ilość zakręcają koło głowy i utwierdzają obręczą złotą lub srebrną, przy której jak trzęsidelka wiszą cekiny weneckie, lub pary krajowe.

Więć, w której nocowaliśmy, leży w samym środku rozdołu Doliniany zwanego; jej zaś imie jest Złota. Powiadają, że kiedyś była bardzo obszerne, ale teraz ledwie dwieście domów mieć może. Posiadłość jej jest przepyszna, w bujne pastwiska i żyźne role obfituje.

## List XLIII. (z jaskini pasterskiej.)

Wychodząc z tej wsi, udaliśmy się ku górcom, które po prawej leżały stronie rzeczki i doliny. Wzgórki, na które zaczęliśmy wstępować, były już wapienne, i najpiękniejszymi lasami okryte. Po lewej stronie ciągnęła się dolina i liczne wsie po niej rozsiane. Prawie po półgodzinnej drodze, postrzegliśmy inną dolinę ciągnącą się od południa, środkiem której płynęła rzeka, w którą dolinański potok wpadał. Pytałem się o jej nazwisko, jedni ją nazywali Ramą, drudzy Narentą, lecz żadnej niepodpada wątpliwości, że to była Narenta po sławiańsku Nartwa, największa z rzek tamecznych. Późna już pora jesienna niepozwoliła mi uważać mnóstwa roślin, w które tamta okolica obfituje. Postrzegłem jednakowo między temi, które jeszcze liście nie były straciły, że ten las usłany był gatunkiem kolącego *ruscus*, buki i dęby z małemi liśćmi wieńczyły gór wierzchołki. Poniżej zaś drogi ku rzece widziałem rozmaite gatunki rusów, czyli sumaków i lipę, przez botanistów *cordifolia* zwaną. Żółtwiów ziemnych moc także duża, i między innymi tworami uważałem ropuchę niezmiernej wielkości, która ogromnością swoją „pipę“ surynamską przechodziła. Była z rodzaju zwanego „rana ocrucosa“. Co zaś do mineralogii tego kraju, ta mi nic szczególnego niewystawiła, tylko rodzaj kamienia wapiennego jednostajny z dalmackim. W samym zaś dole, przy rzece kamień: *bréhe calcaire* spód góry zajmował. Przebyliśmy jedną rzeczkę po godzinnej jeździe, którą Grabica zwano. Most na niej był murowany i dosyć wygodny; potem znowu zaczęły się lasy a rzeka—środkiem doliny płynąca, przyjmując w biegu rozmaite strumienia—dwoiła swą szerokość. Nakoniec, pięknej

doliny wizerunek zupełnie ustał, która górami tuż nad łonem rzeki całkiem zajęta została. Przejechaliśmy przez kilka wodospadów, czyli kaskad, bardzo dużych, które, jak rzeki, wychodziły z boków gór i w wielką spadały rzekę. Najznakomitsza z nich zowie się Czarne-Wryło. Widok ten, który byłby zadziwił każdego wędrownika nieprzywykłego do tego zjawiska, nic mi nowego nie wystawił nad to, co już wreszcie Dalmacyi widziałem. Gdyż powtarzając to, co wyżej powiedziałem, i dla łatwości czytelnika przypominam, jeszcze raz nadmienię, że w krajach wapiennych i wystawionych na trzęsienia ziemi, jak Dalmacya, rzeki często koryta swoje odmieniają: powierzchne łożysko swoje w podziemne przemieniając, tak przez wyłizanie kamienia w wodzie rozpuszczającego się, jak też przez osady *tuffów* \*). Poziemne też warstwy horyzontalne przemieniając się w prostopadłe, przez trzęsienia ziemi tym krajom właściwe, woda myje sobie uchody pomiędzy szczelinami tychże warstw i z czasem nowe tworzy, sobie koryto. Tak też i tu znaczne te wód spady nie są niczem innym, jak uchodami rzek podziemnych. Jakoż uważając ogrom wód, które wpadają w Narentę, trzebaby sądzić, że Narenta wielkością swoją powinna Wiśle lub Dnieprowi wyrównać, co wszelako nie jest i co jawno dowodzi, że łożysko Narenty musi mieć także swe uchody, któremi część wody wyslizga się. Jakoż łoże tej rzeki jest kamieniste, skałami najeżone i do żeglugi wcale nie zdatne.

Po pięciogodzinnej jeździe, zaczęliśmy wychodzić z lasów na równiny, tam spotkaliśmy pasterza z trzodą owiec Greczyna, który aż z Albanii na całe lato z swoją trzodą do Bosnii był zaszedł. Tak, jak bowiem mieszkańcy Alp trzody swoje na lato na wyższe miejsca zapędzają, tak też i w Turcyi tam, gdzie skwary letnie pasze

\*) tufu martwicy wapiennej. W.

wysuszają, lub nieurodzajność ziemi, lub położenie onej (pasy) nie daje, mieszkańce na ośm miesięcy góry zajmują u właścicieli w Bosnii, i tam w pięćdziesiąt lub więcej mil swe trzody zasyłają. Co czyni i właścicielom Bosyni pożytek, i mieszkańcom krajów nieurodzajnych ulgę. Pytaliśmy się onego pasterza, czy dobrą będziemy mieli drogę do Mostaru, radził nam nie jechać, gdyż dniem wprzód rzeka, którą mieliśmy przebywać, tak nagle wezbrała, że most zniesionym został i do tego dodał, że trzydziestu Turków rabusiów zatrzymanych jest nad brzegiem przez tę powódź, czekając onej upływu—i, że gdybyśmy tam jechali, narazilibyśmy się na największe niebezpieczeństwo nieprzyspieszając nawet naszej podróży. Pytałem się go o nazwisko rzeki, odpowiedział, że zowie się Rama. Jakoż było dosyć do tego podobieństwa, nawet według niedostatecznych kart naszych onego kraju.

Złożyliśmy radę względnie do tego, co nam należało czynić? żadnej w tem miejscu nie było wsi, w którejby można znaleźć było schronienie, prosiliśmy więc pasterza, aby nam co poradził. On długo się wahał, nakoniec spytawszy się nas, czy umiemy golić, i wymógłszy po nas obietnicę, że jeden z nas go ogoli, obiecał nam swego udzielić schronienia. Ja przystałem na wszystko sądząc, że mój przewodnik potrafi dopełnić warunek na nas włożony. Postępowaliśmy wolno z tą trzodą kilka tysięcy owiec, która sama z siebie swój kierunek wzięła ku Nartwie. Przybyliśmy tak do samej rzeki, której brzegi są bardzo wysokie i przykre, skałami najeżone i drzewami obrosłe i zaczęliśmy się spuszczać. Owce—do tego już zwyczajne—porobiły ścieżki, po których trzymając się drzew i skał spuściliśmy się w wysokości pięćdziesiąt, lub sześciudziesiąt sążni. Przewodnik zaś mój został się na wierzchu z końmi, które iść za nami nie mogły. Nako-

niec po wielu trudach znaleźliśmy się na dole przy samym korycie rzeki Nartwy. Udaliśmy się po trosze w lewo i, kilka jeszcze skał przebywszy, znaleźliśmy się przy wnijsciu trzech jaskiń, gdzie już większa część trzody była nas wyprzedziła. Te jaskinie były obszerne, osobliwie jedna z nich do pięciudziesiąt stóp miała głębokość i tyleż szerokości. Żadna nie miała więcej, jak dziesięć lub dwanaście łokci wysokości, lecz też zmniejszała się przy bokach biorąc postać sklepienia, którego końce opierały się o ziemię. Kilka słupów ogromnych po środku tych jaskiń utrzymywały ciężar środkowy i wszystkie te skały były wydrążone w kamieniu: *brèche calcaire* zwanym, to jest z rodzaju rudyngu wapiennego. Wyniesione piętnaście stóp nad rzekę — przy ich wnijsciu równego miejsca było może dziesięć kroków i cała okolica tak wierzbami, lipami i klonami obrosła, że wnijscie do tych tajników było niemi prawie zakryte. Miałem przed sobą Nartwę, której wody, o łożysko skałami najeżone rozbijając się, z wielkim hukiem płynęły i dziczynę tej odludności ożywiały. Rzeka w tem miejscu ma tyle szerokości, ile Wisła pod Opatowcem nim Dunajec z nią się złączy. Na przeciwko wznosiły się brzegi równie skaliste, na ich wierzchu droga, a powyżej góry lasami okryte. Zastaliśmy w tej jaskini żonę i syna naszego pasterza, którzy zajmowali najmniejszą jaskinię; dwie zaś inne służyły za owczarnię. Po przybyciu swoim pasterz wysłał syna swego do mego przewodnika, który był na górze został, aby konie zaprowadził na paszę, co też i zrobił i we dwie godzin powrócili nazad obładowani trawą suchą, która dla nas miała służyć za poślanie. Ja się tym czasem zatrudniałem obzieraniem mego ustronia, gdy gospodarz przypomniał mi obietnicę ogolenia go. Ja mu się wymawiałem brakiem narzędzi, lecz i ta wymówka

ustala, gdy zardzewiałej dobywszy brzytwy, zdjął zawój i siwą głowę pod razy moje oddał. Nie mogąc więc się cofnąć, można sobie wystawić z jaką niezręcznością przystąpiłem do mojego działania. Woda zimna z Narenty służyła za mydło, kawałek oselki za pasek do gładzenia. Jednak spostrzegłem, że nie musiał mieć do czynienia z bardzo biegłymi w tym kunszcie, gdyż mękę swoją dość cierpliwie znosił tak dalece, że zdawało się, iż ja więcej za niego cierpię, niżeli on z swojej osoby. Dowiedziawszy się tym przypadkiem o taleńcie, którego mieć nie domyślałem się, pomyślałem sobie, że nie masz na świecie rzemiosła, choćby najlichszego, któreby czasem w życiu nie było człowiekowi potrzebnem, a nawet użyteczniejszem od najgłębszych w świecie nauk — i, że często cyrylik tam użyje, gdzieby d'Alembert z głodu umarł. Zdziwiłem się dużo, gdy mi ów staruszek dziękował za tę przysługę, będąc najmocniej przekonany, że moja niezręczność bardziej na co innego, jak na pochwały zasługiwała.

Najpierwszem mojem było staraniem, kazać ognia w jaskini nałożyć i jedyną, którą miałem na sobie koszulę, dosyć zbrudzoną, oddać do wyprania gospodyni, a sam zawiązawszy się w kabanicę moją, czyli płaszcz, czekałem cierpliwie na powrót mego przewodnika. Za jego przybyciem trzeba było myśleć o posiłku i za złotego polskiego pozwolono mi wybrać najtłuściejszego barana z trzody. Naszem było staraniem onego zabicie i upieczenie, gdyż na ówczas będący post grecki, najściślej przez gospodarzy zachowany, nie pozwalał im się nawet mięsiwa dotykać. Dziwna jest rzecz! do jakiego stopnia posuniętą była u nich postu ścisłość, gdy żadnego nam naczynia, nawet noża dać nie chciano i jedyny w całym domu talerz drewniany dla tego, że na nim mięso



jadłem, wyrzucony był w wodę, i ledwie nawet uprosić mogłem gospodynię o udojenie kilku owiec. W tem ustroiniu, kryjąc się ów pasterz za każdym swoim z Albanii przybyciem, znajdował bezpieczeństwo przed napastnikiem i spokojność domową. Zasilwszy się pokarmem, poszedłem nad rzekę, której widokiem nasycić się nie mogłem widząc bystrość z jaką swe wody toczy. Lecz, powabna jej ta postać niedługo towarzyszy jej imieniowi, zamulenie jej ujścia przy morzu bieg jej nagle zatrzymuje a zatem rozlewa się, kraje dawniej żyzne zatapia i sławne nawet dawne grody, jak np. Naroną, kilku sążniową mułą zakryła warstwą. Zdaje mi się, że dla tego tylko się spieszy, aby zasiła niezmierne bagna w tym kraju, za Mostarem leżące i zowiące się po sławiańsku Mostarskie Błato, które — część dużą kraju żyznego zajmując i dalej się coraz posuwając — zatrzymując nakoniec bieg rzeki sprawia, że ta aż do swego ujścia liczne mnoży bagna i, porzeża swoje najniezdrowszemi czyniąc, rozdaje zaród gorączki bardzo niebezpiecznej, którą swoim uwieczniła nazwiskiem. Jakoż okolice przy ujściu jej, Sliwno i Zażabie zwane, po pontyńskich błotach są może krajem najniezdrowszym. Zdaje się, że te jaskinie musiały być, prawie jak wszystkie inne, podobnym do Czarnego-Wryła wód podziemnych uchodem do Narenty i, że te przez odmiany pospolite biegom wód w krajach wapiennych in-szy sobie otwór znalazły, a ten opuściwszy — uchod ten przemienił się w jaskinię, mającą zawsze wyлізу wód ślady.

#### List XLIV. (z przedmieścia Mostaru.)

Nazajutrz obudziwszy się znalazłem się w środku trzody owiec i na ziemi leżącego. Owce, których z jednej pieczary byłem wygnał, zjęcone trawą, na której le-

żalem, obstały mnie spiącego i tak się kolo mojej pościeli zawinęły, że musiałem całą noc ich odpędzać; snem znużony zasnąłem nadedniem, odstąpiwszy pościel moją. Potem, obudziwszy mego przewodnika, posłałem go po konie z synem pasterza i ledwie po czterogodzinnem szukaniu powrócili z niemi dając za wymówkę, że się w nocy zdjęły i w górę pouciekały. Pożegnawszy się z gospodarstwem i zapłaciwszy za nocleg, wzięwszy nasze rzeczy i siodła na plecy, musieliśmy się znowu wdierać na górę tą samą co wprzód ścieżką i z niemniejszą pracą. Tam zastaliśmy nasze konie i one pokulbaczywszy, puściliśmy się w drogę na los szczęścia nie wiedząc czy rabusie, o których nam powiadano, czekali jeszcze nad rzeką, lub nie. Lecz nie długie było nasze powątpiewanie, bo po dwugodzinnej jeździe wychodząc z lasu zastaliśmy onych kupę. Obstały nas natychmiast i chcieli nas obedrzyć. Opierać się im było rzeczą trudną, gdyż ich było do dwudziestu koni i dobrze uzbrojonych. Byli to stronnicy sławnego bosniańskiego buntownika Walowicza. Spytany, kto byłem, powiedziałem się bydź z Dubrownika, czyli Raguzy i dodałem z przytomnością umysłu, dosyć takiemu trafowi potrzebną, że wiem, że ich krewni i przyjaciele często tam zajeżdżają dla handlu i własnych interesów, że, jeżeli mi co zrobią, natenczas wszyscy Turcy, którzy są w Raguzie, za to odpowiedzą. Smiałość i głos, z jakim to powiedziałem, zastanowił ich nieco, zaczęli się między sobą naradzać, a ja, widząc niebezpieczeństwo mego położenia, przeczulem natychmiast, że bez okupu znacznego się nie obejdzie, szczęśliwy jeszcze, jeżeli się z ich rąk tym sposobem potrafię wykręcić. Miałem w moim kramiku, o którym wyżej wspomniałem, dosyć rzeczy drogich na podarunki tak potrzebne w tym kraju, gdzie darowizna zastępuje miejsce

zapłaty. Między nimi miałem kilka zegarków srebrnych, które w Genewie kazałem robić, sposobiąc się do tej podróży, kształtem od Turków używanym. Z tych jeden był przy mnie i ułożyłem sobie natychmiast, że byłbym najszczęśliwszym, gdybym się nim mógł okupić. Przerwałem więc ich namowę powiadając, że potrzebuję ich pomocy w przeprawie przez rzekę i, że dobrze im nagrodzę, jeżeli mi w tem dopomogą. Tak nagle odezwała się w czasie, gdy chciałem korzystać z wrażenia, które na nich zrobiłem—zyskała mi skutek pożądany. Zaczęli więc się ze mną umawiać, a ja tym czasem uważałem, czy jest który między nimi starszym i pierwszeństwo mającym. Jakoż postrzegłem lepiej ubranego, którego nazywali bejem czyli panem. Zostawiwszy więc resztę tej zgrai, umawiającej się z moim przewodnikiem, sam zaś nieco oddaliłem się z starszym, dałem mu zegarek i obiecałem dwadzieścia piastrów, żeby je rozdał między swoich ludzi. Tak się stało, wziął na siebie ich zaspokoić i już odtąd w zgodzie zupełnej obracaliśmy całą uwagę względem przeprawy przez rzekę. Tak szczęśliwe powodzenie sprawiło na mnie tę radość, której człowiek zawsze doświadcza, gdy z wielkiego wyjdzie niebezpieczeństwa i chociaż do dwóchset piastrów widziałem się być ukrzywdzonym, jednak to za lekki okup życia uważałem.

Gdy przyszło do przebycia rzeki, konie wszystkie jedne do drugich uzdżenicami za ogony poprzywiązywano. Bej siadł na pierwszym, ja byłem drugi i tak weszliśmy w rzekę, przez którą, mimo jej bystrości, szczęśliwie przepłynęliśmy. Przebywszy drugi brzeg, zapłaciłem umówione dwadzieścia piastrów i pożegnawszy się z naszymi rozbójnikami rozstaliśmy się życząc im pomyślniejszego polowu. A sami nader szczęśliwi—że się na tem skończyło,

przy przekleństwach mego przewodnika, który nie mógł im darować, że mu gwałtem nóż w srebro oprawny zabrali—puściliśmy się w dalszą drogę sądząc, że z nocą staniemy w Mostarze. Lecz próżne były nasze nadzieje, ulewa niezmierna, psując nam drogę, tak dużo podróż naszą opóźniła, że ledwie o godzinie osmej stanęliśmy we wsi o pół mili od Mostara w chacie jednego Bosniaka—Greczyna, który był poddanym, jak wszyscy tameczni chrześciance Turka-Bośniaka. Zwyczajem tamecznym ogień był we środku chaty, a przyzby z gliny na około ścianę służyły za sofy i za łóżka. Pierwszem było mojem staraniem przystąpić do ognia dla osuszenia się cokolwiek i zrzucić opanki, czyli chodaki skórzane, jedyne obuwie, którego w tamtym kraju używają. Gdy się tem trudniłem zawołano nagle do dworu naszego gospodarza i w tem usłyszałem strzelanie i krzyki, które mię zaczęły nie mało trwożyć. Byłem w tych obawach, gdy zadyszany przybiegł mój gospodarz donosząc mi, że zgraja Turków pijanych, stronników Wolewieza, przyjechała w gości-  
nę do pana tamtejszego, który już wiedział o naszym przybyciu i posłał po gospodarza, któremu groził i łajał za to, że niewiernych u siebie przechowuje. Ten nieborak, widząc nasze niebezpieczeństwo i pana swego bez przytomności napitego, uciekł z pomiędzy nich, żeby nam donieść wcześniej o niebezpieczeństwie, które nas czeka, a sam skrył się zalecając żonie, aby jak mogąc wzięła nas w swoją opiekę. Widząc, że się nie na dobre zanoś, opatrzyłem na prędcę broń, która była zamokła. Miałem jednak dwie pary pistoletów, z których jedno dwurur-  
ne, fuzję także dwururną i, widząc się nie źle opatrzonym, zaufałem w tym razie osobistej odwadze. Rzeczy droższe, które miałem w torbie, i pieniądze podłożyłem pod głowę, resztę rzeczy na los szczęścia zestawilem na środku

izby, a sam, udając spłącego, nakryłem się płaszczem broń moją przy sobie ukrywszy. Przewodnik zaś mój, drżąc jak liść, pod kilku derkami się ukrył i w kącie położył. Nie została się tylko w domu gospodyni, która kądziel wzięwszy w rękę na drugiej przyzbie na przeciwko mnie usiadła. Zaledwo zdołałem się położyć, gdy nagle czterech Turków wpadło powiadając, że są wysłani przez pana tamecznego po gospodarza. Zaczęli go wszędzie szukać, a nie mogąc go znaleźć, wzięli się do gospodyni, którą zaczęli bić, żeby wyznała, gdzie mąż się ukrył. Lecz prócz krzyku, który na niej ból wyciskał nic się od niej dowiedzieć nie mogli. Nakoniec zaczęli się pytać co my za ludzie i czy mamy pieniądze? Równie odpowiedziała, że niewie co my za ludzie jesteśmy, ale, że wszystkie rzeczy tu leżąc—mogą się sami przekonać. Wzięli się więc natychmiast do naszych rzeczy, gdzie napadłszy na dwie butelki blaszane wódki i na ostatki barana dniem wprzód u pasterza zabitego, będąc już na wpół pijanemi, tak się ucęstawali, że coraz mniej dla mnie straszniemi byli. Jednak ja, tymczasem spiącego udając, broń już odwiedzioną miałem, czekając momentu, aby się na mnie rzucili. Jakoż jeden chciał przyswoić sobie kabanicę, która mnie nakrywała, lecz drugi go wstrzymał powiadając, że ten niewierny nadto dobrą wódką nas ucęstawiał, abysmy mu więcej przykrości mieli czynić. Tymczasem wysuszali sobie flaszę i drobiazgami memi dzielili się i tak dobrze opatrzyli się moim kosztem, że nawet mi siodeł nie zostawili. Nakoniec, tak się napojem poraczyli, że nie mogąc stać o swojej mocy, ledwo się wytoczyli z chaty rozkazując gospodyni, aby im poświecała. Co ta najchętniej zrobiła chcąc się pozbyć tak nieprzyjemnych gości. Trudno wyrazić stanu, w jakim się znajdowałem. Z jednej strony dusiłem się pod

mokrym płaszczem, z drugiej tak mi ogień dopiokał, że ledwo wyleżyć mogłem i wyszedłem, jak z łaźni. Potem powrócił stary nasz gospodarz i wszyscyśmy sobie winiszowali, żeśmy wyszli z tego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz przed świtem ruszyliśmy do Mostara obydwaj oklep z derek porobiwszy sobie kulbaki. Staliśmy przed dniem w Mostarze na przedmieściu i przewodnik mój zostawił mię w domu dyaka greckiego z jak największą tajemnicą mię tam ukrywszy i oddawszy pod opiekę, sam poszedł do Mostaru przygotować mi przechowanie w mieście. Gospodyni, dosyć młoda i grzeczna, odstąpiła mi swego pokoju i razem bielizny, którą pierwszy raz odmieniłem wyjechawszy z Imoskich. Dano mi przytem kawy, posłano dywan na gołej ziemi i drzwi zamknięto życząc mi dobrego spoczynku. Koło godziny trzeciej po południu przyniesiono mi czorbę, czyli supę i trochę ryżu a ze zmierzchem powrócił mój przewodnik z ubraniem dla mnie zupełnem. Przystąpiono więc do przebrania mego: cyrulik, przyjaciel domu, głowę mi ogolił, fez czerwony czyli myckę kazano mi włożyć i tak dobrze mię na Greczyna przerobiono, że z ciężkością można mię było rozeznać od tamecznego mieszkańca. Pożegnawszy więc tamecznych gospodarzy i nagrodziwszy ich gościnność, puściliśmy się w drogę zostawiwszy tam nasze rzeczy. -

#### List XLV. (z Mostaru.)

W krótkce znaleźliśmy się przy wniściciu mostu, który—dotąd ani opisany, ani widziany przez nikogo—był celem mojej ciekawości. Jest on bez pochyby roboty rzymskiej i daje swoje nazwisko miastu Mostar, czyli most stary. Dochodząc do niego, zostawiliśmy zamek po le-

wej stronie i—przechodząc przez różne strumienie, które szły od młyna przy zamku będącego—widziałem, że wniście jego jest obwarowane murem z obydwóch stron, który jednak do boków jego nie dotyka. Nim się wnijdzie na most, który wsparty jest na przedziwnem sklepieniu, przechodzi się przez przedmieście, które łączy ziemię ze słupami, arkady utrzymującami. Tą razą noc i bojaźń moich towarzyszków nie pozwoliły mi uważać wszystkich szczegółów, które później opiszę. Wyszliśmy z mostu i, sto ledwie kroków uszedłszy, minęliśmy bramy warowni udając się w lewą. Zaczęliśmy przechodzić wiele ulic, czasem postępując wedle Narenty, czasem od niej oddalając się. Przy wszystkich zakrętach ulic zatrzymywaliśmy się, aby uniknąć spotkania pijanów, bardzo w ów czas pospolitych. Nakoniec po półgodzinnej przechadzce, w której często strach powiększał nasze kroki, przybyłem do pomieszkania powinowatych mego przewodnika, które były na samym brzegu Nartwy, na końcu miasta, prawie na przeciwko tego domu, w którym przez dzień cały przechowany byłem. Zostałem dobre łóżko przygotowane i pomieszkanie byłoby zupełnie nawet wygodne, gdyby nie robactwo nieczystością mieszkańców zamnożone. Pierwszem mojem było staraniem zrzucić pożyczoną suknię i pomyśleć o własnem odzieniu. Cały więc dzień nazajutrz strawiłem na uporządzeniu w bieliznę i ubiory bośniackie, a to odzienie, choć nie wygodne, prawdziwą mnie rozkoszą nabawiło pomniąc na stan biedny, w którym się przez te dni znajdowałem—i zapewne więcej w życiu najwymyślniejsza suknia podobnego mi nie sprawi ukontentowania.

Po południu namawiałem mego przewodnika, aby mię zaprowadził do warowni chcąc wszystkie szczegóły tego mostu uważać i nawet one rysować. Dużo się temu

opiorał, powiadając że na oczywistą wystawiamy się zgubę. Nakoniec pó wielu namowach dał się nakłonić i poszliśmy ku warowni—jedną, co i dniem wprzód, postępując drogą. Już byliśmy przeszli bramę do warowni, dochodziliśmy nawet do mostu i moje zaczynałem robić uwagi, gdy z nagle zatrzymaniśmy byli przez Turka poborcę, który od haraczu czyli pogłównego, w Turczech przez chrześcian opłacanego, kwitów domagał się. Żeby to czytelnik zrozumiał, trzeba wiedzieć, że w tamecznym kraju każdy poddany chrześcianin ulega temu poborowi. Od niego nawet dzieci nie są wyjęte. A ponieważ w tym kraju metryk nie masz, a prawo chce, aby dopiero w siódmym roku dzieci do tego poboru pociąganemi były, przeto Turcy poborcy, żeby się o latach przekonać, następującego i bardzo niepewnego używają sposobu. Bierze się sznurek, opasuje się nim głowa wyżej oczów i, jeżeli obwód onej wyrówna oddaleniu od brody do wierzchu czoła, tedy takowy wyrostek jest już do podatku pociągnięty—a zatem należy rodzicom życzyć, aby się dzieci z niskimi czołami i szerokimi twarzami rodziły, co jednak na nieszczęście nie jest pospolitą węg krwi tamecznego mieszkańca. Takowy kwit trzeba mieć zawsze przy sobie i na każde żądanie okazać go, inaczej na trzyletniego podatku zapłacenie widzieć się trzeba wskazanym. Jego ilość, nie jest w Bosnii (Turcyi?) jednostajna, w Bosyni jednak siedm lewów czyli piastrów od duszy mężkiej pobierano. Z jednej strony było dla mnie szczęściem widzieć się tak dobrze przebranego, że mię brano za tamecznego mieszkańca, ale z drugiej znajdowałem się w niesposobności natychmiast opłacenia za siebie i towarzysza mego czterdziestu dwóch piastrów. Widząc, że gwałtowi opierać się było trudno, odpowiedzieliśmy mu, że mamy kwity w domu, lecz, że przez zapomnienie nie



wzięliśmy ich z sobą. Lecz na próżno, bo nielitościwy poborca z nieludzkością swemu urzędowi właściwą pozdzierał z nas odzież, szatę od zawojów—i to wszystko, cokolwiek przy nas było, opanował i nas prawie nagich puścił. Zaledwie potrafiłem go ubłagać, żeby z nami poszedł do domu dla wykupienia się od tego zdzierstwa. Raczyl tedy nam towarzyszyć zyskawszy jeszcze od nas osobną obietnicę, i odebrawszy pieniądze wydał nam pomienione kwity. Trzeba więc było resztę dnia smutno przepędzić w domu, mój bowiem przewodnik tak był przestraszony, że ani można było myśleć, aby się jeszcze raz odważył na podobne niebezpieczeństwo.

Odebrałem też tego dnia odwiedziny trzech czernców, którzy od swego przełożonego ofiarowali mi swoje usługi. Dla objaśnienia czytelnika, nie będzie od rzeczy powiedzieć przyczynę, dla której od Greków tamecznych dobrze przyjmowany byłem. Dalmacya, Bosnia i tamiczna posada była w czasie mego tam pobytu podburzona przez różnych mocarstw wysłańców, którzy, mniej lub więcej jawnie stosując się do woli swoich dworów, starali się w tamtych krajach robić sobie stronników. Poznawszy położenie tych krajów, nie trudno mi było przewidzieć, że zostaje w postaci bezstronnego podróżnego, wszystkim partyom będą podejrzanym i nie dopnę celu mej podróży. Z tych więc powodów zastanowiwszy się pilnie nad tem, rozsądek mi sam przepisywał, że należy mi się chwycić najmocniejszej strony, to jest rosyjskiej, tem więcej, że religijne jej wpływy mogły mi najwięcej ułatwić dopięcia moich zamiarów. Z tych więc dowodów uchodziłem po większej części za Rosyanina, do czego mowa moja sławiańska, z ruska zarywająca, dawała dosyć podobieństwa.

tu przyłączam nie mając sposobności zrobić onego rysunku.

Nie licząc początku i końca mostu, który niczem nie jest innem, jak połączeniem ziemi stałej ze słupami, rachując tylko od słupa do słupa samego otworu sklepienia—namierzyłem do 150 stóp. Budowla tego mostu, złożonego z jednej tylko arkady, wspierającej się na dwóch słupach, z jak największym staraniem jest brukowana—a, żeby przeszkodzić ślizganiom się koni pod ciężarem idących, porobiono progi kamienne, na krok mierny człowieka od siebie odległe. Takich progów narachowałem 75, które wszystkie z tak twardego są robione marmuru, że mimo starości i ustawiczne tarcie, które tak ich było oglądziło, jakby były szlifowane, żadnej szczyrby postrzedz nie mogłem. Jestto rodzaj marmuru podobny do dalmackiego, ale daleko twardszy, reszta zaś bruku złożona z kamieni, które z początku jak z największym musiały być spojone staraniem. Mimo dawności tej budowli, której ręka twórcza nie doszła pamięci naszej, wszystkie usiłowania czasu i ludzi niezdolały jej zniszczyć, lub narużyć w najmniejszej części. Położenie, w którym się znajdowałem, nie pozwoliło mi z łokciem w rękę mierzyć wszystkie części tego sławnego mostu, ale przekonawszy się, że odstępki progów były równe, a naliczywszy ich, jak wyżej powiedziałem, 75, każdy mając dwie stopy odległości, wypadła mi długość mostu 150 stóp a 40 szerokości. Kamień, lubiący(?) klucz sklepienia, miał dwa łokcie. Zmierzywszy długość mostu, a nie mając jego wysokości, zszedłem z niego i uważałem z miejsca—w którym profil jego całkowicie się okazywał—że jego wysokość wyrównywa połowie długości.

Nakoniec w perspektywie nic nie widziałem tak po wietrznego i tak lekkiego, jak widok tego sklepienia

niezmiernego, które sprawdzoną jego trwałość w podejrzenie podaje. Rzeka Nartwa ma w tem miejscu do dwóchset czterdziestu stóp szerokości. Łożysko tej rzeki jest skaliste i w czasie mego tam pobytu—bardzo mało wody w sobie zawierała. Ktoby tak długo, jak ja, nad brzegami tej rzeki drogę odbywał i wystawił sobie wielką moc źródeł, potoków, rzek, które w nią wpadają, nie mógłby być tylko zadziwionym szczupłością wody, którą w swoim zachowuje korycie. Każdy wędrownik tą samą co ja idąc drogą, niepodobna, aby tą myślą nie został uderzony. Z tych powodów, jak wyżej powiedziałem, należy sądzić, że wody onej równie podziemny mają, uchod, jak inne rzeki tego kraju, które—ukrywszy się przez czas w ziemi w postaci źródeł, wodospadów, potoków—do koryta Nartwy wpadają.

#### List XLVII. (z *Stolca*.)

Żałować mi mocno przychodzi, że okoliczności, w których się znajdowałem, nie pozwoliły mi rysu pomienionego mostu doskonałego zrobić z miarą i wizerunkiem onego. Ale, żeby się o tem niepodobieństwie przekonać, dosyć jest powiedzieć, że ten most jest wśród warowni tureckiej i, że najmniejsze podejrzenie i nieroztropność życiem byłbym przepłacił. Jednak, ja pierwszym jestem z podróźnych, który go uważałem, choć wrażenie, które na tamecznych ludach robił, musiało być dosyć duże, gdy miastu, 20000 mieszkańców mającemu, dali od niego nazwisko. Ten opis, który tu daję jego budowli, lubo z powodu okoliczności nie doskonały, jednak następnym podróźnym, firmunami lub opieką jakiego rządu opatrzonym, da ciekawość i ponętę zrobienia doskonałego rysu.

Powróciwszy do siebie, wszystko do wyjazdu zacząłem gotować dawnemu przewodnikowi sownie zapłaciwszy. Chciałem nazajutrz tak rano wyjechać z miasta, abym, spiących zostawiwszy mieszkańców, miał czas onemu się przypatrzeć. Lecz to na próżno, gdyż trudno byź (niepostrzeżonym) od narodu, który z zachodem słońca udaje się do spoczynku, a tem samem wstaje przededniem. Ledwie dniało, a już okopy wszędzie otwierano, mimo tego bezpiecznie jednak przez miasto przejechaliśmy po półgodzinnej drodze, a zaczynające się cmentarze ostrzegły o jego końcu. Droga nasza nie oddalała się od brzegów Narenty, a po drugiej stronie rzeki, na prawej ręce mieliśmy sławne bagna Mostarskie-Błato zwane. Nakoniec po godzinnej drodze, zostawiwszy Nartwę po prawej ręce, przybyliśmy do rzeki Buna zwanej, przeszliśmy ją po moście murowanym, budowli tureckiej, a po lewej onego stronie był dom gościnny, w którym trzymając się stronnicy buntownika Wollewicza przechodzących obdzierali. Przy dobieciu onego spalonym i rozwalonym został i teraz gruzy tylko wskazują jego pobyt. Potem, naszą postępując drogą, nadybaliśmy karawanę turecką, ze czterdziestu koni złożoną, samemi kołdrami kudzbajowemi ładowną, która szła do Raguzy. Jeżeli z jednej strony bezpieczeństwo osobiste zyskało na tem towarzystwie, z drugiej ciekawość moja dużo straciła. Zdawało mi się o kilkanaście staj od drogi widzieć gruzy rzymskiej budowli, ale nasze liczne towarzystwo nie chciało się zastanawiać, ja też, drogi nie znając, opuszczać ich nie mogłem i ponieważ musiałem im towarzyszyć. Prawie cały dzień szliśmy krajem górzystym i lasami obrosłym, czasem postępując dawną rzymską drogą, w kilku miejscach przez Turków naprawianą; a czasem manowcami. Nakoniec o trzeciej godzinie po południu zaczęliśmy postrze-

gać minarety czyli wieże miasta zwanego Stolec. Wtenczas to zacząłem żalować, żem towarzyszył tej zgrai, która karawanę składała, gdyż w obóh stronach drogi widziałem grobowiska, wcale inne od tych, które wyżej opisałem. Niech sobie kto wystawi glazy jeszcze większe od lowryckich, ale jednego kształtu, wyniesione tylko kilku stopniami wyżej, mające na powierzchni swojej wyrabiane rzeźby, które pospolicie wystawiały wojowników, od stóp do głowy uzbrojonych w szyszaki i zbroje, trzymających w ręku łuk natężony ze strzałą, włócznię, lub inną broń i otoczonych ozdobami, różnaitością swoją uderzającymi. Co za przykrość była! dla mnie: nie módz dnia całego poświęcić postrzeżeniom i uwagom nad grobami tak odmiennymi od tych, które w kilku uważałem miejscach. Jeden tylko zrobić mogłem wniosek, który pochlebiam sobie, że będzie wspólny tym, którzy będą w stanie zrobić to zbliżenie, że te zdają się bydź wystawionemi w czasach daleko późniejszych, niżeli pierwsze. W rzeczy samej te widocznie dowodzą przez swoje zbroje, których pierwsze nie mają, naród, który od Rzymian nauczył się był przepisów sztuki wojowniczej, gdy przeciwnie pierwsze przypominają dawnych Scytów. Są zupełnie bez zbrój, a tak wystawiają owe czasy, gdy człowiek zawziętością ujęty, przekładał pokonanie nieprzyjaciela nad osobistą całość, napastniczą broń nad warowną, bezpieczeństwo jego osoby zapewniającą. Każdy, kto się pilnie zastanowi, postrzeże w historii człowieka duży upływ czasu między pierwszym a drugim broni wymysłem. Nie wspominam tu o tych grobach, na których widziałem rycerzów z chorągiewkami przy włóczniach, gdyż te na samo spojrzenie zdają się z czasów rycerskich (pochodzić).

Stolec jest małe miasteczko; zamek jego, zupełnie walcący się, postawiony jest na schyłku wzgórzku dosyć wyniosłego. Wodę ma wyśmienitą i han, czyli karczma jest dosyć obszerną. Tam stanąłem i byłbym był dosyć wygodnie, gdyby na nieszczęście moje udawszy się za Dubrowczanina, czyli Raguzanina, nie byłem zeszedł się z kupcami prosto z Dubrownika jadącymi. Ci obtoczyli mnie natychmiast i takim mnóstwem zapytań o Raguzie mnie obłożyli, że, gdyby nieprzytomność i szczęście osobliwsze, nie wiem, jak bym z tego był wyszedł nie znając ani miasta, ani osób — o których mi gadali, ani też okolic, o których mi wspominali. Trafem osobliwszym gotując się do mej podróży byłem przypadkiem kupił opis nowy małej tej rzeczypospolitej i kilka szczegółów zostało mi było szczęściem w pamięci, które w tym razie były mi bardzo pożytecznymi, spytany nakoniec o moje imię, nazwałem się Kaboga, z imienia fámilii znacznej w tym kraju, jakóż poszanowanie zupełne dla mnie po kilku chwilach podejrzania nastąpiło.

Miasto Stolec jest zamieszkane przez Turków, których liczą do 2000. dusz. Zdaje się, że musiało kiedyś być stolicą tego kraju, jeżeli o tem sądzić można najprzód z wielkości jego zamku i z wielości grobowisk i piękności ich budowli; nakoniec z imienia. Stolec \*) po sławiańsku, znaczy tron i to samo znaczenie miało dawniej w polskim języku, tak jak świadczy Strykowski na początku bitwy grunewaldskiej, gdzie mówi o bogu.

„Pokornych na stolec wsadza, pysznych z carstwa gubi.“

Miasto Stolec według wszelkiego podobieństwa musiało być miejscem znacznem i stolicą, teraz zaś jest zamieszkałe przez Turków, którzy po trebińskich mieszkańcach za najgorszych w całej okolicy rozbójników uchodzą.

\*) Od tego słowa idzie rozrodne: *stolica*. A.

List XLVIII. (z *Dubrownika*).

Porzuciliśmy Stolec o świtanu i zaczęliśmy przechodzić pasmo gór, równoległe morzu i wysokości dość znacznej. Więcej dwóch godzin stawiliśmy, nimeśmy doszli do wierzchołka onegoż. Potem zaczęliśmy schodzić i weszliśmy w sławną dolinę Popowa zwaną, od imienia rzeki Popowy, która jej długość porze. Ten rozdół działy przez rzekę Popowę jest bardzo żyzny i byłby nim daleko więcej, gdyby nie ustawiczne rzeki wlewy, które prace i nadzieje rolnika niszczą. Zdaje się tu jednak, że natura przyszła w pomoc przemysłowi ludzkiemu zrobiwszy obok łoża rzeki przepaść, w którą część wód rzecznych niktą pod ziemią i powierzchnią jej od zalewów schraniając staje się nowem źródłem dla ogromu wód podziemnych. Może rzeka Ombla, o milkę od Raguzy, jest wpadem rzeki Popowy, ale nie jest mojem zdaniem, aby wewnątrz ziemi więcej wód nie miało mieć nad te, które niktą z jej powierzchni. Nie jest to rzeczą podobniejszą sądzić, że natura tym sposobem uwalnia się od zbytku wody, która opatrzywszy nieskończone jej działania, na powierzchni ziemi stała się jej niepotrzebną. Mówić, że ta lub owa rzeka wpada w ziemię, daje do sądzienia, że innych wewnętrznych źródeł nie posiada nad te, które widzimy z oczów naszych znikające—i, że wody śniegowe lub deszczowe w nią nie wsiąkają. Natrąciłem tu tę myśl, której w opisie geologicznym dam większą obszerność. Dodam tylko to, co mi zostaje jeszcze mówić o tej przepaści, która nie jest niczem innym, jak szczeliną prostopadłą na powierzchni prawie płaszczyzny leżącą. Przemysł ludzi umiał korzystać z uchodu, przez

który natura zapewniła jej bezpieczeństwo i postawiony młyn prawie podziemny, który prawie cały rok nie ustaje. Dolina ta jest prawie równoległa morzu, jest zaś druga, która ją przecina prawie w kącie prostym i która bieży od wschodu do zachodu. W niej nie byłem, ale wiem, że czernców monaster tam leży—i, że ona jego jest posiadłością. Wszystkie wioski, których jest do czterdziestu, znajdują się na schyłkach gór po obu stronach doliny, która kończy się aż w Trebinie.

Przez dzień szliśmy tą doliną, aż dopiero w wieczór przebyliśmy rzekę w czólnie bardzo złem. Na drugiej stronie złożyliśmy radę, którą puścić się drogą, szlak bowiem prowadzący do Raguzy idzie za Trebin, lub mimo Trebina—jest długi i niebezpieczny. Drugi sposób dostania się do tego miasta jest daleko krótszy, lecz niezmiernie trudny—i samymi manowcami bez drogi za pomocą przewodnika postępować można. Obraliśmy ostatni i, wzięwszy kierunek prostopadły do morza, zaczęliśmy się wdzierać na góry i ciemną już nocą przy wielkiej ulewie stanęliśmy w jednej wiosce. Gorączki, które w niej panowały, nie pozwoliły mi wniknąć do żadnej chaty i obrałem sobie tok kamienny, gdzie ogień rozłożywszy, wystawiony na dużą ulewę, noc smutno przepędziłem. Tam bowiem zwyczajem większej części Włoch ziarno inszym nie młóć sposobem, tylko końmi je tratują—do tego robi się okrąg z kamieni płaskich, w środku się słup wkopuje, do niego się parę koni przywiązuje za uzdy, naokoło rozkładają się snopki, chłopiec pogania biczem i póty konie wkoło biegają, póki zboża nie wytratują—gdy tym czasem, stojący w środku przy słupie gospodarz, skróca, lub podłuża linę według potrzeby i odległości snopów. Sposób ten, niedoskonały i kosztowny, nie może być naśladowany tylko



w miejscach, gdzie skwary letnie—zupelnej dojrzałości ziar-  
nu pozwalając— do największej suchości słomę doprowa-  
dzają.

Nie mogąc znieść nakoniec położenia mego, drogo  
opłaciwszy przewodnika, ruszyliśmy na dwie godzin prze-  
dedniem z noclegu, jeżeli go takim nazwać można było.  
Deszcz nieustawał, manowce, któremi nas wiedziono, były  
prawie niepodobne do przebycia, koń mój kilka razy po-  
demną padłszy i zraniwszy mi nogę—wolałem iść piecho-  
tą i konia za sobą prowadzić. Nie można wystawić so-  
bie męki dnia tego, kamienie bowiem były oślizły i nie  
można było kroku zrobić, żeby się nie wywracać, i nad  
wieczorem prawie boso, zraniony, doszedłem do pierwszej  
dobrowczańskiej wioski, gdzie i morze o podal i drzewa  
oliwne pierwszy raz ujrzelśmy. Niezmiernie zmordowany  
i skaleczony, szukałem schronienia i znalazłem w browa-  
rze, gdzie rakię, czyli wódkę, pędzono z wycisków win i  
fusów oliwnych. Tam przy ogniu położyłem się i febrę  
dostałem. Nazajutrz, choć dużo słaby, insze najawszy ko-  
nie, gdyż nasze nadto były znużone, spuściliśmy się po  
dwugodzinnej drodze do Ombli—przez ten roztok przy-  
wiozłszy się i zostawiwszy Grawozę po prawej stronie  
wjechaliśmy do Dubrownika, gdzie wzięty za Turka, z po-  
czątku nieznalazłszy moich ludzi, zaledwie u konsula ro-  
syjskiego, zwanego Fonton, znalazłem wiarę i schronienie.  
A lubo przyszło było ostrzeżenie, że mam przyjechać do  
Raguzy, jednak stracili już byli nadzieję mię widzieć,  
uważając spóźnienie mego przybycia. Rzeczpospolita du-  
browicka, zawsze dla Polaków gościnna, kazała dla mnie  
wygotować mieszkanie to same, które książę Karol Ra-  
dziwiłł, wojewoda wileński, w czasie swego z ojczyzny wy-  
gnania—szukając w Raguzie przytułku przed zemstą i

prześladowaniem niechętnych ojczyźnie synów—miał sobie wyznaczone, to jest w klasztorze imci księży pijarów.

Tam jakich przygód doznałem, gdzie się potem obróciłem? w późniejszych się dowiesz kochany przyjacielu! listach, a teraz to wierne opisanie i tego, co widziałem; i tego, co mi się trafiło przyjm jak dowód przyjaźni i zaufania.





